EUROPODZIAŁY
Wszystkie powody do zadowolenia PiS-u

PO STRONIE OFIAR
Adam Bodnar i Jacek Prusak SJ: pedofilia, państwo, psychologia

GRA W APOKALIPSĘ
Po co naukowcy symulują koniec świata

SNYDER I RAPER
Patriotyzm w czapce z daszkiem

Kraków 2 czerwca 2019 nr 22 (3647) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

tolickie pismo społeczno-kultu
TygodnikPowszechny.pl

Na 4 czerwca:
NAPIÓRKOWSKI
DZIEWIT-MELLER ▪ WOŚ

Po 30 latach marzeń

SŁAWEK ▪ PACZKOWSKI
DUDEK ▪ JAGIELSKI
NOWICKA-FRANCZAK
BONIECKI

W NUMERZE
DODATEK

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Świętuj z nami wolność!

Spotkaj się z nami w Strefie Społecznej Święta Wolności i Solidarności w Gdańsku w dniach 1-4 czerwca i kup wydanie specjalne na 30-lecie nowej Polski „Smak wolności” w promocyjnej cenie.

Zapraszamy także na spotkania:

3 czerwca, poniedziałek:

10.30: śniadanie z zespołem „Tygodnika Powszechnego”

12.30: „Lekcja czytania” z Marcinem Żyłą wokół eseju Václava Havla

16.30: spotkanie autorskie z ks. Adamem Bonieckim

4 czerwca, wtorek:

10.00: śniadanie z zespołem „Tygodnika Powszechnego”

Wydanie specjalne „Smak wolności” dostępne także w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą.

Więcej informacji na powszech.net/smakwolnosci

'89 2019 GDAŃSK STREFA SPOŁECZNA

Pełny program obchodów na 2019gdansk.pl

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

Kraków

GDAŃSK '89 2019 GDAŃSK

GDYNIA moje miasto '89 2019 GDYNIA

Sopot '89 2019 SOPOT

Mazowsze serce Polski

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

POZnań

Adwokatura Polska

ECS europejskie centrum solidarności

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

KS. ADAM

Boniecki: *Na ostatnim miejscu*

W PRL-u Kościół był oblężoną twierdzą. W oblężonej twierdzy się nie dyskutuje i nie ma miejsca na spory. Słucha się dowódcy. Jeśli nas podzielą, to przegramy. Dlatego zaraz po wyjściu na wolność (w 1956 r.) Prymas Stefan Wyszyński zaaprobował działalność biskupów, których mógłby rozliczyć za brak lojalności. Także z obawy przed rozłamem chronił biskupa, którego Watykan mógł (powinien) pozbawić stanowiska. Zewnętrzne zagrożenie sprzyjało zwieraniu szeregów, a Prymas umiał zmobilizować masy wiernych wokół Jasnej Góry. Katolickich inteligentów trzymał na dystans, a „księży-patriotów" zmarginalizował. Miał respekt nawet u przeciwników. Twierdza, choć oblężona, nieźle funkcjonowała. Bez czołgów pozostawała siłą, z którą władza musiała się liczyć.

Przyszła wolność. Nieprzyjaciel odstąpił od twierdzy i otwarto bramy. Jedni wyszli z twierdzy, wmieszali się w tłum, by więcej nie powrócić. Inni trwali (trwają) na stanowiskach ogniowych, alarmują widząc nawet najmniejszy ruch w okolicach twierdzy, i w kierunku domniemanego zagrożenia wycelowują swoje stare armaty.

Kiedy przyszła wolność, my, ludzie Kościoła, świadomi swej roli w czasach walki, w poczuciu zwycięstwa, ze zdumieniem usłyszeliśmy krzyk, że chcemy zastąpić dyktaturę czerwonych dyktaturą czarnych. To nie było prawdą. Nie chcieliśmy żadnej dyktatury. Chcieliśmy tylko odzyskać niesprawiedliwie nam odebrane przestrzenie. Nie „dobra martwej ręki", ale przestrzenie, z których niesłusznie nas wyrugowano: głos w debacie publicznej, swobodę pracy charytatywnej, nauczania młodzieży, wolne od cenzury i limitowanego papieru środki przekazu. Zaprawieni w walkach z komuną, byliśmy skuteczni. Choć czasem poruszaliśmy się jak słoń w składzie porcelany, to w sumie udało się odzyskać wszystko.

Myśleliśmy, że będzie dobrze, a dobrze nie jest. Może dlatego, że zniknięcie odgradzających od świata murów wystawiło nas na przeciągi idei mało chrześcijańskich i laickich pomysłów na życie. Chronił nas przed tym trochę „polski papież". Odkąd zmarł, jesteśmy zdani na siebie.

Może jeszcze tego nie wzięliśmy pod uwagę, że Kościół nie może funkcjonować tak, jakby wszystko było po dawnemu. Powtórka z peregrynacji jasnogórskiego obrazu nie zaowocowała odnową życia religijnego, a wyobcowany ze współczesności język naszych kazań i listów pasterskich często nie trafia do nikogo. W kościele w niedzielę widzi się coraz mniej młodych ludzi. Ci młodzi zresztą często szukają kościołów, w których czują się rozumiani, i na szczęście takie kościoły znajdują. To się nazywa *churching* i brzmi nieco jak *clubbing*, czyli testowanie knajp w mieście. Jakkolwiek to brzmi, faktem pozostaje, że zjawisko to występuje coraz częściej.

Czy nagromadzony przez lata kapitał zaufania do Kościoła był tak mały, że unicestwić go mógł jeden film? Kto w potocznym odbiorze, po 30 latach wolności, jest twarzą polskiego Kościoła? Ksiądz prymas Polak czy ksiądz Rydzyk? Jak jest z zaufaniem, jeśli po filmie braci Sekielskich 54 proc. Polaków chce, by cały Episkopat podał się do dymisji?

Można było przewidzieć, że godzina próby wybije dla Kościoła w Polsce tak, jak wybiła w innych krajach. Przestępstwa kleru „przysłoniły blask Ewangelii takim mrokiem, jakiego nie znały nawet wieki prześladowań" – pisał Benedykt XVI do katolików w Irlandii w 2010 r. I nie chodzi tu o „wizerunek" instytucji, ale o istniejące w niej, a teraz tylko ujawnione, zło. Polscy biskupi w „Słowie do wiernych" (odczytanym we wszystkich kościołach 26 maja) mówią o swoim wstydzie i bólu, i o rozczarowaniu Kościołem. Ciekawe, które miejsce w rankingu społecznego zaufania zajmie po majowej projekcji filmu Kościół? Może nawet ostatnie...

Chrystus mówił apostołom: „gdy będziesz zaproszony, idź i usiądź na ostatnim miejscu". Wstrząs związany z filmem może nas, ludzi Kościoła, skutecznie wyleczyć z predylekcji do miejsc pierwszych. To zawinione poniżenie może być dla nas – to jest dla „personelu" Kościoła – zbawiennym przebudzeniem. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD
– TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
Dyskutuj o ulubionych autorach
Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na **powszech.net/bnd**

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

TYGODNIK POWSZECHNY

Book's not dead

TEMAT „TYGODNIKA”

12 Kadry z trzydziestu lat marzeń
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Historia polskiej reklamy po 1989 roku to frapujący przewodnik po zmieniających się marzeniach, możliwościach ich realizacji, a także języku opowiadania o nich.

14 Sześć odsłon Polski w ruchu

36 Fortece doktryny, ambony pouczeń
TADEUSZ SŁAWEK
Po transformacji 1989 roku Kościół instytucjonalny wybrał w wielu newralgicznych sprawach milczenie. Dziś trudno mu będzie odbudować swój autorytet.

85 Obywatel T.
MAREK RABIJ
Zszedł z chodnika na jezdnię. I przeszedł do historii.

92 Zmysł pamięci
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Dlaczego 4 czerwca nie jest świętem narodowym, wspólnotową fiestą? Oto, jak doniosłość oficjalnych wspomnień konfrontuje się z tymi zwyczajnymi.

40 Drapieżcy w sutannach
KS. JACEK PRUSAK SJ
Kim z psychologicznego punktu widzenia jest ksiądz wykorzystujący dzieci?

22 Niech państwo nie opuszcza ofiar
ROZMOWA Z ADAMEM BODNAREM, RZECZNIKIEM PRAW OBYWATELSKICH: *Episkopat musi zrozumieć, że sprawy związane z molestowaniem nieletnich są obciążeniem dla całego Kościoła. Dotykają wszystkich obywateli.*

OLEKSANDR DELYK / STOCK ADOBE / YOUTUBE // GRAŻYNA MAKARA // GEORGES MERILLON / GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES // STEFAN MASZEWSKI / REPORTER // MIECZYSŁAW WASILEWSKI // WOJCIECH DRUSZCZ

6 Lato i jesień będą gorące
PAWEŁ BRAVO

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Niech państwo nie opuszcza ofiar
ROZMOWA Z ADAMEM BODNAREM

26 Błądzący po poradniach
GRAŻYNA LATOS: *Boreliozę nie jest łatwo zdiagnozować, a o metody leczenia wciąż spierają się lekarze*

29 Dobra zmiana przed speckomisją
MATEUSZ MAZZINI: *Nadzwyczajne instytucje rozliczające rząd PiS nie przybliżą nas do prawdy o istocie nadużyć*

OPINIE

32 Homo sovieticus po latach
RAFAŁ WOŚ: *Rozprawa z homo sovieticus jest wyzwaniem dla każdego, kto chce się zmierzyć z dorobkiem ks. Tischnera. I ze sformułowanym przez niego pomysłem na Kościół i Polskę*

WIARA

36 Fortece doktryny, ambony pouczeń
TADEUSZ SŁAWEK

40 Drapieżcy w sutannach
KS. JACEK PRUSAK SJ

42 Niezniszczalni
KAROL KLECZKA *o nienaruszonych ciałach świętych*

JAN MOREK / PAP

59 DODATEK SPECJALNY

Co stało się 30 lat temu w Polsce? Co działo się w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej, a także w Chinach i Iranie?

- Andrzej Paczkowski o „scenariuszach alternatywnych": co by się stało, gdyby władze PRL unieważniły wynik wyborów z 4 czerwca?
- Łukasz Kamiński o roku 1989 w krajach bloku wschodniego
- Antoni Dudek o planach władz PRL
- Marcin Kaczmarski o placu Tiananmen
- Wojciech Jagielski o 4 czerwca 1989 r. w Iranie

76 Nagroda Literacka Gdynia
96 Copernicus Festival 2019

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **45** SZYMON HOŁOWNIA
90 JAN KLATA **91** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: BARBARA NIEWIADOMSKA
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

ŚWIAT

46 Lankijska rocznica niezgody
TOMASZ AUGUSTYNIAK

49 Pokolenie ciągłej niestabilności PAWEŁ PIENIĄŻEK *o pierwszej generacji, która wyrosła już za istnienia niepodległej Ukrainy*

52 Cień Saudów nad Bałkanami
DARIUSZ KAŁAN

54 Zawciąg z normandzkiej plaży PATRYCJA BUKALSKA: *Chelsea Flower Show to coś więcej niż tylko spotkanie pasjonatów ogrodnictwa*

NAUKA

56 Gra w koniec świata
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Czy można przygotować się na kosmiczną katastrofę*

KULTURA

78 Jazda z Mickiewiczem
ELIZA KĄCKA: *Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi wieszcz służy do kontemplacji nicości*

82 W czepku urodzony
ROZMOWA Z PIOTREM GÓRNYM, CZYLI DONGURALESKO, RAPEREM

85 Obywatel T. MAREK RABIJ

88 Listy z piekarnika
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Can You Ever Forgive Me?"*

90 Nieznany ląd LEKTOR *o książce „Moja dzika koza. Antologia poetek jidysz"*

ZMYSŁY

92 Zmysł pamięci
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Prywatyzacja mieszkań zakładowych to jeden z najbardziej brutalnych, a zarazem kompletnie nieopisanych rozdziałów polskiego kapitalizmu – **RAFAŁ WOŚ** *pisze o jednym z podstawowych praw: do bezpiecznego mieszkania w godnych warunkach.* **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

Po stronie ofiar [Podkast Powszechny]
Jak dochodzi do przestępstw pedofilskich w Kościele? Czy szok, który przyniósł film braci Sekielskich, zmieni polski Kościół? Jaką rolę mają tu do odegrania świeccy? – *mówi w Podkaście Powszechnym* **KS. JACEK PRUSAK SJ,** *psycholog i psychoterapeuta* **powszech.net/podkast-prusak**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

Wieczór wyborczy w sztabie PiS, Warszawa, 26 maja 2019 r.

LATO I JESIEŃ BĘDĄ GORĄCE

Mamy w Polsce nienaruszony duopol polityczny. Sprawia on, że wiele wyzwań pozostaje obok osi sporu, który toczą PiS i Platforma.

PAWEŁ BRAVO

45,38 PROCENT TO NAJWYŻSZY WYNIK, jaki kiedykolwiek jakakolwiek partia uzyskała w wolnych wyborach w dziejach III RP. I to w dodatku przy frekwencji, która wprawdzie była niższa niż w wyborach do parlamentu polskiego, lecz i tak wzrosła o tyle, że można ją uznać za przyzwoitą. To w tej wielkiej mobilizacji elektoratu – proporcjonalnie wyższej na wsi i w mniejszych ośrodkach niż w dużych miastach – można dostrzec sedno sukcesu PiS. W kampanii powracał mit, który próbowaliśmy obalić na tych łamach: że wybory europejskie są dla partii Jarosława Kaczyńskiego „trudniejsze", i że niskie zainteresowanie mniej wyrobionych wyborców gra na korzyść opozycji. Owszem, okazało się to prawdziwe w kilku metropoliach, ale – jak mówił kiedyś sam Grzegorz Schetyna – wybory wygrywa się w Końskich, a nie w Wilanowie.

Koalicja Europejska, przez niego zmontowana, okazała się nie dość atrakcyjną ofertą: jej wynik jest słabszy niż suma średnich wyników ugrupowań wchodzących w jej skład. Na dokładniejsze analizy, gdzie KE popełniła błąd, będzie niewiele czasu. A jest o co dalej walczyć: gdyby brać wyniki z roku 2015 za miarę, to jesienią, podczas wyborów parlamentarnych, przy urnach powinny zjawić się dodatkowe dwa miliony wyborców, niekoniecznie podatnych na retorykę Jarosława Kaczyńskiego (który, co warto zauważyć, tym razem zrezygnował z taktycznego przebierania się w owczą skórę i chowania się za plecy

mniej kontrowersyjnych kandydatów). Tym razem PiS grał, zwłaszcza w końcówce kampanii, konfrontacyjnie, co poskutkowało także zepchnięciem poniżej progu konkurencji z prawej strony: 621 tys. wyborców Konfederacji to margines elektoratu, bez potencjału na wzrost.

Ale to jedyna dobra wiadomość – może prócz faktu, że polaryzujący przekaz antyklerykalny także nie daje paliwa wyborczego, co widać po słabym wyniku Wiosny. Jej wynik (6 proc.) oznacza też, że mamy nienaruszony duopol polityczny, który sprawia, że wiele polskich wyzwań pozostaje obok osi sporu, jaki toczą PiS i Platforma.

Obaj udziałowcy tego duopolu postawili teraz na straszenie konkurentem. W mobilizowaniu elektoratu PiS okazał się skuteczniejszy. A jego „wojenne" odezwy, wypowiedziane tuż po wyborach, to pesymistyczny prognostyk, gdy idzie o styl polityki tego lata i jesieni. Bój to będzie coraz bardziej ostatni. Jasne podziały, walka na stereotypy, których podkreślanie będzie służyć tuszowaniu nieudolności i indolencji w zarządzaniu wieloma segmentami państwa. Zarządzanie, owszem, ale emocjami. Zwłaszcza negatywnymi.

Tymczasem w Unii – bo nie zapomnijmy, że to o jej parlament chodziło w zeszłą niedzielę – robi się coraz ciekawiej: koniec ze stabilną (niektórzy powiedzieliby: duszną) kooperacją tej samej od zawsze centroprawicy i centrolewicy. Obie główne „rodziny" partyjne wyszły z tych wyborów poobijane i będą musiały w większym stopniu dzielić się wpływami z Zielonymi lub liberałami. Wypatrywana z niepokojem fala populistów wzrosła, ale nie na tyle, by podważyć podstawy wspólnotowego projektu (zwłaszcza że tworzące ją partie są notorycznie skłócone ze sobą). Po tych wyborach uprawnione jest wrażenie, że jeśli któryś z 51 polskich europosłów będzie umiał w tych rozgrywkach pełnić podmiotową rolę, to bardziej z uwagi na swoje doświadczenie i własną inicjatywę, a nie dzięki jasnym koncepcjom idącym z central w Warszawie.

©℗ Współpraca: JAROSŁAW FLIS

KRAJ W SKRÓCIE

BŁĄD PIERWSZY. Ubiegłotygodniowa nowelizacja kodeksu karnego zawiera kilkadziesiąt wad, nieścisłości i błędów: eksperci z Krakowskiego Instytutu Prawa Karnego zauważyli m.in., że w jej trakcie złagodzono odpowiedzialność karną za „doprowadzenie małoletniego do lat 15 do obcowania płciowego" (mimo szumnych zapowiedzi zaostrzenia kar dla pedofilów) i zaostrzono sankcje w art. 212, stanowiącym furtkę do ograniczenia wolności słowa.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

BŁĄD DRUGI. „Dzięki zbiornikowi retencyjnemu Bieżanów na rzece Serafa mieszkańcy Starego Bieżanowa w Krakowie mogą czuć się bezpieczniej. Zbiornik – wybudowany w pełni ze środków krajowych – szczególnie w tym roku uchronił tereny, które wcześniej były wielokrotnie zalewane" – napisał na Twitterze Mateusz Morawiecki. Premier się pomylił: zbiornik budowano głównie za środki unijne, a kilka godzin po jego wizycie Serafa wylała.

BŁĄD TRZECI. Pomylił się też metropolita krakowski, abp Marek Jędraszewski, publikując artykuł naukowy, w którym wykorzystał jako źródło primaaprilisowy dowcip amerykańskiego historyka, Philipa Earla Steele'a, stwarzającego zmyśloną postać spowiednika żony Mieszka I, niejakiego Kpinomira (kapłan ów miał opisać życie erotyczne księcia Piastów z Całusławą, Biustyną, Błogominą, Udowitą, Pieściwoją, Rębichą i Pępichą).

BŁĄD CZWARTY. „To jest sytuacja, która nigdy nie powinna się wydarzyć. Mogę tylko powiedzieć: przepraszam" – powiedział szef Kancelarii Premiera Michał Dworczyk po tym, jak media nagłośniły informację, że kilkanaście razy nie wpisał do oświadczenia majątkowego udziałów w spółce zajmującej się edukacją.

Była sobie minister

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Niby to żadna sensacja: określany w mediach uporczywie jako „miażdżący" raport Najwyższej Izby Kontroli na temat reformy edukacji to w zasadzie usystematyzowany i opatrzony państwową pieczęcią zbiór faktów od dawna znanych.

Bo czy nie wiedzieliśmy, że rekordowa, jeśli chodzi o tempo, reforma została „nierzetelnie przygotowana i wdrożona"? Czy niespodziankę stanowi informacja, iż nie dokonano „rzetelnych analiz finansowych i organizacyjnych skutków reformy"? Nie mieliśmy świadomości, że sklecone w zawrotnym tempie podstawy programowe nie są dostosowane do możliwości uczniów? Że tzw. podwójny rocznik w szkołach ponadgimnazjalnych – o czym głośno zrobiło się znowu dwa tygodnie temu – zachwieje liceami?

A jednak dokument ten jest ważny, bo pojawił się w symbolicznym momencie. Tuż przed wyborami wyznaczającymi koniec trzyipółletnich rządów Anny Zalewskiej, która może już – zgodnie z wynikami wyborów – pakować walizki do Brukseli. Zostawia za sobą system oświaty przeorany na skalę niespotykaną od dwóch dekad i nauczycieli sfrustrowanych bardziej niż kiedykolwiek w III RP. To miękkie lądowanie minister jest puentą smutną: zamiast karnego mandatu za ponad trzy lata działań na szkodę szkół szefowa resortu edukacji dostaje nagrodę (hasło „Więcej Polski w Europie" powinno teraz – w związku z jej pojawieniem się w PE – przyprawiać o drżenie).

A krajowy bałagan oświatowy dostanie w spadku ktoś inny. ©℗

Niepełnosprawni i rządowy PR

„WEŹCIE NASZ ZASIŁEK I NASZĄ NIEPEŁNOSPRAWNOŚĆ" – takie m.in. hasło nieśli 23 maja na transparentach protestujący w Warszawie niepełnosprawni. Nie powstrzymała ich złożona cztery dni wcześniej deklaracja prezesa i premiera, że „w ciągu najbliższych kilku miesięcy" niepełnosprawni niezdolni do samodzielnego funkcjonowania otrzymają dodatek 500 zł – mimo że pozornie stanowi to spełnienie postulatu ich protestu sprzed roku.

W jakim trybie pieniądze miałyby być przyznawane, jakiej dokładnie grupie, czy będą wliczone w dochody – nie wiadomo. Nie ma ani kalendarza zmian, ani projektu ustawy. Niepełnosprawni usłyszeli kolejną obietnicę, i to tuż przed wyborami. Trudno uwierzyć w szczerość nagle obudzonej wrażliwości rządu, skoro rok temu protestujący w Sejmie zostali zignorowani i upokorzeni. Rząd natomiast usiłuje im zamknąć usta: trudniej teraz będzie przekonać opinię publiczną, że nie dba o niepełnosprawnych, skoro w mediach mocno wybrzmiały słowa o kolejnym 500 plus. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Tydzień na działce

PYTANIA O OKOLICZNOŚCI ZAKUPU DZIAŁEK we Wrocławiu, które „Gazeta Wyborcza" postawiła Mateuszowi Morawieckiemu, wylądują zapewne w koszu z resztą powyborczej makulatury.

Media po obu stronach politycznej barykady rzucą się na świeższe tematy. Prezes Kaczyński stwierdził wprawdzie, że zarzuty stawiane premierowi mają ciężar gatunkowy zasługujący na uwagę, ale wyposażył służby państwowe w swoistą instrukcję, mówiąc o „falsyfikacji", którą jego zdaniem skończy się weryfikacja informacji „Wyborczej".

Tylko czego owa falsyfikacja miałaby dotyczyć? Zakup atrakcyjnie położonych działek przez Mateusza Morawieckiego to fakt, podobnie jak data rozpoczęcia prac nad miejscowym planem zagospodarowania, które ruszyły przed tą transakcją (uchwalenie takiego planu podnosiło cenę gruntów). Kupujący był radnym województwa – to też fakt. Jak i to, że na pytania „Wyborczej" w tej bulwersującej sprawie anonimowy urzędnik centrum informacyjnego rządu udziela teraz odpowiedzi sprzecznej z zeznaniami, które wcześniej złożył w prokuraturze sam Morawiecki.

Politycy nie od dziś mylą fakty z opiniami. Nie zaczęli też kłamać w tygodniu przed wyborami. I nie od wczoraj my, wyborcy z dwóch połówek politycznego boiska, wymagamy od nich tak niewiele, pozwalając w efekcie na tak wiele. ©℗ MAREK RABIJ

Więcej niż cud

„KIEDY PIERWSZY RAZ, po dziesięcioletniej przerwie, wyszedłem z domu o kulach, czyli jako ktoś, kto prawdopodobnie złamał nogę na nartach albo gdzieś pohulał, ludzie patrzyli na mnie zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy siedziałem na wózku" – mówił kilka lat temu Rafał Urbacki. Przestał chodzić jako nastolatek z powodu postępującego zaniku mięśni i nerwów obwodowych. Gdy po 10 latach zamienił wózek na kule, znajomi myśleli, że to cud. Efekt przyniosła żmudna rehabilitacja, podczas której Urbacki opracował autorski system poruszania się. Został choreografem, reżyserem, występował na scenie we własnych projektach, uczył studentów. W swej pracy podejmował temat wykluczeń, pracował z aktorami o alternatywnej motoryce, walczył o prawa społeczności LGBT. Zmarł 22 maja, w wieku 35 lat. ©℗ MOC

GRAŻYNA MAKARA

Wielka woda płynie z gór

W KWIETNIU SUSZA, W MAJU POWODZIE. W wielu miejscach w kilka godzin spadło tyle wody, co średnio w miesiąc. Gdy w piątek w nocy fala kulminacyjna przechodziła Wisłą przez Kraków, stany alarmowe przekroczone były o 61 cm.

Powodzie i susze to skutek tego samego – gospodarowania siecią wodną. Uregulowane górskie potoki i rzeki działają odwadniająco, niczym proste rynny odprowadzając wodę do Bałtyku. Po gwałtownych opadach jest jej w korytach tak dużo, że przestaje się w nich mieścić. To, że raz na jakiś czas rzeki wylewają, nie byłoby problemem, gdyby nie fakt, że od dawna zasiedlamy te odwieczne tereny zalewowe.

Kolejny problem stanowi również erozja gleby w górach. Z przeprowadzonej przez stołecznych naukowców (Affek, Gerlée, Sosnowska, Zachwatowicz) analizy danych z lotniczego skaningu lasowego wynika, że na terenie 15 nadleśnictw Bieszczadów, Beskidu Niskiego i części Pogórza na jednym kilometrze kwadratowym lasu istnieje średnio 12,5 km leśnych dróg i szlaków zrywkowych, co jest wynikiem porównywalnym w światowej literaturze jedynie z intensywnie eksploatowanymi lasami tropikalnymi na Borneo. W wyniku gospodarki leśnej aż 5 proc. powierzchni wspomnianych lasów w Karpatach ma naruszoną strukturę gleby, co sprzyja erozji. Zamiast wsiąkać, spływająca z gór woda już na starcie przyspiesza.

©℗ ADAM ROBIŃSKI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ŚWIĘCENIA. Specjalnej dyspensy udzielił papież Franciszek Michałowi Łosowi ze zgromadzenia orionistów: dzięki temu chory na raka kleryk 24 maja, po złożeniu ślubów zakonnych (czystości, ubóstwa, posłuszeństwa i szczególnej wierności papieżowi), mógł przyjąć jednocześnie święcenia diakonatu i prezbiteratu. Bp Marek Solarczyk po zakończeniu ceremonii ukląkł przy szpitalnym łóżku i poprosił o błogosławieństwo; w prezencie ofiarował ks. Łosowi ornat, w którym odprawiał mszę podczas ŚDM w Panamie.

SZACUNEK? Uczestnicy Marszu Równości w Gdańsku 25 maja sparodiowali procesję Bożego Ciała: szli za planszą przedstawiającą ukoronowaną waginę wpisaną w serce. Na transparentach niesiono hasła wzywające m.in. do równości i szacunku oraz głoszące, że „Miłość może tylko łączyć".

BRACIA. „Modlitwa chrześcijańska rodzi się z odwagi wzywania Boga pod imieniem »Ojcze« – mówił Franciszek w katechezie kończącej cykl o Modlitwie Pańskiej. – Jezus objawia nam Ojca i obdarza nas zażyłością z Nim. Modlitwa musi być natarczywa, a przede wszystkim musi pamiętać o braciach, zwłaszcza wówczas, gdy nasze relacje z nimi są trudne, bo »kiedy stajecie do modlitwy, przebaczcie, jeśli macie co przeciw komu« (Mk 11, 25)" – przypomniał papież.

ŚLEDZTWO. Prokuratura rzymska wszczęła śledztwo w sprawie czynu kard. Konrada Krajewskiego, który 11 maja przywrócił dostawy prądu do budynku nielegalnie zajmowanego przez bezdomnych. Doniesienie złożył dostawca energii. Tymczasem kard. Krajewski tak tłumaczył swoją decyzję 17 maja w krakowskim Centrum Formacji Duchowej Salwatorianów: „To jest rzecz związana z Ewangelią. Mówię wam to, bo sam bym tego nie zrobił. Sam nie zszedłbym do podziemi, bo to są pomieszczenia wysokiego napięcia. Tam wielu zginęło, przestawiając korki. Kiedy jesteśmy pod wpływem Ducha Świętego, nic nas nie obchodzi".

Niektórzy duchowni mówią „nie” reformom

ARTUR SPORNIAK

W licznych kościołach księża nie odczytali w minioną niedzielę listu biskupów do wiernych „Wrażliwość i odpowiedzialność” o nadużyciach seksualnych wobec dzieci w Kościele. O ponad 60 takich przypadkach informowali czytelnicy portalu Wirtualna Polska. Niektórzy księża odsyłali wiernych do internetu, inni pomijali list milczeniem; byli i tacy, którzy wprost wyrażali dezaprobatę.

Rada Stała Episkopatu, reagując na film „Tylko nie mów nikomu”, przyznała, że biskupi nie uczynili wszystkiego, by zapobiec krzywdom. „Film, przyjmując perspektywę pokrzywdzonych, uświadomił nam wszystkim ogrom ich cierpienia” – napisali biskupi. I obiecali, że właśnie perspektywa ofiar stanie się teraz priorytetowa w Kościele. Zachowanie niektórych księży można więc potraktować jako plebiscyt, na ile „kościelni funkcjonariusze” rzeczywiście chcą wprowadzać taką perspektywę. Okazuje się, że perspektywa skierowana na „dobro instytucji” ma się dobrze. Celuje w tym środowisko Radia Maryja. O. Rydzyk usprawiedliwiał w ostatnią sobotę na Jasnej Górze pedofilne zachowania, mówiąc o „poniewieraniu kapłanów dlatego, że jakiś znalazł się – może zasłabł, może mu się coś z sercem zrobiło, może z głową”. Istnieje niebezpieczeństwo, że reformatorskie działania abp. Wojciecha Polaka (specjalnego delegata episkopatu) rozbiją się o ultraklerykalną mentalność dużej części polskiego kleru. ©℗

Sprawa Vincenta Lamberta

TRWA BATALIA O UTRZYMANIE PRZY ŻYCIU 42-letniego Francuza, który od 11 lat po wypadku na motocyklu jest sparaliżowany i żyje w stanie minimalnej świadomości. 20 maja lekarze zaprzestali podawania mu pożywienia, ale po kilkunastu godzinach paryski sąd apelacyjny nakazał przywrócić karmienie. O zaprzestanie karmienia walczy od 2013 r. jego żona, uważając, że terapia Vincenta jest uporczywa. Lekarze nie mają nadziei na poprawę jego stanu. Z kolei zaprzestaniu karmienia sprzeciwiają się rodzice Vincenta, którzy twierdzą, że utrzymują z synem kontakt, a odżywianie nie jest terapią (na zdjęciu: ojciec Vincenta przed paryskim szpitalem).

FRANÇOIS NASCIMBENI / AFP / EAST NEWS

Francuski Sąd Najwyższy oraz Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekły, że decyzja szpitala o wstrzymaniu karmienia Lamberta nie narusza prawa (we Francji eutanazja jest karana). Niedawno o utrzymanie przy życiu Francuza apelował jednak Komitet Praw Osób Niepełnosprawnych ONZ.

„Postęp współczesnej medycyny to swoistego rodzaju pułapka, w dużej mierze pułapka możliwości przedłużania ludzkiego życia. Granica między ochroną ludzkiego życia a jego bezsensownym przedłużaniem staje się coraz mniej wyraźna” – pisała na tych łamach etyczka z KUL s. Barbara Chyrowicz, odnosząc się do podobnego przypadku odłączenia od karmiącej sondy Amerykanki Terri Schiavo w 2005 r.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Salvini pod Lepanto

NA NIC KRYTYKA ZE STRONY WATYKANU i biskupów. Włoski wicepremier i lider prawicowo-populistycznej Ligi, Matteo Salvini, który „powierzył zwycięstwo Niepokalanemu Sercu Maryi i świętym patronom Europy”, może cieszyć się z wygranej: w wyborach do Parlamentu Europejskiego jego partia dostała we Włoszech najwięcej głosów. Różaniec wyjęty z kieszeni na wiecu wyborczym w Mediolanie zniesmaczył biskupów – podobnie jak ubiegłoroczna przysięga na Ewangelię – ale najwyraźniej spodobał się wyborcom.

„Partyjna polityka dzieli, a Bóg powinien łączyć” – mówił kard. Parolin, watykański sekretarz stanu. Biskupi oburzali się na „machanie różańcem”, media nazwały szefa Ligi Herodem, katolickie organizacje pomagające imigrantom uznały go za największego wroga. Tymczasem włoskie społeczeństwo, tradycyjnie katolickie, tradycyjnie nie posłuchało biskupów. Pęknięcie widać też w Kościele: episkopat staje murem za papieżem, ale już księża, zwłaszcza w małych parafiach, nie kryją sympatii dla partii Salviniego, która chce w Brukseli bronić tradycyjnych wartości i, jak twierdzi, ratować chrześcijańską Europę przed upadkiem. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Okulary księdza Kaczkowskiego

NAJPIERW BYŁO ODRZUCENIE przez zakon ze względu na słaby wzrok. Później seminarium i opinie (księży, biskupów): że jako katechecie pouciekają mu dzieci, że z „prawie ślepotą” będzie „ośmieszeniem dla kapłaństwa”. Później, już jako katecheta, początkowo wywoływał śmiech: przez chwiejny krok i „musztardówki” na nosie („Ja pierdzielę, niepełnosprawnego klechę nam przysłali!” – wspominał zbiorową reakcję jeden z jego uczniów). A potem uczniowie pokochali ks. Jana Kaczkowskiego: wywrócił do góry nogami życie wielu z nich. Obronił doktorat, zbudował w Pucku hospicjum. Pod koniec życia, cierpiąc na nieuleczalnego glejaka mózgu, stał się sławny jako autor książek i kaznodzieja.

Trzy lata po jego śmierci stworzona przez przyjaciół i bliskich fundacja jego imienia powołuje nagrodę: „Okulary ks. Kaczkowskiego. Nie widzę przeszkód”. Dla odważnych, bezkompromisowych, walczących o równość i godność; dla tych, którzy pomagają innym, niekoniecznie w blasku fleszy. „Choć działaniom księdza towarzyszyło wiele przeszkód, on sam zdawał się ich nie dostrzegać – mówi Anna Cina-Ciskowska, prezes fundacji. – Teraz chcemy nagrodzić osoby, które działają zgodnie z jego ideami. Nawet jeżeli wcześniej o nim nie słyszały”.

Kandydatury (osoby, instytucje, a także grupy nieformalne) można zgłaszać do 15 lipca. Nagroda będzie wręczona we wrześniu w jego rodzinnym Sopocie; jednym z jej patronów jest „Tygodnik”. Więcej na: okularykaczkowskiego.org.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Krajobraz po May

MARCIN ŻYŁA

Po tym, jak Theresa May zapowiedziała dymisję z przewodzenia Partii Konserwatywnej – i w konsekwencji dymisję gabinetu – na temat jej rządów słychać głównie krytykę. Rzadziej przypomnienia, że obejmując władzę w 2016 r. podjęła się najtrudniejszego zadania ostatnich dekad w Wielkiej Brytanii: przeprowadzenia brexitu. Najwięcej czasu straciła na początku – przed wyborami w 2017 r., gdy zwolennicy brexitu w jej partii nie byli tak zradykalizowani jak dziś i zanim jeszcze przywiązała się do hasła, że brexit bez „umowy rozwodowej" z Unią jest lepszy niż „zła" (czytaj: wymagająca dużego kompromisu) umowa. Potrzebę kompromisu dostrzegła późno – zbyt późno, by uniknąć upokarzających klęsk w Izbie Gmin (która trzy razy odrzuciła wynegocjowane przez May warunki) i we własnym rządzie (aż 36 ministrów podało się do dymisji).

Dziś Zjednoczone Królestwo jest podzielone bardziej niż po referendum w 2016 r. Dowód? Wynik naprędce organizowanych i przebiegających w surrealistycznym klimacie wyborów do Parlamentu Europejskiego. Partia Konserwatywna odnotowała najgorszy wynik od 200 lat, zajmując czwarte miejsce – po Brexit Party Nigela Farage'a (opowiedział się za nią co trzeci głosujący), Liberalnych Demokratach i Partii Pracy. Nowy/nowa premier będzie mieć jeszcze trudniej niż May. ©℗

Prawica formuje rząd w Indiach

„JEŚLI KTOŚ DZIŚ ZWYCIĘŻYŁ, TO INDIE. Jeśli ktoś zwyciężył, to demokracja. Jeśli ktoś zwyciężył, to naród" – tak premier Narendra Modi skomentował wyniki wyborów parlamentarnych. Dzięki przytłaczającemu zwycięstwu, które jego Indyjska Partia Ludowa (BJP) odniosła po raz drugi nad konkurencyjną Partią Kongresową, Modi wyrasta na najsilniejszego indyjskiego przywódcę od czasów Indiry Gandhi.

Rządząca od 2014 r. partia zdobyła 303 mandaty w Lok Sabha, niższej izbie indyjskiego parlamentu, co – w połączeniu z mandatami koalicji – gwarantuje jej większość jeszcze bardziej zdecydowaną niż przed pięcioma laty. Wynik jest zaskoczeniem, bo obserwatorzy spodziewali się raczej osłabienia BJP. Kampania skupiała się na kwestiach bezpieczeństwa, wartościach narodowych i modernizacji, a wyborcy uwierzyli raczej w prezentowaną przez Modiego wizję mocarstwowych Indii niż w obietnice rodziny Nehru-Gandhi – klanu, który rządził krajem przez większość czasu od ogłoszenia jego niepodległości w 1947 r.

Zwycięstwo Modiego oznacza kontynuację asertywnej polityki wobec Pakistanu i (do pewnego stopnia) Chin oraz inwestycje w bezpieczeństwo. Może też prowadzić do dalszej polaryzacji społeczeństwa: mieszkający nad Gangesem muzułmanie obawiają się szowinistycznego hinduizmu. ©℗ TOMASZ AUGUSTYNIAK

HUGH KINSELLA CUNNINGHAM / PAP / EPA

KONGO WALCZY Z EBOLĄ. Do połowy maja ministerstwo zdrowia w Kinszasie odnotowało 1866 zarażonych wirusem ebola, z których 1261 zmarło. To dziesiąty i największy wybuch tej choroby w Kongu od odkrycia wirusa w 1976 r. Epidemia dotyka prowincji graniczących z Rwandą, Ugandą i Sudanem Południowym. Aktywni tam rebelianci atakują lekarzy i sanitariuszy, siejąc nieufność wobec władz. 25-letni brytyjski fotograf Hugh Kinsella Cunningham od kilku miesięcy dokumentuje walkę z ebolą; jego zdjęcie pokazuje pogrzeb zmarłych na ebolę w wiosce Butembo. Żałobników i sanitariuszy musiała ochraniać policja; mieszkańcy wioski protestowali w przekonaniu, że rząd wymyślił epidemię. Więcej zdjęć z Konga można obejrzeć na stronie fotografa: www.hughcunninghamphotography.com ©℗ WP / FAZ

Media bez polityki

ROSYJSKI KOMMIERSANT to duży dom wydawniczy z tradycjami, wydaje m.in. poczytną gazetę codzienną. W zeszłym tygodniu po interwencji właściciela Aliszera Usmanowa, jednego z najbogatszych oligarchów, zwolniono dwóch dziennikarzy działu politycznego dziennika „Kommiersant" pod zarzutem zamieszczenia zakazanego „materiału na zamówienie" i naruszenie etyki dziennikarskiej. Materiał ten to mała wzmianka o planach odwołania 70-letniej przewodniczącej Rady Federacji (izba wyższa parlamentu) Walentiny Matwijenko i powierzenia tej funkcji dyrektorowi wywiadu Siergiejowi Naryszkinowi. Tekst oparto na doniesieniach „anonimowego źródła", dziennikarze odmówili jego ujawnienia.

W akcie solidarności ze zwolnionymi kolegami z gazety odeszli wszyscy dziennikarze pracujący w dziale politycznym, a 220 dziennikarzy z innych działów i wydań podpisało list protestacyjny. Rzecz bez precedensu w rosyjskich mediach. W środowisku rozpętała się burza: decyzję kierownictwa gazety nazwano cenzurą, w komentarzach podnoszono, że wszystkie rosyjskie media poddawane są presji ze strony władz, i że znacząca większość obsługuje interesy Kremla, zapominając o podstawowej misji uczciwego informowania opinii publicznej. Masowo udzielano wsparcia dziennikarzom, którzy w proteście opuścili redakcję.

Czy wydarzenia w „Kommiersancie" wpłyną na sytuację mediów w Rosji? Nic nie wskazuje na to, by kontrola ze strony władz miała osłabnąć, wręcz przeciwnie. Może tylko „anonimowe źródła" karmiące czasem gazety rewelacjami zza kulis będą jeszcze ostrożniejsze. ©℗ ANNA ŁABUSZEWSKA

W siłowni Łamignata

FUNDACJA KRESKA IM. JANUSZA CHRISTY

W BIESZCZADZKIEJ STĘŻNICY koło Baligrodu powstanie park rozrywki Kraina Kajka i Kokosza. O podpisaniu wstępnej umowy z inwestorem parku poinformowała kilka dni temu Fundacja Kreska im. Janusza Christy; rozmowy trwały ponad dwa lata. W planowanym na powierzchni ok. 500 hektarów parku znajdą się obiekty doskonale znane miłośnikom popularnych od lat 70. XX w. komiksów: Gród Mirmiła, Warownia Zbójcerzy czy Kraina Borostworów. Inwestor kusi nowoczesną kapsułą kinową i urządzeniem do wyświetlania obrazów z wykorzystaniem ekranów mgłowych. Dzięki technologii AR zwiedzający będą mogli się wcielić w postać Kajka, Jagi czy Łamignata.

Przedstawiciele fundacji zapewniają, że projekt parku wpisze się w naturalny krajobraz Bieszczad i nie naruszy jego ekosystemu. Koszt inwestycji oszacowano na ponad 30 mln zł. Komiks z przygodami Kajka i Kokosza ukazywał się przez prawie 20 lat, do 1990 r.; potem w 2003 r. serię wznowiło wydawnictwo Egmont. Od roku trwają prace nad serialem animowanym – to już czwarta próba ekranizacji komiksów Janusza Christy.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Azjaci trzymają się mocno

ANITA PIOTROWSKA

Tym razem to nie mistrzowie: Almodóvar, Jarmusch, Loach, Malick czy Tarantino, uchodzący od lat za festiwalowych beniaminków, opuścili Cannes ze statuetką Złotej Palmy. Jury na czele z Alejandrem Gonzálezem Iñárrítu, któremu towarzyszył m.in. Paweł Pawlikowski, za najlepszy film uznało „Gisaengchung" („Pasożyt") koreańskiego reżysera Bonga Joon-ho.

Polscy widzowie mogą go znać z netfliksowej produkcji „Okja", ekologicznej baśni dla dorosłych z genetycznie zmodyfikowaną świnią-gigantem w roli tytułowej – i wprost proporcjonalną dawką emocji. W najnowszym filmie też ich nie brakuje. „Dziwaczna czarna komedia o społecznym statusie, aspiracji, materializmie i patriarchalnym kolektywie rodzinnym" – podsumował brytyjski krytyk, chwaląc Bonga również za kunsztowną robotę filmową. I tak jak w wielu nagrodzonych tytułach rozbrzmiewał niepokój o przyszłość Europy („Les Misérables" Ladja Ly, „Młody Ahmed" braci Dardenne), to patrząc na ubiegłoroczny sukces japońskich „Złodziejaszków" Hirokazu Koreedy i na tegoroczny werdykt, można by zaryzykować stwierdzenie, że to nie w Europie, ale właśnie na Dalekim Wschodzie bije dziś serce kina artystycznego.

© ANITA PIOTROWSKA

QUARKS, ELEPHANTS & PIEROGI: POLAND IN 100 WORDS „Kwarki, słonie i pierogi: Polska w stu słowach" to anglojęzyczna książka Instytutu Adama Mickiewicza, która otrzymała tytuł Najpiękniejszej Publikacji Roku w kategorii „słowniki, encyklopedie, leksykony, poradniki" 59. Konkursu PTWK Najpiękniejsze Książki Roku 2018. „Chcieliśmy pokazać, że da się opowiedzieć o Polsce przy pomocy 100 słów" – mówi Sylwia Jabłońska, pomysłodawczyni książki.

INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

Na tytuł najpiękniejszej zapracowały ilustracje Magdaleny Burdzyńskiej, które towarzyszą setce opowieści Mikołaja Glińskiego, Matthew Davisa i Adama Żuławskiego. W słowach kluczach kreślą krajobraz Polski, jej historię i kulturę.

©℗ MAG

KULTURA W SKRÓCIE

KRAKÓW. Rozpoczął się 59. Krakowski Festiwal Filmowy. W ciągu ośmiu dni widzowie będą mieli okazję obejrzeć prawie 250 filmów, w większości pokazywanych w naszym kraju po raz pierwszy. Szczególnie gorąco zapraszamy na czwartkową debatę „Tygodnika Powszechnego" wokół filmu „Złota". Zaraz po projekcji w Kinie Pod Baranami z reżyserem Tomaszem Knittlem rozmawiać będzie nasz redaktor Paweł Bravo.

TOMASZ PIETRZYK / AG

WROCŁAW. Podczas ogłoszenia laureatów Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius doszło do bezprecedensowej sytuacji. Na uroczystej gali w Teatrze Lalek, Maciej Bobula (na zdjęciu) – wyróżniony za tomik „wsie, animalia, miscellanea" – zaprosił na scenę dwóch pozostałych nominowanych, Jana Rojewskiego i Michała Domagalskiego, a następnie odczytał oświadczenie, które wspólnie napisali jeszcze przed ogłoszeniem werdyktu. Poeci postanowili, iż podzielą nagrodę na trzy równe części. „Dwóch z nas jest nauczycielami, a o zarobkach w tej branży chyba nie musimy państwu mówić" – tłumaczył decyzję Bobula. – „System, w którym zwycięzca bierze wszystko, a przegrany odchodzi z niczym, jest dla nas bolesny, dlatego postanowiliśmy postąpić w ten sposób".

WARSZAWA. W minionym tygodniu poznaliśmy też 20 finalistów Nagrody Literackiej Nike oraz laureata Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki – w tym drugim konkursie zwyciężył Maciej Zaremba Bielawski. Jego „Dom z dwiema wieżami" dotyka fundamentów tego, kim jesteśmy i co nas kształtuje; formułuje pytania, których bolesność świadczy o tym, jak bardzo są dziś potrzebne, i przypomina o sile literatury – uzasadniło swój wybór jury.

KADRY Z TRZYDZIESTU LAT MARZEŃ

Szukacie historii polskiej transformacji w pigułce? Wystarczy obejrzeć kilka reklam. One na pewno się nam udały.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Każda reklama otwiera okno do innego świata. To świat idealny – umowny jak świat baśni czy mitów bohaterskich. Świat, w którym wszystkie problemy mogą zostać rozwiązane, a odpowiedzią jest – oczywiście – reklamowany produkt.

Przez lata – niczym poszukiwacze Eldorado czy Wysp Szczęśliwych – to utopijne królestwo umieszczaliśmy na rzeczywistej mapie świata, marząc o tym, że obrazki z reklamy są w rzeczywistości pocztówkami z Zachodu, do którego wytrwale zmierzamy. Trzydziestolecie potransformacyjnej reklamy można interpretować jako proces stopniowego uświadamiania sobie, że ten świat nie istnieje.

Zmieniają się produkty, techniki perswazji, dostępne media. Historia reklamy to zawsze historia transformacji. Od pewnego momentu transformowaliśmy się jednak nie w kierunku Zachodu, ale razem z nim. Nasza reklama dogoniła Zachód szybciej niż nasze życie. Dziś Polacy razem z mieszkańcami tych krajów odkrywają świat ze stocka, wiralowe wzruszenia czy potęgę influencerów.

30 lat billboardów, telewizyjnych spotów i internetowych kampanii układa się we frapujący przewodnik po zmieniających się marzeniach, możliwościach ich realizacji, a także języku opowiadania o nich.

Jak szybko starzeją się reklamy! Jak doskonale uświadamiają nam dzięki temu błyskawiczne tempo zmian zachodzących w świecie. Elektroniczny gadżet, który dziesięć lat temu był pożądaną nowością, dziś jest antykiem. Towarzysząca mu kampania, wtedy świeża i oryginalna – po latach razi sztucznością i niskim budżetem. Czas błyskawicznych zmian sprzyja kultowi młodości. Tylko młodzi mają szansę nie złapać zadyszki w maratonie zmieniających się technologii. Tym ciekawsza okazuje się starość ukazana w reklamie.

Andrzej Kopiczyński, Irena Kwiatkowska i Leonard Pietraszak, bohaterowie „Czterdziestolatka" w reklamie Polleny 2000. Archaiczny kadr z YouTube.

DARIUSZ GORAJSKI / AG

Ostatnia odprawa celna niemieckich samochodów z tzw. szrotu. Kołbaskowo, 23 marca 2001 r.

Samochodem, byle prędzej

POLSKA W RUCHU

Jeżdżę po Polsce blisko 45 lat. Zaczynałem fiatem 126p. W 1980 r., wezwany przez papieża Polaka, wyjechałem nim z PRL-u do Rzymu.
W nową epokę wjeżdżaliśmy w maluchach. Przynajmniej większość z nas. A jazda wtedy...?
To była przygoda! W bagażniku klucze, kombinerki, młotek, części zamienne, lewarek i zapasowe dętki. Ileż to dostarczało emocji. Taka np. jednopasmówka z Warszawy do Poznania. To było jak safari! Pędzili rodacy w bmw czy volvach z drugiej (albo i trzeciej) ręki, dumni, bo na saksach rozstali się z maluchem i spełnili sen o własnym samochodzie.
Kimże byłem nawet w fiacie uno, kiedy – ryzykując własne i moje życie – mnie wyprzedzali albo oślepiali reflektorami?
Im rynek bardziej był wolny, tym było ich więcej. A drogi? Jadącemu z Rzymu te dobre kończyły się na granicy Austrii z Czechami lub Słowacją. Tam jednak dobre drogi zaczęli budować od początku. U nas później.
Ale zbudowali. Jeżdżę nimi. Wygodnie się jedzie, szeroko, bezpiecznie, ale nudno. Pędź spokojnie i się nie zatrzymuj na skraju lasu, nie obcuj, jak kiedyś, z przyrodą (nawet jeśli wyskakiwała pod koła), zamiast mchu i liści łopianu masz teraz wypucowane toalety na stacjach benzynowych. Wszyscy więc pędzą, zgodnie ignorując ograniczenia prędkości, jakby na tym właśnie miała polegać wolność.

©℗ KS. ADAM BONIECKI

↦ Ta opowieść, podobnie jak rzeczywistość, którą przedstawia, składa się tylko z obrazków. Bo na tym właśnie polega wielka siła – i wielkie oszustwo reklamy. Reklama otwiera okienko do innego świata, ale jest ono zawsze malutkie. Nie wiemy, co z bohaterami zdarzyło się wcześniej i później. Reklama nie kreśli tła, każe nam się wszystkiego domyślać. Przypomina w tym nieco płótna wielkich malarzy. Nigdy się nie dowiemy, na co patrzy dziewczyna z perłą, ani jaki widok rozciąga się za oknem nalewającej mleko. To nie epicka mitologia całości, w której opisać trzeba i tarczę Achillesa, i jego posiłek, i każdy żagiel każdego greckiego statku. Przeciwnie. Reklama zawsze powołuje do życia mitologię fragmentu.

Ale jakże nasycone znaczeniem są te fragmenty.

Ojciec, prać?

Na początku lat 90. reklamy chętnie uruchamiały kod kulturowy naszego kanonu lektur. „Był 1990 rok. Polski rynek zasypały produkty sprowadzane z Zachodu – opowiada Agata Jakóbczak w książce „Transformersi. Superbohaterowie polskiej reklamy 80.-90.". – Pollena 2000 chciała zwrócić na siebie uwagę jako polska marka, wyróżnić się pośród innych proszków, które walczyły o miejsce w świadomości Polaków zdezorientowanych nagłą możliwością wyboru". Słynne „Ojciec, prać?" stało się czymś w rodzaju wzorca metra tego pierwszego okresu reklamy. Autorem genialnego hasła zaczerpniętego z „Potopu" był, co ciekawe, nie spec od marketingu, lecz ówczesny dyrektor bydgoskiej fabryki Pollena.

Inna reklama tej samej marki nawiązuje do serialu „Czterdziestolatek". Oglądamy w niej smutnego Andrzeja Kopiczyńskiego wyciągającego z pralki niedopraną koszulę. „Znowu te plamy, bez żony bieda!" – rozpacza serialowy inżynier Karwowski na tle pięknej łazienki w stylu wczesnych lat 90. „Po co ci żona? Wystarczy dobry proszek!" – radzi doktor Stelmach (Leonard Pietraszak), gdy wtem do mieszkania wparowuje Irena Kwiatkowska i zachwala Pollenę. „To pani?" – dziwi się Kopiczyński, dając Kwiatkowskiej okazję do wygłoszenia ikonicznej kwestii: „Ja jestem kobieta pracująca, żadnego prania się nie boję!".

W sumie Pollena wyprodukowała kilkadziesiąt reklam, w których pojawili się m.in. Zagłoba czy Danusia z „Krzyżaków". Nawiązywały one do epickiej tradycji polskiej literatury nie tylko dialogami, lecz także rozmachem produkcji. „To musi być kawałek fabuły – Jakóbczak cytuje jednego z zaangażowanych w przedsięwzięcie producentów – kto mi to wszystko przygotuje? Trzeba zbudować dekorację albo znaleźć miejsce, które zagra karczmę. Ktoś musi zrobić historyczne kostiumy, fryzury... Skąd wziąć tych wszystkich fachowców?".

Pollena 2000 to zatem, zgodnie ze sloganem, „zachodnia jakość, krajowa cena", ale też polski produkt i (prawie) zachodnia jakość reklamy. Uniwersalne wartości, globalne marki i światowy *know-how* trzeba było opakować w kod kulturowy zrozumiały i atrakcyjny dla lokalnego odbiorcy. Na początku lat 90. to jedna z przewodnich ideologii polskiej branży reklamowej, wypierająca dawne „komunistyczne w formie, narodowe w treści".

Stąd w naszych telewizorach Witold Pyrkosz przywołujący postać zbójnika z Janosika (dziś do tego samego serialu nawiązuje w swoich animowanych spotach piwo Harnaś). Albo aktorzy (a w zasadzie postacie) z serialu „Złotopolscy" wyjaśniający Polkom i Polakom meandry systemu otwartych funduszy emerytalnych.

Busikiem, gdzie kolej nie sięga

POLSKA W RUCHU

„Tam z tyłu jest miejsce" albo: „Ja tu też wysiadam" – te zdania, powtarzane w wąskich przejściach używanych fordów transitów, na trwałe zapisały się na ścieżce dźwiękowej polskiego przełomu tysiącleci. W pierwszych latach transformacji prywatni przewoźnicy szturmem zdobyli rynek. Polska odmiana wschodnich marszrutek okazała się szybsza i tańsza od autobusów, a przede wszystkim zabierała pasażerów tam, gdzie stare autosany Państwowej Komunikacji Samochodowej (w późniejszych latach podzielonej na mniejsze przedsiębiorstwa, dziś w większości upadłe) tylko likwidowały kursy. „Busiarze" stosowali też model biznesowy łudząco podobny do tanich linii lotniczych – jeździli tylko tam, dokąd się opłacało, ciasno montowali siodełka, aby pomieścić więcej pasażerów, i rzadko przyjmowali ich skargi. Gdzieniegdzie, jak na trasach z Zakopanego do tatrzańskich dolin, prowadziło to do patologii i zawiązywania się silnego busiarskiego lobby. Jednak w busach nie było klasy *premium* i *economy*, wszyscy podróżowali równi. W tym być może ostatnim tak demokratycznym środku transportu zbiorowego niepodzielnie rządził kierowca: to on decydował o głośności muzyki i włączał radio. I w jednym nie odróżniał się od pasażerów – gdy kończyły się wiadomości, tak jak oni psioczył na polityków.

©℗ MARCIN ŻYŁA

MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA GAZETA

Dworzec dla busów założony przez właścicieli kilku firm budowlanych. Limanowa, lipiec 2013 r.

Dziś, po niemal 30 latach, reklamy Polleny 2000 same stały się kanonem. Do dobrego obyczaju należy przywołanie ich na początku każdej wyliczanki najważniejszych polskich reklam, a nieznajomość słów „Ojciec, prać?" wyklucza ze wspólnoty żartów i kalamburów. Nie odsyłają już jednak do bojowej familii Kiemliczów, lecz do czasów, gdy liczba 2000 mogła jeszcze konotować przyszłość i nowoczesność. Niby tak niedawno, a jak dawno, prawda?

Tomato keczup

Reklamy najpierw pasożytowały na języku naszych kodów kulturowych, a potem same stały się dla niego tworzywem. Nie ma dla twórcy większej nobilitacji, a dla reklamowanego produktu szerszego darmowego nagłośnienia niż sytuacja, w której slogan reklamowy wchodzi do języka potocznego.

Jak stworzyć slogan idealny? Zdania są podzielone. Niektórzy zabierali się do tego zadania z warsztatem godnym poetów eksperymentalnych. „To, co ma pomidor, to ma to keczup" – zachwalał swe walory keczup Kotlin. „Z trzech »to« żadne nie jest potrzebne, a co najmniej jedno użyte niepoprawnie – ubolewał Jerzy Bralczyk w książce „Język na sprzedaż". – Zdanie »Co ma pomidor, ma ketchup« jest krótsze i poprawne, ale nie ma tego, co ma »to ma to«".

Język reklamowych sloganów traktuje reguły gramatyki swobodnie nie od wczoraj i nie tylko w Polsce. Dość przypomnieć słynne hasło Apple'a „*Think different*" – „myśl inaczej", czy raczej – „myśl inne", bo użyta forma nie jest przysłówkiem, na co przez wiele lat zwracali uwagę rozwścieczeni gramatyczni policjanci w całej Ameryce. Podobne emocje wywołuje „*I'm loving it*" McDonald's (zamiast „*I love it*"). Język reklamy, zwłaszcza ten najbardziej ambitny, nie aspiruje do gramatycznej poprawności. Reklama chce kształtować reguły języka, nie im ulegać.

Dlatego większe sukcesy od poetów i mistrzów warsztatu odnosili na tym polu często ludzie obdarzeni genialnym słuchem (czasem byli to zresztą ci sami – poeci, którzy przestawili nieco wajchę swego talentu). Jak twórcy genialnego sloganu „No to Frugo!", o którym Bralczyk pisał z kolei, że „zawiera łatwo odczytywany impuls (»No to... «), jednak bez rozkaźnika, który czasem razi. W pobudzaniu łączy nadawcę z odbiorcą (brzmi jak: »Zróbmy coś razem!«)".

Albo „Czas na EB". Jeszcze na chwilę oddajmy głos profesorowi Bralczykowi: „Eklezjasta powiadał, że jest czas siewu i czas zbierania. Od tej pory używamy czasu do wyznaczania zdarzeń. Starczy powiedzieć, że na coś czas – i zyskać przeświadczenie, że tak jest istotnie. Coca-Cola może sobie być zawsze, a i tak zawsze możemy powiedzieć, że »czas na EB« – i wypić piwo".

Ale do języka potocznego weszły przede wszystkim slogany nie tyle błyskotliwe i genialne same w sobie, ile raczej funkcjonujące jako celna puenta w oryginalnym kontekście, a nierzadko oparte na specyficznym absurdzie. „Prawie robi wielką różnicę", „A świstak siedzi i zawija je w te sreberka".

Moim ulubionym przykładem jest jednak „A łyżka na to »niemożliwe«". Pamiętają Państwo ten slogan? Kiedy prawie dekadę temu omawiałem go ze studentami na zajęciach, okazało się, że w zasadzie wszyscy znali hasło, ale nikt – nawet jedna osoba na kilka grup, z którymi prowadziłem eksperyment! – nie potrafiła powiązać go z produktem. To dlatego, że cytat o łyżce jest puentą reklamy... margaryny. Rama Mix Jogurtowy zachwalała swe walory opowiadając historię noża, który teraz może poznać ten delikatny smak. Stąd niedowierzająca reakcja łyżki, dotychczas dysponującej monopolem na konsumpcję jogurtu. Chyba nie da się zbudować reklamy, która trwale powiązałaby skojarzenie łyżki z produktem do smarowania ↦

↦ pieczywa... Zresztą Milka też trochę strzeliła sobie w stopę, lansując zawijającego świstaka, skoro wkrótce zrezygnowała ze sreberek. I co? Świstak, idol milionów telewidzów, trafił z dnia na dzień na bezrobocie?

Jean Reno pije polskie piwo

Piękna dziewczyna – o której zaraz kilka słów więcej – pcha hotelowy wózek z piwem przez elegancki korytarz. Mija grupę ochroniarzy w ciemnych okularach i trafia do pokoju samego Jeana Reno. Ten przyjmuje od niej szklankę, delektuje się trunkiem, a potem wzywa wszystkich ochroniarzy (sporo ich potrzebuje, jak na gwiazdora kina akcji...), żeby napili się wraz z nim.

Jest przepowiedziany przez Pollenę rok 2000. Gwiazdor „Leona Zawodowca" pije polskie piwo, a potem jeszcze mówi „dziękuję" – po naszemu! Oto ostateczny wyraz uznania. Dowód, że już dogoniliśmy, dotarliśmy, że teraz możemy nawet eksportować, zadziwiać, zachwycać.

Zachodnia gwiazda w reklamie polskiego produktu to certyfikat najwyższej jakości. Bank BZ WBK przez dłuższy czas opierał swoją komunikację na ich plejadzie: Chuck Norris, którego nie śmieszyły dowcipy o Chucku Norrisie, John Cleese, Danny DeVito, Gérard Depardieu, Antonio Banderas i Kevin Spacey polecający kredyty przy stole na jakiejś rodzinnej uroczystości (na koniec polski wujek poczęstował go polskim kiszonym ogórkiem). Obsada, jakiej nie powstydziłaby się najlepsza hollywoodzka superprodukcja.

Jak na tym tle przedstawiają się rodzime gwiazdy? Ich pozycja w reklamie z pewnością nie jest zagrożona przez zachodnich konkurentów. O ile ci wcielają się zwykle w bóstwa zstępujące na ziemię, polskie gwiazdy są raczej gwarantem stabilności, zapewniając spójność między światem reklamy a pejzażem telewizyjnych programów i kolorowej prasy.

Zarówno w przypadku gwiazd polskich, jak i zagranicznych publiczność rozgrzewają do czerwoności przecieki dotyczące wysokości kontraktów. Anegdotki o tym, który aktor ile zarobił na reklamie, to jeden z obowiązkowych punktów rozkładu jazdy we wszystkich znanych mi podsumowaniach historii polskiej reklamy. Zarywanie nocy, zaniedbywanie prób, ostracyzm ze strony bardziej uduchowionych kolegów, ale też możliwość zarobienia w jeden wieczór rocznej teatralnej pensji – to wszystko doskonale znane wątki. Swego rodzaju domknięciem tej opowieści jest dla mnie zawsze historia Marka Kondrata, który – jak sam chętnie powtarza – rzucił aktorstwo i został pracownikiem banku, trwale wiążąc swą twarz z marką ING. Od opowieści o marketingowej partyzantce, reklamach kręconych nocą i abstrakcyjnych stawek przeszliśmy tym samym do pełnego profesjonalizmu. Wycena, kontrakt, długoterminowa relacja. Kapitalizm uległ normalizacji.

A co porabia Jean Reno prawie 20 lat później? Dalej reklamuje Polskę, tylko już bez piwa. Bo teraz to już nie poszczególne produkty poszukują uwiarygodnienia, lecz cały kraj. W spotach nakręconych przez Polską Fundację Narodową, na które solidarnie zrzuciły się największe spółki Skarbu Państwa, naszą ojczyznę zachwalają także Mel Gibson czy Liam Neeson. W sponsorowanym przez firmę Black klipie o bohaterstwie powstańców warszawskich opowiada były mistrz bokserski Mike Tyson. Głos pod stworzoną przez IPN animację pt. „Niezwyciężeni" podkłada z kolei Sean Bean. Gwiazda „Władcy Pierścieni" i „Gry o Tron" z przejęciem oprowadza zachodnich widzów po meandrach naszej historii. Dość niefortunny wybór, zważywszy na to, że aktor słynie z tego, że grane przez niego postaci giną

KAROL JACKOWSKI / REPORTER

Pierwsze polskie tanie linie lotnicze Air Polonia latały tylko trzy lata. W grudniu 2004 r. zbankrutowały.

Samolotem do pracy

POLSKA W RUCHU

Na początku lat 90. w odświeżonym w straszliwszym odcieniu buraczka terminalu warszawskiego Okęcia można było spotkać głównie biznesmenów lub podróżującą z Ameryki Polonię. Podkrakowskie Balice zaś były dusznym barakiem upstrzonym brzydkimi reklamami. Dziś, w rozbudowanych i dużo ładniejszych przestrzeniach polskich lotnisk odnajdziemy pełen przekrój społeczny. Pytanie dzieci o to, czy pamiętają swój pierwszy lot, straciło sens – gdyż na pokład samolotów wsiadają już jako niemowlaki. Główna w tym zasługa tanich linii lotniczych, które swój biznes upatrzyły w przewożeniu Polaków do ich nowych miejsc pracy na Zachodzie. Wielka polska migracja lat dwutysięcznych odbyła się właśnie na pokładach ich samolotów – węgierski WizzAir i słowacka (dziś już nieistniejąca) SkyEurope przewiozły pierwszych pasażerów z Polski w maju 2004 r., kilka dni po naszym wejściu do Unii; rok później na lotnisko we Wrocławiu zawitał Ryanair. Z czasem zwyczaje w tanich liniach stopniowo się normowały (Ryanair wprowadził w końcu numerację miejsc i skończyły się słynne „wyścigi do fotela przy oknie"), a w ślad za sukcesem tanich linii nowe kierunki z Polski oferują też linie tradycyjne. ©℗ MARCIN ŻYŁA

BARTŁOMIEJ KUDOWICZ / FORUM

Ostatnia inspekcja pod charakterystycznym dziobem – za chwilę z Wrocławia wyruszy pierwszy pociąg Pendolino, 12 sierpnia 2013 r.

Pendolinem jak po grudzie

POLSKA W RUCHU **To był pierwszy nasz krok w stronę kolei dużych prędkości: w grudniu 2014 r. na polskie tory wyjechało pendolino. Co prawda od lat 90. nieustannie kurczy się sieć kolejowa. Ale za to dopieszczono podróżnych jadących z Warszawy do paru głównych metropolii. Jak to zwykle u nas, awans cywilizacyjny okazał się być na pół gwizdka. Owszem, za ponad 2 mld zł kupiono 20 pociągów, tyle że w ubogiej wersji: bez wychylnych pudeł (a stąd włoska nazwa oznaczająca „wahadełko"), które pozwoliłyby jechać szybciej na łukach. Ale i na prostej tylko na nielicznych odcinkach pociąg rozpędza się do 200 km/h.**

Choć podróż pendolinem to skok na inną planetę komfortu – czego należy wymagać za bilet dwa i pół raza droższy niż na zwykły pociąg – to świetnie izolowane przed wstrząsami i hałasem pudła okazały się też tłumić zasięg sieci komórkowych, odcinając podróżnych od internetu. A o pokładowym WiFi zamawiający także zapomnieli. Dopiero od roku niektóre składy sukcesywnie uzyskują to udogodnienie – oczywiste w innych modelach pociągów PKP Intercity. Takich jak Flirt czy Dart, produkowanych w Polsce. ©℗ PAWEŁ BRAVO

tragicznie i widowiskowo przed końcem pierwszego sezonu...

Pożądanie

Dziewczyna nalewająca piwo to powtarzalny chwyt charakterystyczny dla polskiej reklamy. Jego wszechobecność zwraca uwagę na uprzedmiotowienie kobiecego ciała, ale też na próbę ucieleśnienia produktów przez nadanie im ludzkiej twarzy (choć trzeba uczciwie przyznać, że wcale nie na twarzy skupia się kamera w wielu reklamach prezentujących ten topos).

Dobrym przykładem jest tu dziewczyna ze wspomnianego spotu z Jeanem Reno. Jeszcze lepszym – słynna reklama EB, w której towarzyszyliśmy ikonicznej Dziewczynie w Czerwonej Sukience. Przy dźwiękach piosenki „Sex Bomb" Toma Jonesa wyruszała ona w podróż, by przynieść piwo swojemu wybrankowi. To jednak okropne, jeżeli przypomnimy sobie, że reklama nie tylko kształtuje pożądanie dla produktu, lecz także wyznacza społeczne normy.

Językowym wyrazem tego samego motywu jest „Mariola o kocim spojrzeniu". Kot Przybora i Iwo Zaniewski stworzyli na potrzeby kampanii całą piosenkę w przedziwny sposób łączącą stylistykę disco-polowej ballady i egzotyczne (meksykańskie?) rytmy. „Mariola ma oczy piwne / Mariola okocim spojrzeniu / a w oczach błyski przedziwne / jak słońce brzęczące w jęczmieniu". A to wszystko nie z czystej miłości do kalamburów, lecz z konieczności obejścia ustawy zakazującej reklamowania napojów alkoholowych.

Trzeba mieć fantazję

Wielka inwazja reklam OFE zamykająca ubiegłe tysiąclecie w moim osobistym rankingu obrazków z reklamy to najważniejszy moment ostatnich trzech dekad. Reforma emerytalna wprowadzona przez rząd Jerzego Buzka postawiła przed specjalistami od marketingu niebagatelne wyzwanie. Dotychczas opowiadali głównie o świecie młodości i nowości. Teraz kilkudziesięciu milionom Polaków musieli na nowo opowiedzieć starość. I przez tę jedną niezwykłą chwilę starość była w Polsce wszędzie. Wyskakiwała z gazet, przerywała seriale, święciła triumfy na billboardach. Dominowała w błyskawicznie zmieniającym się świecie opętanym kultem młodości. Jak zwykle otwarte przez reklamę okno prowadziło do zmyślonego świata, w dodatku zmyślonego jedynie we fragmentach, nieprzejmującego się logiką i relacjami przyczynowo-skutkowymi. Nie była to więc starość prawdziwa ani nawet możliwa. Ale za to jaka była piękna!

Moją ukochaną reklamą z tego okresu jest ta przedstawiająca przerażoną starszą panią na stacji benzynowej. Czekając na męża, który wyszedł z samochodu, by zapłacić za paliwo, kobieta pada ofiarą grupy chuliganów w stylu mrocznych filmów postapokaliptycznych. Za jej niewielkim samochodem parkuje olbrzymia maszyna, z której wśród błysków reflektorów i dudnienia basów wyskakuje grupa wyrostków. Mężczyźni kołyszą pojazdem starszej pani, oblewają go piwem, pokazują jej obsceniczne gesty. Wtedy z budynku stacji wychodzi stateczny mąż. „Trzeba mieć fantazję, dziadku!" – wykrzykuje pod jego adresem prowodyr napastników. Starszy pan bez mrugnięcia okiem wsiada do samochodu, wrzuca wsteczny i wdeptuje pedał gazu, roztrzaskując maskę gargantuicznej machiny symbolizującej przewagę i agresję młodych ludzi. „Trzeba mieć fantazję i pieniądze, synku!" – rzuca w kierunku zszokowanych napastników i odjeżdża zwycięski.

Nawet po wielu latach od premiery i dziesiątkach odtworzeń ta reklama robi na mnie piorunujące wrażenie. Przecież poza obietnicą zamożności wszystko tu jest prawdziwe! Poczucie bezsilności, lęk, satysfakcja, którą daje przeżycie fantazji o natychmiastowej zemście... W reklamach OFE to właśnie fantazja ujawnia się jako kluczowa figura. Eksploatują ją w zasadzie wszystkie kampanie. Także te ukazujące wyłącznie młodych, stawiające ich ↦

↦ przed trudnym wyzwaniem „wyobraźcie sobie, że kiedyś też będziecie starzy”.

Wątki łączące całą telewizyjną gorączkę OFE dobrze spina spot funduszu EGO pod hasłem „pozostań sobą”. „Na emeryturze nie musisz udawać życia” – przekonują twórcy reklamy, ukazując sędziwego pana jeżdżącego na nartach... w fotelu. Za tło służy pierze ofiarnie darte przez żonę przed wentylatorem i zasypujące sędziwego króla stoków alpejską śnieżycą.

O co w tym wszystkim chodziło? Czy reforma od początku była chybiona, czy może, jak to zwykle, reforma była dobra, a bojarzy źli? Kto zabrał nasze fantazje o szczęśliwej, bogatej, spektakularnej starości? Chciałbym, żeby ktoś nakręcił spot wyjaśniający mi, co tu się właściwie stało.

Ucieczka z niewidzialności

Albo taka sytuacja. Chcąc zilustrować studentom pewne mechanizmy socjologiczne, moja doktorantka wyświetliła im film z serwisu YouTube. „Proszę uważać – powiedziała – teraz będzie materiał do analizy, oglądamy uważnie”. 30 sekund później cała grupa siedzi z bardzo dziwnymi minami. Prowadząca pyta, co się stało. „Bo myśmy nie uważali... Myśleliśmy, że to reklama przed właściwym filmem”. A to był właśnie film do analizy (jedna z reklam banku z Markiem Kondratem). Widząc reklamę na YouTube grupa automatycznie wyłączyła uwagę. Całkowicie! Do tego stopnia, że siedząc z otwartymi oczami przed ekranem nie zarejestrowali zupełnie nic z obejrzanego filmu.

To mechanizm, z którym twórcy reklam muszą się dziś mierzyć nieustannie. Odbiorcy przyzwyczajeni do marketingowych przekazów uczą się je ignorować. Ostatnie 30 lat to w Polsce wyścig zbrojeń w tej fascynującej wojnie. Marketingowcy opanowują nowe sztuczki, Polacy opanowują sztukę obojętności, nadawcy sięgają po nowe triki, odbiorcy skrywają się za kolejne szańce. Pierwsze spoty emitowane w telewizji były oglądane z większym zainteresowaniem niż towarzyszące im filmy. Dziś trzeba się postarać, by wywalczyć dla siebie kilkanaście sekund uwagi widzów, czytelników albo przechodniów.

Zaraz po transformacji reklama była dumna z tego, czym jest. Dziś, żeby zachować swą skuteczność, coraz częściej udaje, że nie jest reklamą. Na przykład dokonując inwazji na przestrzeń publiczną i przekuwając wszechobecność w atut, jak to miało miejsce w kampanii reklamowej Heyah, wyznaczającej symboliczny półmetek opisywanego tu okresu (2004 r.). Wielka czerwona łapa, początkowo pozbawiona jakichkolwiek dodatkowych informacji, na kilka tygodni opanowała polskie miasta. Była na Pałacu Kultury i Nauki i na tysiącach vlepek zdobiących – czy, jak kto woli – szpecących przystanki tramwajowe, na balkonach domów mieszkalnych i na flocie specjalnie wynajętych trabantów. Towarzyszył jej tylko slogan „Nadchodzi”, czasem adres strony internetowej www.nadchodzi.pl. Sporo ciekawości udało się rozbudzić, nim okazało się, że to nie inwazja obcych ani kolejny kandydat na prezydenta, lecz nowa marka jednego z operatorów telefonii komórkowej. Od tego czasu trudniej uwieść naszą ciekawość. Każdy kolejny nalot dywanowy na naszą ciekawość podnosi poprzeczkę jeszcze wyżej, przesuwając nam próg wrażliwości.

Może więc lepiej sprawdzi się inna metoda zdobycia uwagi? W ostatnich latach polscy twórcy reklam z sukcesami biorą udział w globalnym wyścigu Wiralowych Reklam Wzruszających. Cel: stworzenie reklamy, która będzie tak poruszająca (czasem również zabawna), że użytkownicy sami zadbają o jej dystrybucję. Termin: zwykle okolice Bożego Narodzenia. W 2016 r. Allegro podbiło nie tylko Polskę, ale i kawał świata reklamą przedstawiającą starszego pana studiującego język angielski. Przez trzy minuty towarzyszymy mu w codziennym życiu, z rozbawieniem patrząc, jak ze słuchawkami na uszach powtarza w autobusie „*I love you*”, niczym Pazura w „Kilerze” recytuje dialogi z filmów sensacyjnych i okleja mieszkanie karteczkami z angielskimi nazwami przedmiotów. Ale przy ostatniej scenie nawet najwięksi twardziele czują lekkie wzruszenie. Starszy pan zakupiwszy walizkę (podobnie jak kurs językowy – na Allegro), wyrusza za granicę, by po raz pierwszy

Rowerem po wolność

POLSKA W RUCHU

„IDĘ NA ROWER!” – dla dzisiejszych dorosłych, których dzieciństwo przypadło na przełom lat 80. i 90., tak brzmiał okrzyk wolności. Transformacja widziana z siodełka polegała na wypieraniu rodzimych Wigier 3 przez amerykańskie BMX-y, potem „górale”, aż pojawił się rower miejski. A z nim nowomieszczańskość. Zamiast amerykańskiego pędu – europejskie uspokojenie ruchu.

Ale opinia, jakoby po 1989 r. miasto z aut przesiadło się na rowery, a wieś z rowerów do aut, to uproszczenie. Badania pokazują, że miasto i wieś z roweru korzystają dziś tak samo: głównie rekreacyjnie, ale też jako ze środka dojazdu na zakupy, do pracy i szkoły. Z drugiej strony aż 60 proc. Polaków wciąż na rower nie siada – to jeden z najgorszych wyników Europy.

Rowerowo uruchomiły nas fundusze unijne, za które powstała infrastruktura. Początkowo budowana chaotycznie i doraźnie – to kolejna metafora trzydziestolecia – lecz jednak konsekwentnie. Teraz od Dunajca po Kaszuby krzewią się rowerowe szlaki, a rowery miejskie stały się poligonem sharing economy.

Dziś Polska idzie na rower – na wolność, nie tylko rozumianą jako swobodę na świeżym powietrzu czy uwolnienie od presji motoryzacyjnego prestiżu: rower na tłocznych drogach uczy też korzystania z wolności z poszanowaniem innych. Choć to lekcja bolesna (przyczyną połowy wypadków i kolizji z udziałem rowerów jest nieudzielenie pierwszeństwa), to wyjątkowo w tym 30-leciu ważna.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA GAZETA

Szosa Warszawa-Siedlce, 19 stycznia 1997 r.

spotkać się ze swą niemówiącą po polsku wnuczką. „*Hi, I'm your grandpa*" – wygłasza z przejęciem kwestię, do której przygotowywał się miesiącami.

Jeżeli nie mamy akurat weny, by powołać do życia własne postacie, zawsze można skorzystać z pomocy któregoś z youtuberów, blogerów czy influencerek instagramowych. Choć internetowi mikro- i makrocelebryci utrzymują się z pisania sponsorowanych postów i wrzucania na swe profile zdjęć nadesłanych przez firmy produktów, paradoksalnie ich atutem jest wiarygodność. Ze swoimi fanami mają często głęboką, osobistą więź, są wzorami do naśladowania, ikonami sukcesu ery mediów społecznościowych. Ale nie ma nic za darmo. Prawdziwy internetowy influencer, zwłaszcza nastoletni, może wywinąć numer, jakiego nigdy nie wykręci miły starszy pan (zwłaszcza że jest postacią fikcyjną).

Kiedy kończę ten tekst, jeden z banków ma właśnie poważny problem wizerunkowy. Popularna w internecie nastolatka, którą zatrudnił w swojej reklamie, podzieliła się z fanami filmem dokumentującym, jak odłupuje nos zabytkowej rzeźbie w jednym z warszawskich parków. Bank natychmiast zakończył współpracę, instagramerka przeprosiła. Na pocieszenie przybyło jej kilka tysięcy nowych fanów.

Czwarta dekada nowej Polski zapowiada się intrygująco.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Hulajnogą jedzie nowe

POLSKA W RUCHU

Kiedy ostatni raz wymieniałem łożysko w przednim kółku, obliczyłem, że przez kilka lat zrobiłem na niej dobre trzy tysiące kilometrów. Mieszkam za miastem, do pracy dojeżdżam koleją podmiejską, a między domem a stacją i dworcem a redakcją jeżdżę na hulajnodze. Składana, współpasażerom nie przeszkadza, po zmroku dbam o widoczność – a nie pamiętam już, co to korek, no i co przy tym popracuję mięśniami, to moje.

Ano właśnie: moja hulajnoga jest analogowa, nie rozpędzam się do prędkości zagrażających pieszym – debata, która wybuchła w związku z pojawieniem się w polskich miastach wypożyczalni elektrycznych hulajnóg i pierwszymi przypadkami potrąceń, nie bardzo mnie dotyczy.

Ale ten problem istnieje. Władze Paryża zakazały już jazdy po chodnikach tych bezszelestnych i przekraczających prędkość 25 km/h urządzeń. Uregulowania wymaga kwestia, czy mamy do czynienia z tzw. urządzeniem transportu osobistego (jak np. deskorolka), czy raczej z czymś w rodzaju motoroweru. Trudno się jednak spodziewać, by hulajnogi stały się symbolem nowych czasów. Cena za wypożyczenie (kilkadziesiąt groszy za minutę jazdy) utrudnia odbywanie na nich dłuższych podróży – przydają się raczej na ostatni kilometr.

Z drugiej strony: w Warszawie 5 firm wypożycza już 3 tys. hulajnóg i wolno sądzić, że jakaś część tych, którzy po nie sięgają, zrezygnowała z samochodu. Dobrze, że mają i ten wybór.

PIOTR MIZERSKI / REPORTER

Dominikanin Mirosław Pilśniak, Warszawa, czerwiec 2006 r.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Burza

Gdy tylko Jonasz znalazł się na statku płynącym do Tarszisz, wybuchła straszna burza. Marynarze czuli, że przyczyna znajduje się na statku. Kapitan wybudził Jonasza ukrytego gdzieś w ładowni: „Dlaczego śpisz? Wstań, wołaj do swojego Boga! Może Bóg wspomni na nas i nie zginiemy" (Jon 1, 6). Marynarze tymczasem, chcąc wiedzieć, kto ponosi odpowiedzialność za nieszczęścia, rzucili losy. Padło na Jonasza. To on miał być przyczyną tragedii.

W Biblii kilka razy czytamy o rzucaniu losów. Pierwsze takie zdarzenie znamy z Księgi Estery. Tam wstrętny Haman losowo wybrał dzień wielkiej czystki na Żydach. Losy decydowały też o podziale ziem między plemionami w Erec Israel. Być może zdano się na przypadek, by w ten sposób zachować pewnego rodzaju rzetelność. Jedni dostali mniej, inni więcej ziemi. Jedni otrzymali żyzną, inni półpustynną. Ale decydował przypadek. Przed Namiotem Spotkania decydowała się przyszłość ludu.

Czym był los, którym grali marynarze? Przypomina wróżbę – coś, czego Hebrajczykom zwykle czynić nie było wolno. Bo przecież od wiernego Żyda oczekiwano odpowiedzialnego i rozważnego działania, za którym stała świadomość swoich możliwości. Tym razem los wybrał właściwie. Jonasz od razu powiedział, kim jest: „Jestem Hebrajczykiem, czczę Pana, Boga niebios, który stworzył morze i ląd" (Jon 1, 9). Nieżydowscy marynarze wielce się przestraszyli. Wiedzieli, jak potężny jest Bóg Izraela w gniewie i w ocaleniu. Tym większy był ich lęk, gdy dowiedzieli się, że Jonasz ucieka przed Bogiem, że odmawia wykonania swej misji. Zapytali go, co czynić, by morze się uciszyło. Jonasz zaproponował: wrzućcie mnie do morza.

Ludy ówczesne wierzyły, jak pisał Ajschylos w tragedii „Siedmiu przeciw Tebom", że źli, grzeszni ludzie są ciężarem dla statku i oni budzą szaleństwa morza. Marynarze stanęli wobec strasznego wyboru: ocaleć i zabić Jonasza albo zginąć. Wybrali śmierć proroka, prosząc Boga, by kara za ten czyn nie spadła na ich sumienia. „Wtedy wzywali Pana, mówiąc: »O Panie! Nie dopuść, abyśmy zginęli z powodu tego człowieka, i nie obarczaj nas winą przelania krwi niewinnej...«" (Jon 1, 14).

W midraszu z VIII wieku, w którym opisuje się stworzenie wielkiej ryby, czytamy: „Gdy marynarze wsadzili Jonasza do morza po kolana, morze się nieco uspokoiło, a gdy go wyjęto, znowu szalało, gdy wsadzono go po pępek, morze było jeszcze spokojniejsze, a gdy go wyjęto, było znów wzburzone, a gdy go wsadzono całego do wody, morze całkowicie się uciszyło".

Wina ich zostawała zmazana. Uderza kontrast między obojętnym na swój los i na los statku Jonaszem a rozdzierającym przerażeniem oraczy morza. Przerażeniem i sztormem, i ciężarem wyboru. To nie-Hebrajczyk okazał się moralnie dojrzały. Prorok szukał tylko samozniszczenia, ucieczki w śmierć, obojętny na los innych. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Trzecia część Biblii

„Teofilu, w pierwszej księdze napisałem o wszystkim – mówi autor Dziejów Apostolskich – co Jezus czynił i czego nauczał od początku aż do dnia, w którym pod wpływem Ducha Świętego udzielił pouczeń wybranym przez siebie apostołom i został wzięty do nieba. Po swojej męce wiele razy okazywał im, że żyje. Przez czterdzieści dni zjawiał się im bowiem i mówił o królestwie Bożym". I tak to zjawianie się Jezusa i mówienie o królestwie Bożym trwa do dzisiaj.

Przy takim ujęciu historii zbawienia dzieje chrześcijaństwa jawią się jako swoisty życiorys Jezusa Chrystusa. Historię Kościoła można by nazwać Najnowszym Testamentem – i po Starym i Nowym widzieć jako trzecią część Biblii. Dlatego, chcąc się rozeznać, na czym polega dzisiejszy kryzys Kościoła i znaleźć chrześcijańskie wyjście z tej dramatycznej sytuacji, trzeba wrócić do Biblii. Przypatrzeć się Kainowi, Dawidowi, Judzie z Iskariotu, ale i Piotrowi, Maryi, Józefowi i wielu innym. Jak oni zachowywali się w sytuacjach kryzysowych? Jak zaradzali nieszczęściom, które spadały na nich z ich i nie ich winy? Chodzi o to, by zobaczyć, jak oni ze zła wyprowadzali dobro.

W wigilijną noc Zmartwychwstania śpiewaliśmy: „O, jak przedziwna łaskawość Twej dobroci dla nas! O, jak niepojęta jest Twoja miłość: aby wykupić niewolnika, wydałeś swego Syna. O, zaiste konieczny był grzech Adama, który został zgładzony śmiercią Chrystusa! O, szczęśliwa wina, skoro ją zgładził tak wielki Odkupiciel!". Zatem to miłość uzdalnia Boga i nas do gładzenia grzechów.

Oczywiście wina musi być odpokutowana i krzywda zadośćuczyniona, gdyż miłosierdzie pojmowane po Bożemu nie wyklucza sprawiedliwości, tak jak walka nie musi wykluczać miłości. Leszek Kołakowski mówi, że można walczyć i jednocześnie kochać.

Papież Franciszek zauważa: „Gniew ludu jest gniewem Boga. Niech serca niegodziwych kapłanów, znieczulone obłudą i władzą, zadrżą od krzyku dzieci". Gniew ma wyrwać nasze serca z odrętwienia. Zmusić do krytycznego przyjrzenia się naszej religijności, pobożności, do postawienia pytania, czy przypadkiem to, co nazywamy wiarą, nie jest tym, co deprawuje nasze serca. Pamiętamy Jezusową przypowieść o faryzeuszu i celniku modlących się w świątyni? Faryzeusz tak się modlił: „Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie: zdziercy, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, albo jak ten celnik". A celnik zaś tak: „Boże, bądź miłosierny dla mnie, grzesznego". Papież Franciszek powiedział kiedyś: „Gdy odwiedzam więzienie, myślę: dlaczego oni, a nie ja? Ich upadek mógł być moim. Nie czuję się lepszy od nich".

Nie mamy wyjścia, nie licytujmy się, kto jest większym grzesznikiem, ale „jeśli kto jest święty, niech przyjdzie! Jeśli ktoś nie jest, niech pokutuje!" – czytamy w „Didache". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Wyjść!

„Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem, i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili" (J 15, 16) – w ostatni piątek liturgia przyniosła Słowo, przed którym spędziłem swego czasu sześć lat, wpatrując się w nie dzień w dzień, było bowiem wypisane wielkimi literami na ścianach prezbiterium kaplicy krakowskiego seminarium.

To Słowo zawsze wyostrza moją uwagę. Kiedyś w medytacji nad nim uderzył mnie przekład Biblii Jerozolimskiej, która czyta to zdanie odrobinę inaczej: „Przeznaczyłem was na to, abyście wyszli (ang. *go out*), i przynieśli owoc". Ta właśnie myśl wróciła do mnie teraz. W greckim tekście pada tu słowo *hypágo* (*hina hypágete*). *Hypágo* ma wiele znaczeń: „iść", „pójść", ale także „odejść", „usunąć się z pola widzenia", „wycofać się" – w sensie porzucenia uprzednio zajętych pozycji, a więc miejsca, stanowiska, poglądów, z którymi nam dobrze i bezpiecznie.

Przykładu dostarczyła sama liturgia, która w pierwszym czytaniu mówiła o postanowieniach tzw. Soboru Jerozolimskiego (zob. Dz 15). Oto poddani Duchowi Świętemu apostołowie i starsi znajdują zakończenie sporu między uczniami wywodzącymi się z judaizmu a tymi, którzy dzięki misji Pawła i Barnaby weszli do Kościoła wprost z pogaństwa. Czy nie powinni poddać się obrzezaniu i przyjąć choćby w zasadniczym wymiarze Prawa Mojżeszowego? Dla pochodzących z judaizmu taka droga wydaje się naturalna i uzasadniona dziejami zbawienia: czy można żyć objawieniem Pierwszego Przymierza, nie stając się członkiem narodu wybranego?

Paweł i Barnaba, ale również Piotr, widzą jednak rzecz inaczej: oto Pan sam włączył pogan w Kościół, udzielając im Ducha Świętego niezależnie od przyjęcia Prawa; czy można stawać w poprzek działania Bożego?

Poddane Duchowi Świętemu obie strony tego pierwszego w dziejach Kościoła wielkiego sporu ostatecznie „wyszły" (*hypágo*) – cofnęły się ze swoich stanowisk. Pierwsi zrozumieli, że obrzezanie i posłuszeństwo całemu Prawu jest ich drogą, po której Duch poprowadził ich do Jezusa, i na nowo odczytali biblijne teksty mówiące o Bożych zamiarach wobec wszystkich narodów, nie tylko historycznego Izraela. Ci drudzy zgodzili się przyjąć minimum Mojżeszowego Prawa, sformułowane w tzw. Klauzulach Jakubowych; sam zaś Paweł niemal natychmiast po zamknięciu Soboru obrzezał Tymoteusza.

Obie strony zdecydowały się „wyjść" – opuścić bezpieczne miejsce, pozostawić swój sposób przeżywania i rozumienia, porzucić czynienie normą swojej własnej wrażliwości i religijnego doświadczenia. I właśnie ta postawa zrodziła trwały owoc: Kościół, w którym do dziś żyjemy. „Wyjść" znaczy w pewnym sensie obumrzeć, zrezygnować, wyrzec się. Czy nie tak właśnie mówi Ewangelia: „ziarno, które nie obumrze, zostaje samo; to, które obumrze, przynosi plon obfity"?

To „wyjście" będzie zawsze „wyjściem ku" – ku drugiemu, ku osobie, ku Bogu. Jeśli okopię się na swoich pozycjach, w pewności siebie i w poczuciu bezpieczeństwa; jeśli za wszelką cenę będę chronił obecną formę samego siebie (uznając ją już za doskonałą i ostateczną), „zostanę tylko sam". Wbrew przeznaczeniu Bożemu: „przeznaczyłem was, byście wyszli, i przynieśli owoc". ©

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 VI)

Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Hbr 9, 24-28; 10, 19-23; Łk 24, 46-53;
Poniedziałek: Dz 19, 1-8; Ps 68; J 16, 29-33;
Wtorek: Dz 20, 17-27; Ps 68; J 17, 1-11a;
Środa: Dz 20, 28-38; Ps 68; J 17, 11b-19;
Czwartek: Dz 22, 30; 23, 6-11; Ps 16; J 17, 20-26;
Piątek: Dz 25, 13-21; Ps 103; J 21, 15-19;
Sobota: Dz 28, 16-20. 30-31; Ps 11; J 21, 20-25;
Zesłanie Ducha Świętego: Rdz 11, 1-9; Ps 33; Wj 19, 3-8a. 16-20b; Ps 19; Ez 37, 1-14; Ps 107; Jl 3, 1-5; Ps 104; Rz 8, 22-27; J 7, 37-39.

Brat zapytał abba Sisoesa: „Dlaczego namiętności nie odchodzą ode mnie?". Starzec odrzekł: „Ich narzędzia są w tobie; ale oddaj im ten zastaw, a pójdą sobie".

PIERWSZA KSIĘGA STARCÓW

Zło zmysłów nie leży, rzecz prosta, w samej pięknej sprawie zmysłowej. (...) Leży w tym, co sprawę poprzedza. W myśli o niej, pożądaniu, łaknieniu, krążeniu wokół niej wyobraźnią, we wszystkich tych zabiegach, do których zniżamy się, by ją przeżyć. W obsesji...

HENRYK ELZENBERG

Wybrał PIOTR SIKORA

NIECH PAŃSTWO NIE OPUSZCZA OFIAR

ADAM BODNAR, RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH:

Często tam, gdzie w sprawach księży-pedofilów trzeba było prowadzić odważniejsze śledztwa, prokurator, ze względu na sojusz tronu z ołtarzem, zachowywał powściągliwość.

MACIEJ MÜLLER: Sprawą przestępstw pedofilskich zajmował się Pan już pracując w Fundacji Helsińskiej. Jak Pan widzi w perspektywie długiego trwania zmianę postrzegania tych przestępstw, zmianę wrażliwości społecznej, zmianę sytuacji ofiar?

ADAM BODNAR: Po raz pierwszy zacząłem bliżej kojarzyć te sprawy w 2005 r., kiedy zetknąłem się z profesorem Zbigniewem Hołdą, który został poproszony o reprezentowanie ofiar proboszcza z Tylawy. Nie ukrywał, że nikt z Krakowa nie chciał się podjąć tej sprawy, nie było adwokatów gotowych dotknąć takiego tematu tabu.

Dla mnie osobiście ten problem pojawił się jeszcze wyraźniej na przełomie lat 2012/2013, kiedy wybuchła dyskusja na temat, czy Kościół jako instytucja powinien odpowiadać za przypadki pedofilii – czyli pojawił się problem odpowiedzialności cywilnoprawnej instytucji, a już nie tylko poszczególnych księży. To było związane ze sprawą pana Marcina K., który wytoczył proces cywilny; był to ciekawy przypadek, ponieważ był chłopakiem stosunkowo młodym i nie istniał problem przedawnienia sprawy. Udało się doprowadzić do ugody sądowej: to był pierwszy przypadek, kiedy Kościół zapłacił jako instytucja. Kwota nigdy nie została ujawniona, bo ugoda była tajna. A jednak pokazywała, że Kościół jest się w stanie zachować racjonalnie i odpowiedzialnie. Szkoda, że potrzebna była do tego presja mediów, rozprawy sądowej, dobrze przygotowanej reprezentacji prawnej.

Pojawiały się też inicjatywy oddolne.

W 2013 r. powstała fundacja Nie Lękajcie Się, a temat nadużyć seksualnych księży podnoszony był też przez ruchy antyklerykalne, wspominał o nim Ruch Palikota i środowiska, które domagały się sekularyzacji państwa. Niemniej problem ten wciąż spychano na margines debaty publicznej.

Mało kto pamięta, że w tym czasie pojawiły się pierwsze artykuły naukowe na ten temat, które mówiły o kwestiach odpowiedzialności cywilnoprawnej Kościoła. Prof. Ewa Łętowska na łamach „Państwa i Prawa" twierdziła, że w sytuacji, kiedy można wykazać stosunek zależności, hierarchicznego podporządkowania i wykorzystania uległości wiernych czy dzieci w stosunku do księży, wówczas Kościół może ponosić odpowiedzialność.

A po stronie Kościoła dostrzegał Pan jakieś ruchy?

Pod naciskiem opinii publicznej zaczął podejmować działania oczyszczające. Jezuita Adam Żak stał się pełnomocnikiem Kościoła do wyjaśniania spraw związanych z molestowaniem nieletnich i został dobrą twarzą tej zmiany. Natomiast z moich kontaktów z ludźmi Kościoła odniosłem wrażenie, że największy problem polega na decentralizacji. Cóż z tego, że są biskupi Polak, Ryś czy Libera, reprezentujący otwartość i determinację, skoro każdy hierarcha jest księciem w swojej diecezji, kontroluje, co się dzieje w jego archiwach, i ma różne możliwości, żeby się nie angażować w wyjaśnianie przestępstw pedofilskich. A czasami wręcz je tuszować. Episkopat musi zrozumieć, że te sprawy są obciążeniem dla całego Kościoła, a nie dla poszczególnych diecezji. Że w sensie moralnym dotykają wszystkich obywateli, w tym całej społeczności wiernych, a nie tylko bezpośrednio pokrzywdzonych osób.

Jesteśmy w innym punkcie niż w czasach Tylawy?

Postęp jest wyraźny. Pamiętam początki fundacji Nie Lękajcie Się: wszystko opierało się na wysiłku poszczególnych ludzi. Każda sprawa wiązała się z indywidualnym ryzykiem ofiar – odwagą Marcina K. z Kołobrzegu, Marka Lisińskiego czy Marka Mielewczyka, którzy dali twarze w swoich sprawach. Film „Kler" też odegrał poważną rolę.

Powstała sejmowa grupa robocza pod kierownictwem Joanny Scheuring-Wielgus, powstał raport „Mapa pedofilii". Wiele środowisk, wielu ludzi nauki, mediów, nawet z show biznesu otwarcie stanęło po stronie ofiar. To już nie jest tylko sprawa

STEFAN MASZEWSKI / REPORTER

ADAM BODNAR (ur. 1977) jest doktorem nauk prawnych, od 2015 r. rzecznikiem praw obywatelskich. W latach 2010-15 był wiceprezesem Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

grupy wrażliwych ludzi, którzy nie bacząc na koniunktury i polityczne trendy domagali się sprawiedliwości. To już zrodził się swoisty, wyrastający ponad tradycyjne podziały ruch społecznego oburzenia i nacisku na polityków, aby sprawą zająć się na poziomie państwowym. I to dlatego lider największej partii opozycyjnej zaczął się domagać stworzenia państwowej komisji.

Co więcej, film braci Sekielskich wyzwolił liczne głosy z wnętrza Kościoła, że sprawą należy się zająć w sposób poważny, odpowiedzialny. Zaskoczył mnie nawet bardzo pozytywnie głos ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego w „Dzienniku Polskim", który mówi otwartym tekstem, że wykorzystywanie nieletnich to nowotwór we współczesnym Kościele i należy ten problem wyjaśnić kompleksowo. Wcześniej tego typu głosy nie były raczej powszechne.

Także partia rządząca ustami premiera ogłosiła ostatnio konieczność powołania komisji ds. badania pedofilii – we wszystkich grupach zawodowych.

Oby nie była to próba przykrycia aktualnego napięcia i, jak często, rozmydlenia sytuacji. Bo w odniesieniu do innych środowisk problem wygląda inaczej niż w odniesieniu do duchowieństwa. Jeśli np. nauczyciel dopuszcza się molestowania, to odpowiada wówczas karnie, a cywilnie – zarówno on, jak i skarb państwa czy gmina, która go zatrudnia. W takich przypadkach są skazania, prokuratura działa zazwyczaj sprawnie. Problem jest natomiast z Kościołem i kryciem przez niego takich przestępstw przez wiele lat, z brakiem dostępu do archiwów, czy z brakiem – niestety – odpowiedniego zaangażowania prokuratury.

To wynika z systemu prawnego czy z mentalności?

W głównej mierze z mentalności, z traktowania tych tematów jako tabu. Ale jeśli do tego dodamy upolitycznianie prokuratury, powstaje wiązka, która powoduje, że Kościół czuł się bezkarny. Od 2017 r. mamy art. 240 kodeksu karnego, który mówi, że jeśli ktoś posiada informacje o przestępstwie pedofilskim, to musi powiadomić organy ścigania. Ta zmiana w prawie była inicjatywą Marka Michalaka, rzecznika praw dziecka, bardzo wyczulonego na kwestię pedofilii. I o ile wiem, biskupi dalej nie zawiadamiali o przypadkach molestowania, a prokuratura nieszczególnie egzekwowała z ich strony ten obowiązek.

Przedmiotem zainteresowania prokuratorów były przeważnie sprawy ewidentne, w których materiał dowodowy nie pozwalał na zlekceważenie sprawy. Natomiast często tam, gdzie trzeba było prowadzić głębsze i odważniejsze śledztwa, prokurator, ze względu na swoisty „sojusz tronu ↦

↦ z ołtarzem", zachowywał daleko idącą powściągliwość. Tymczasem zgodnie z przepisami od kilku lat nic nie stoi na przeszkodzie, żeby prokuratura z dnia na dzień, działając w konkretnej sprawie, weszła do siedzib biskupich i zajęła archiwa.

Jak to w końcu jest: odpowiedzialność za przestępstwo ponosi ksiądz czy jego diecezja?

Zależy, o jakim zakresie odpowiedzialności mówimy. Jeśli o karnej, to oczywiście odpowiedzialność ponosi ksiądz i winni ewentualnego tuszowania sprawy. Wyjątek, na który powołuje się Kościół, dotyczy tajemnicy spowiedzi. Jeśli zwierzchnik dowiaduje się o czymś w tym trybie, to obowiązuje go tajemnica, inaczej prawo uderzałoby w podstawowe instytucje istotne dla religii. Co innego, jeśli biskup ma wiedzę z innych źródeł.

Osobna kwestia to odpowiedzialność cywilnoprawna. Wtedy odpowiada zarówno ksiądz, jak i parafia, diecezja czy zakon, w ramach którego kapłan wykonuje swoją funkcję. Tu znowu są wyjątki, bo jeśli ksiądz molestował, ale robił to „prywatnie", po godzinach, bo poznawał ofiary np. w internecie i zapraszał do siebie – wtedy trudno pociągnąć do odpowiedzialności diecezję czy zakon. Co innego, jeśli poluje na ofiary na katechezie czy oazie, korzystając z autorytetu, jaki dzieci przyznają duchownemu. Jeżeli Kościół dobrał sobie takich, a nie innych pracowników, nie przeszkolił ich, nie wprowadził mechanizmów odpowiedzialności – to ponosi za to odpowiedzialność.

Czy w polskim systemie prawnym jest możliwość zasądzania odstraszających kwot odszkodowań, jak w USA, gdzie diecezje musiały sprzedawać kościoły, żeby spłacić roszczenia? Skłoniłoby to biskupów do pilnowania księży i przestrzegania własnych wewnętrznych przepisów.

Niewątpliwie, ale zwróćmy uwagę, że jeżeli Kościół będzie się zachowywał na zasadzie „zostawiamy te sprawy sądom" – będzie to za mało. Mielewczyk założył sprawę w sądzie, ale jedyne, o co mógł walczyć, to o przeprosiny od księdza, bo roszczenie finansowe się przedawniło.

Dobrego przykładu dostarczają Niemcy: powołano tam komisję, która zajęła się m.in. problemem zadośćuczynienia i po kolei wyjaśniała poszczególne roszczenia. W trybie pozasądowym i ugodowym prowadziła je do takiego momentu, żeby wypłacić ofiarom odszkodowania niezależnie od tego, kiedy zdarzyło się przestępstwo.

ADAM BODNAR:

Kościół dysponuje odpowiednimi środkami materialnymi i nie musi się kierować przepisami o przedawnieniu. Nic nie stoi na przeszkodzie dobrowolnej rekompensacie na rzecz ofiar.

Trzeba pamiętać, że Kościół w Polsce jest instytucją dysponującą odpowiednimi środkami materialnymi, część tego bogactwa pochodzi zresztą z najnowszej reprywatyzacji majątku państwowego. Pytanie zatem powinno dotyczyć tylko tego, jaką kwotę Kościół zdecyduje się przeznaczyć na rekompensaty i w jaki sposób to zrobi. Na ile będzie to uczciwe, proporcjonalne i powszechne. Choć niewątpliwie mogą pojawić się też osoby zgłaszające roszczenia bezzasadne lub trudne do udowodnienia, to jednak każda osoba uznana za pokrzywdzoną powinna mieć możliwość skorzystania z takiego funduszu zadośćuczynienia. Warto pamiętać, że Kościół nie musi się kierować przepisami kodeksu cywilnego o przedawnieniu roszczeń. Nawet jeśli roszczenie się przedawniło, to nic nie stoi na przeszkodzie dobrowolnej rekompensacie na rzecz ofiar. Czysto formalna odmowa czy odesłanie do sądu będzie stanowiło dla ofiar pedofilii dodatkową traumę.

Czemu właściwie służy instytucja przedawnienia? Słyszymy o niej głównie w kontekście tego, że ofiara nie może już dochodzić swoich praw.

W świetle prawa społeczeństwo po jakimś czasie uznaje, iż z powodów trudności dowodowych, potencjalnych wysokich kosztów po stronie pokrzywdzonych, po określonym czasie o niektórych sprawach zapominamy. Ofiary pedofilii postulują, żeby okres przedawnienia wydłużyć, bo tu chodzi przede wszystkim o ich godność, poza tym one często dopiero po wielu latach są w stanie dojść do przekonania, że wydarzyło się przestępstwo, które należałoby ścigać. Sam popieram wydłużenie okresu przedawnienia, ale nie można za bardzo nim manipulować wstecz, żeby nie doprowadzić do pojawienia się dużej ilości niesłusznych oskarżeń. Po kilkudziesięciu latach dowodzenie czegokolwiek jest niezwykle trudne, złożone, wymagające wielkiego zaangażowania instytucji dochodzeniowych i sądowych. Dlatego przepisy w tym zakresie należy zmieniać w sposób szczególnie rozważny i precyzyjny, aby naprawiając jedne szkody, nie czynić następnych.

Z przedawnieniem cywilnym jest trochę inaczej, bo tu chodzi o inną zasadę: po pewnym czasie jako osoby fizyczne czy przedsiębiorcy musimy mieć poczucie, że np. pewne kwestie finansowe mamy wyczyszczone, że już nikt się od nas niczego nie będzie domagał. Weźmy dziennikarza, który napisał krytyczny tekst o jakiejś osobie – otóż chciałby mieć pewność, że po dekadzie nikt nagle nie wróci do tej sprawy. Bo on wtedy już może nie pamiętać wszystkich okoliczności, np. źródeł informacji. Niemniej w przypadku ofiar pedofilii, zdolnych dopiero w wieku dorosłym mówić o krzywdach wyrządzonych im w dzieciństwie, przepisy kodeksu cywilnego okazują się być niedostosowane do ich specyficznej sytuacji.

Jak Pan ocenia ad hoc przeprowadzoną reformę znoszącą przedawnienia w prawie karnym?

Gdy mówimy o całkowitym zniesieniu przedawnienia, co do zasady jestem za, ale pytanie brzmi, czy w ogóle możliwe jest skuteczne prowadzenie postępowania sądowego na takiej samej zasadzie, jak np. przeciw zbrodniarzom nazistowskim? Moim zdaniem realne naprawianie problemu winno polegać nie tyle na nagłej zmianie kodeksu karnego, ile na energicznych i konsekwentnych działaniach prokuratury.

Czyli?

Na aktywnym działaniu przeciwko czynom karanym ze wspomnianego wcześniej art. 240 KK. Istotne byłoby stworzenie zespołu prokuratorów, który by się tym zajął w sposób kompleksowy. To rzeczywiście zmieniłoby sytuację ofiar – w przeciwieństwie do zaostrzania odpowiedzialności. A można to zrobić na gruncie istniejących przepisów. Co więcej, powstanie komisji państwowej pozwalałoby

być może na zidentyfikowanie tych spraw z przeszłości, które mogły się przedawnić lub których sprawcy już nie żyją (i siłą rzeczy nie można prowadzić w stosunku do nich postępowań karnych). Odkrycie prawdy może mieć natomiast fundamentalne znaczenie dla ofiar i spełniać swoistą rolę oczyszczającą.

Na czym polega problem z dostępem do archiwów kościelnych?

Można odnieść wrażenie, że prokuratura nie jest tym specjalnie zainteresowana. Choć prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, jaką Kościół mógłby mieć podstawę do odmowy – nawet przepisy konkordatu nie powinny stać na przeszkodzie. A gdyby tak było, oznaczałoby to, że mamy państwo w państwie.

Po Bostonie czy Pensylwanii wiadomo, że najcenniejszym źródłem byłyby teczki personalne księży, ale czy tu nie staną na przeszkodzie przepisy o ochronie danych osobowych?

Czym innym jest działanie na potrzeby śledztwa, a czym innym badanie w kierunku ujawniania jakichś danych na zewnątrz. Prokuratura ma praktycznie nieograniczoną możliwość badania dokumentów. Takie same uprawnienia mają służby specjalne. Później jednak oczywiście istnieje możliwość objęcia tych dokumentów lub ich części klauzulą tajności, jako elementu materiału śledczego.

Dlaczego ma Pan krytyczny stosunek do rejestru pedofilów?

Nie do rejestru w ogóle, ale do konkretnych rozwiązań związanych z funkcjonowaniem rejestru publicznie dostępnego. Idzie o dobro ofiar, żeby nie dochodziło do ich wtórnej wiktymizacji. Ujawnienie określonych informacji na temat przestępców mogło spowodować konsekwencje dla ofiar. Łatwo się zorientować, kto mógł być ofiarą, jeżeli przestępstwo zostało dokonane np. w rodzinie albo w małej miejscowości. Natomiast rejestr niepubliczny, dostępny tylko dla tych, którzy prowadzą działalność związaną z opieką nad dziećmi czy młodzieżą, należycie równoważy potrzeby społeczne i prawo do prywatności.

Jako rodzic chciałbym móc prześwietlić np. wychowawców na obozie dla dzieci.

Oczekuje pan, że policja sprawdzi stan autobusu wiozącego dzieci na kolonie i czy kierowca nie jest pijany. Tak samo ma pan prawo oczekiwać od organizatora kolonii, że sprawdzi w rejestrze, czy wśród opiekunów nie ma nikogo widniejącego w rejestrze pedofilów. Takie profilaktyczne działania upoważnionych osób stanowią moim zdaniem wystarczające zabezpieczenie, a ogranicza to możliwość nadużyć.

Mówimy dużo o prewencji – a co według Pana państwo powinno zaoferować ofiarom pedofilii?

Przede wszystkim pomoc prawną i psychologiczną. To osoby na ogół rozbite życiowo, przez wiele lat ukrywające swoje cierpienie. Nasze państwo nieszczególnie sobie radzi w tym kontekście. Znam ten problem, bo od lat zajmujemy się także potrzebą uzyskania wsparcia dla ofiar tortur. Widzę na razie „chałupniczą" pracę organizacji pozarządowych, które oczywiście starają się działać najlepiej, jak potrafią – ale nie są w stanie objąć opieką wszystkich ofiar. Bez poważnego zaangażowania się państwa, przy tej skali przestępstw, nie rozwiążemy problemu wsparcia, nie mówiąc już o zadośćuczynieniu czy innych elementach składających się na poczucie sprawiedliwości. Czas najwyższy, aby zająć się tą sprawą w sposób systemowy, odpowiedzialny, bez tworzenia pozorów i demonstrowania rzekomej troski na użytek mediów. Obywatel ma pełne prawo oczekiwać, że państwo nie zostawi go bez wsparcia w tym szczególnie trudnym dla niego czasie.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

PO STRONIE OFIAR

O wykorzystywaniu seksualnym nieletnich, o zmowie milczenia i innych grzechach polskiego Kościoła piszemy konsekwentnie od lat.

Wybór najważniejszych tekstów „TP" z ostatniego dwudziestolecia na temat, który wstrząsa dziś Polską, w bezpłatnym i aktualizowanym internetowym wydaniu specjalnym.

Czytaj na:
TygodnikPowszechny.pl/postronieofiar

GRAFIKA MIECZYSŁAW WASILEWSKI

MICHAŁ ŁEPECKI / FORUM

Błądzący po poradniach

GRAŻYNA LATOS

Boreliozę nie jest łatwo zdiagnozować, a metody leczenia wciąż są przedmiotem sporu wśród lekarzy. Niektórzy pacjenci decydują się na długie i silne kuracje antybiotykowe, nierefundowane przez NFZ.

Z łóżka wstaje powoli. Na podnoszenie nóg już nie starcza jej siły. Nie słyszy miauczenia kotów. Wzrok też się pogorszył. Ale najgorszy jest ból, czasem aż chce się jej wymiotować. Jest rok 2016, a Dominika ma 32 lata i nie wie, co jej dolega. Na przełomie marca i kwietnia zaczyna czuć się dziwnie zmęczona. Jest pewna, że to przez stres. Właśnie straciła pracę, zakończyła związek, a teraz znalazła się w nowej firmie. Ciało i umysł domagają się snu. W weekendy nawet po 19 godzin. Rano pojawiają się zawroty głowy. Koleżanki sugerują cukrzycę. Robi badania, ale wyniki są w normie. Lekarka podejrzewa problemy neurologiczne.

W lipcu, w warszawskiej klinice neurologicznej rezonans wykazuje zmiany w mózgu. Lekarze zlecają badania płynu rdzeniowo-mózgowego, bo podejrzewają stwardnienie rozsiane. Po sześciu dniach w szpitalu Dominika czyta w wypisie: „choroby demielinizacyjne", ale to opis skutków, nie przyczyna. Za trzy miesiące ma powtórzyć rezonans.

– W szpitalu nie dostałam nie tylko diagnozy, ale też leczenia, więc dalej zdychałam. Nie miałam siły założyć sobie skarpetek. Przetrwałam trzy miesiące próbne w pracy, ale po podpisaniu umowy na rok musiałam już pójść na zwolnienie. Leżałam w łóżku i czekałam – wspomina Dominika.

Dochodzą nowe objawy. Najpierw pogarsza się wzrok. Na jedno oko prawie nie widzi. W końcu nadchodzi październik. Dominika trafia do szpitala. Kiedy wspomina problemy ze wzrokiem, lekarka zleca badanie w kierunku boreliozy. – Uświadomiłam sobie wtedy, że gdy miałam 12 lat, kleszcz ugryzł mnie koło pępka. Mieszkaliśmy wtedy w Ząbkach, w lesie. Było lato i często chodziliśmy na grzyby i na jagody – wspomina.

Jak pani straci czucie

W polskich szpitalach publicznych wykonuje się dwa testy. – Standardowo zalecana i refundowana przez NFZ diagnostyka boreliozy polega na wykonaniu testu ELISA. Jeśli wynik testu jest dodatni, zalecane jest weryfikujące badanie Western blot – uściśla neurolog dr n. med. Maria Zubiel, specjalistka neurologii dziecięcej. Leczy boreliozę zgodnie z inną metodologią – zalecaną przez stowarzyszenie chorych International Lyme and Associated Diseases Society (ILADS).

Wynaleziony w latach 60. ubiegłego wieku test ELISA jest najstarszym badaniem stosowanym w diagnostyce boreliozy. Jego wynik sugeruje, że Dominika ma świeżą boreliozę. Lekarz zleca badanie Western blot. To też sugeruje boreliozę,

ale starą. Lekarz specjalista chorób zakaźnych wyniki uznaje za pomyłkę.

– Nie ma badań o stuprocentowej skuteczności diagnostycznej. Na to zjawisko ma wpływ wiele czynników, m.in. czas, jaki upłynął od zakażenia, i forma, jaką przybiera zakażenie. Postać z zajęciem układu nerwowego jest trudniej zdiagnozować niż postać stawowo-mięśniową. Zalecenie testów diagnostycznych powinno uwzględniać te warunki – mówi mi dr Zubiel.

Rok później, kiedy Dominika pokazuje wyniki badań lekarzowi leczącemu prywatnie według metodologii ILADS, ten nie ma problemów z interpretacją. „To aktywna forma starej boreliozy" – mówi. Zanim jednak do tego spotkania dojdzie, Dominika kontynuuje leczenie z NFZ.

W listopadzie do objawów dochodzi podwójne widzenie, ale najgorszy jest ból. Promieniujący do głowy i zębów, niemal nie do zniesienia. Trafia do szpitala okulistycznego, gdzie podają jej sterydy.

– Ból przeszedł na drugie oko, a później objawy rzuciły się także na słuch. Po trzech dniach wyszłam ze szpitala w gorszym stanie, niż przyszłam. Właściwie to mnie z niego wyrzucili. Poszłam do pielęgniarki, żeby wyjęła mi wenflon, a jak wróciłam, to moje łóżko było już na korytarzu ze wszystkimi rzeczami osobistymi.

W końcu decyduje się pójść do neurologa. Ten wystawia pilne skierowanie do szpitala przy Sobieskiego. Jest przekonany, że to rzut stwardnienia rozsianego.

– Neurolog przekonał mnie, że mam SM. Miałam więc nadzieję, że teraz, skoro jest jeszcze gorzej, zaczną mnie w końcu leczyć, żeby to wszystko zatrzymać. W szpitalu uznali jednak, że nie spełniam wszystkich kryteriów progresji. „Jak pani straci czucie w ręce, wtedy proszę przyjść" – tak mi powiedziała lekarka.

Na początku grudnia przestaje słyszeć na jedno ucho. Zgłasza się na ostry dyżur do szpitala na Bielanach, bo temu przy Sobieskiego przestaje ufać. Badanie wykazuje niedosłuch neurogenny, więc i tak zostaje skierowana do Instytutu Neurologii. Tam robią rezonans, który nie pokazuje nowych zmian. Niedosłuch pochodzi z tych, które zostały odnotowane wcześniej, a więc kryteria progresji nadal nie są spełnione. Wraca do domu – ze skierowaniem do psychiatry.

Cały kolejny rok stan Dominiki się nie zmienia. Jest obolała, źle widzi, źle słyszy, gorączkuje. Łyka leki przeciwbólowe, przykleja plastry rozgrzewające. W połowie roku idzie do lekarza, który na co dzień pracuje w poradni dla chorych na stwardnienie rozsiane przy Sobieskiego. Tym razem prywatnie. Doktor radzi wykonanie dodatkowego testu na boreliozę – ELISpot.

– Badania ELISA, Western blot czy KKI i Microblot Array wykrywają specyficzne przeciwciała we krwi chorego – odporność humoralną. Badanie ELISpot ocenia inny element naszej odporności: odporność komórkową. Zaletą tej metody jest to, że ocenia aktywność zakażenia, co jest bardzo pomocne w diagnostyce boreliozy – mówi dr Zubiel.

Po kilku tygodniach przychodzi wynik. Dodatni. W listopadzie Dominika jedzie do szpitala w Grodzisku Mazowieckim, gdzie wpisują jej do karty leczenie boreliozy. Na jego podstawie odwołuje się od decyzji ZUS-u, który odmawia przedłużenia świadczenia rehabilitacyjnego. Skutecznie. Dostaje należność za trzy poprzednie miesiące. Ale badanie na komisji odwoławczej wspomina jako traumę.

– Lekarka kazała mi zamknąć oczy. Kręciło mi się w głowie, więc zachwiałam się, a ona zaczęła krzyczeć: no niech pani stoi! Kazała jeszcze raz zamknąć oczy i dotknąć palcem nosa. Nie trafiałam. Złapała mnie za rękę i pchnęła palcem w kierunku nosa, krzycząc: no tu jest nos, tu!

Kiłę też się leczy

W styczniu Dominika decyduje się na podjęcie leczenia zgodnego z zaleceniami ILADS. Prywatnie. Państwowej służbie zdrowia już nie ufa.

W wielu europejskich krajach w sprawie boreliozy dominuje stanowisko Amerykańskiego Towarzystwa Chorób Zakaźnych - IDSA. Tak też leczy się w Polsce boreliozę z NFZ. Między lekarzami IDSA i ILADS trwa spór. Profesor Krzysztof Simon, który jest specjalistą od chorób zakaźnych, kierownikiem Kliniki Chorób Zakaźnych i Hepatologii UM we Wrocławiu i członkiem Komitetu Immunologii i Etiologii Zakażeń Człowieka PAN, nie uznaje metod ILADS. Jak mówi:

– Borelioza jest prostą chorobą zakaźną, której rozpoznanie powinno opierać się na uznanych przez specjalistów i WHO określonych kryteriach diagnostycznych i klinicznych. W większości przypadków jest zakażeniem subklinicznym, to znaczy, że nie ma objawów klinicznych, a jedynie dowody serologiczne na zakażenie.

A jednak część chorych nadal odczuwa objawy choroby.

– Przecież kiłę, chorobę, którą też wywołują krętki, również bardzo skutecznie leczy się antybiotykami, a przeciwciała pozostają obecne do końca życia. Chorzy na boreliozę też mogą odczuwać różnorodne objawy. To tzw. zespół po przebyciu boreliozy. Przy neuroboreliozie pozostają przede wszystkim uszkodzone nerwy i stawy. I to wymaga leczenia objawowego, a nie przyczynowego, ponieważ żywych krętków po prostu już nie ma. Z uwagi na fakt, że kilka krętków odpowiada w naszym regionie geograficznym za boreliozę z Lyme, można się też liczyć z kolejnymi zakażeniami – mówi prof. Simon.

Koktajl antybiotyków

– Borelioza to dla medycyny dość młoda choroba, od jej nazwania minęło nieco ponad 40 lat. Gruźlicę czy kiłę znamy i leczymy znacznie dłużej, nauka wie o nich więcej, stąd tych chorób nikt nie lekceważy i nie ryzykuje nieskutecznego podejścia. Gruźlicę leczy się do skutku, nie przez arbitralnie ustalony krótki czas, a skuteczność terapii weryfikuje się nowoczesnymi metodami laboratoryjnymi. W boreliozie brakuje badań naukowych, zwłaszcza rzetelnych badań klinicznych, które pokazałyby, która metoda działa i w jakiej grupie chorych. Pogląd, jakoby choroba była błaha, prosta w diagnozowaniu i bardzo łatwa w leczeniu krótką terapią, jest sprzeczny z tym, co obserwujemy w praktyce – mówi Rafał Reinfuss, prezes Stowarzyszenia Chorych na Boreliozę.

Lekarze ILADS często stosują długie i silne kuracje antybiotykowe. Tego właśnie dotyczy główny zarzut, jaki wysuwają wobec nich lekarze IDSA.

– Inaczej leczy się pacjentów z wczesną postacią choroby, inaczej z przewlekłą. Nie wszyscy pacjenci muszą przyjmować antybiotyki, ale ci, którzy muszą – koniecznie długotrwale. W metodzie leczenia ILADS stosuje się antybiotyki działające na wszystkie formy bakterii. Wieloletnimi obserwacjami i badaniami klinicznymi potwierdzono, że taka terapia zastosowana jak najszybciej od zakażenia daje największą szansę wyeliminowania bakterii – mówi dr Zubiel.

Ponieważ leczenie metodą ILADS w Polsce odbywa się wyłącznie prywatnie, wydatki Dominiki drastycznie wzrastają. Za pierwszą wizytę u lekarza płaci 300 zł. ↦

Po niej przychodzi czas wykupienia leków. W ciągu całej kuracji przyjmuje siedem różnych koktajli antybiotyków, z których każdy działa na inne bakterie. Terapia działa na organizm wyniszczająco. Wspomaga go probiotykami, witaminami, magnezem i ziołami. Do tego suplementy, choć drogie, według lekarzy ILADS niezbędne. Część na bazie krowiej siary, żeby wzmacniać odporność. Efekty nie są jednak zadawalające.

Samodzielne kroplówki

W kwietniu dostaje Biotrakson – antybiotyk do podawania dożylnego. Początkowo ma przyjąć 30 wlewów, ale ostatecznie, by poczuć poprawę, przyjmuje 120, po pięć tygodniowo. Cena za wlew u prywatnej pielęgniarki w Warszawie to 130 zł. Do tego suplementy i oprzyrządowanie – 1300 zł. Dominika nie ma na to pieniędzy. Jej umowa o pracę ustała prawie rok temu. Nie ma ubezpieczenia ani świadczenia rehabilitacyjnego, które po raz ostatni otrzymała w grudniu 2017 r. Pomoc z Ośrodka Opieki Społecznej jest niewielka. Rozpoczyna zbiórkę na Pomagam.pl. Po zebraniu funduszy na wykupienie leków szuka pielęgniarki.

Ta przychodzi przez miesiąc, ale po 30 kroplówkach odmawia. Boi się, że pójdzie do więzienia. Bo Dominika wygląda jak papier. Blada, chuda, przezroczysta. Zanim zrezygnuje, uczy jednak Dominikę, jak robić to samodzielnie. Po jej odejściu potrzebuje już wyłącznie kogoś do zakładania wenflonu. Znajduje pielęgniarkę przez internet. Cena – 60 zł. Kiedy żyły zaczynają pękać, musi przychodzić prawie codziennie.

– Była bardzo wytrwała. Czasem założenie wenflonu udawało się dopiero za dziesiątym razem, jak już byłam zakrwawiona i posiniaczona. Ale ona widziała, że jestem w coraz lepszej formie. Niestety, w pewnym momencie nie było gdzie się wbijać. Zdecydowała, że trzeba zrobić tydzień przerwy, ale od razu mi się pogorszyło. Lekarz powiedział, że tak nie może być: leczenia nie można przerywać. Jak nie w kroplówkach, to mam brać antybiotyk w zastrzykach. Powiedziała, jak je robić, więc robiłam, sama.

By poczuć poprawę, pacjentka musi przyjąć 120 kroplówek, po pięć tygodniowo. Cena za jedną u prywatnej pielęgniarki w Warszawie to 130 złotych.

W końcu przychodzi upragniona poprawa. W utrzymaniu efektu pomaga suplement mający usprawnić pracę mózgu. Przez cztery miesiące przyjmuje także kolejny antybiotyk– minocyklinę. Kończy w lutym 2019 r. Gdy spotykamy się w kwietniu, nadal jest w stanie być aktywna nawet pięć godzin dziennie. Choć po trzech dniach takiej aktywności znów pojawia się zmęczenie i bóle.

Jak udowodnić, że choruję

Ponieważ Dominika nadal nie może pracować, walczy o rentę.

– W grudniu 2017 r. złożyłam wniosek. W lutym tego roku sąd go oddalił, ponieważ uznał, że nie ma dowodów na to, że jestem chora. Przedstawione przeze mnie wyniki badań na zakażenie boreliozą i innymi bakteriami nie zostały uznane przez biegłych lekarzy sądowych.

W ramach odpowiedzi na opinię lekarską wydaną przez biegłych Dominika złożyła skargę na badania.

– Okulista zmierzył ciśnienie w oczach, pięć minut i po badaniu. Podważał wszystkie badania, które wskazywały chorobę. A neurolog zapytał tylko, dlaczego przychodzę do niego, skoro mam boreliozę. Mówiłam, że mam powikłania neurologiczne, zmiany w mózgu, ale on nic na temat boreliozy nie wiedział. Nie wiem, jak mogę udowodnić, że nadal choruję.

Obecnie Dominika jest uznawana za osobę z niepełnosprawnością w stopniu lekkim. Stara się o przyznanie statusu osoby niepełnosprawnej w stopniu umiarkowanym.

– Może mogłabym mieć wyższą zapomogę z OPS-u, byłoby łatwiej. Może nawet dostęp do rehabilitacji, albo pielęgniarka środowiskowa mogłaby przyjść, gdy ja nie mogę się ruszyć? Ktoś mógłby mi zakupy zrobić, gdy będę miała nawrót? O to walczę w sądzie. Wyobraź sobie: nie masz pracy, nie masz pieniędzy, nie masz wsparcia ze strony państwa, nawet pielęgniarki, i musisz wydawać co sześć tygodni od tysiąca do dwóch tysięcy. A jeszcze trzeba jeść, jeszcze są opłaty.

Nieetyczne praktyki

Wielu chorych traci wiarę w publiczną służbę zdrowia. Wsparcia szukają w Stowarzyszeniu Chorych na Boreliozę, czy na facebookowych grupach, gdzie wymieniają się nazwiskami lekarzy ILADS, rozmawiają o leczeniu. Są zagubieni.

– Obecne systemowe podejście do boreliozy w Polsce oparte jest na rekomendacjach IDSA z 2006 r. Dokument ten, jak i proces jego powstania stały się w 2008 r. przedmiotem śledztwa prokuratorskiego, które ujawniło łamanie procedur i szereg nieetycznych praktyk stawiających pod znakiem zapytania bezstronność i jakość zaleceń. Na mocy ugody z prokuratorem IDSA zobowiązała się do niezależnej rewizji dokumentu. Od ponad dekady nie nastąpiła weryfikacja tych rekomendacji. W 2016 r. dokument jako archaiczny został usunięty z bazy rekomendacji medycznych Departamentu Zdrowia USA – mówi Rafał Reinfuss.

Jak ocenia, ze względu na anachroniczne podejście do diagnozowania borelioza i choroby towarzyszące to jeden z badziej zaniedbanych problemów zdrowia publicznego w Polsce.

– Duża grupa chorych błądzi po poradniach i oddziałach szpitalnych. Nawet poprawna diagnoza nie gwarantuje dostępu do potrzebnego leczenia, bo kilkutygodniowa terapia jednym antybiotykiem, o ile adekwatna w pierwszych tygodniach choroby, u wielu chorych w późnym stadium nie prowadzi do stabilizacji stanu, ani tym bardziej wyleczenia.

© GRAŻYNA LATOS

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 650/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Siejce, zmarłej 30 października 2017 roku w Halinowie, ostatnio stale zamieszkałej w Halinowie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Komisja Śledcza ds. afery Rywina. Na pierwszym planie od lewej Jan Rokita, Renata Beger, Leszek Miller. Kwiecień 2003 r.

Dobra zmiana przed speckomisją

MATEUSZ MAZZINI

Nadzwyczajne instytucje rozliczające rząd PiS nie przybliżą nas do prawdy o istocie nadużyć. Mogą natomiast utrudnić zgodne z prawem osądzenie winnych. Oraz pogłębić podziały w społeczeństwie.

Pomysł powołania specjalnej instytucji dla osądzenia rządów PiS zaistniał – po raz pierwszy w postaci już sformalizowanej – dzięki Robertowi Biedroniowi. Jeszcze przed założycielską konwencją Wiosny były prezydent Słupska opisał w wywiadzie projekt Komisji Prawdy i Pojednania, bo taka pierwotnie miała być jej nazwa. Komisja miałaby powstać „na wzór tej, która działała w RPA po zniesieniu apartheidu" i posłużyć do wyjaśnienia przypadków „złamania konstytucji przez PiS".

Odtąd postulat rozliczenia w ten sposób „dobrej zmiany" stał się jednym z eksponowanych elementów programu Wiosny. Ale choć od upublicznienia pomysłu minęły ponad trzy miesiące, szczegółów na temat jej funkcjonowania czy kompetencji nie ma. Tymczasem rodzą się pytania – oraz wątpliwości, czy taka komisja zamiast skrócić, nie wydłuży całego procesu naprawczego.

Elektorat oczekuje rozliczeń

Wielkie jest oczekiwanie po stronie zwolenników opozycji, że należy przeanalizować i osądzić działania rządu PiS pod kątem nadużyć. Mimo to projekt Biedronia nie zyskał powszechnej aprobaty. Eksperci szybko zwrócili uwagę, że analogia z apartheidem jest bezzasadna, i wskazywali, że istnieje tu już stosowna droga: powołanie Trybunału Stanu. Zamieszanie zwiększył sam Biedroń, początkowo anonsując projekt jako Komisję Prawdy i Pojednania, by potem w programie partii zamienić „prawdę" na „sprawiedliwość". Tymczasem to nie tylko słowa: to zmienia cel komisji. Prawda i sprawiedliwość to jednak cele odmienne (choć aby zaprowadzić sprawiedliwość, trzeba ustalić prawdę).

Nietrudno zrozumieć, dlaczego lider Wiosny zaproponował takie rozwiązanie w chwili uruchamiania swego politycznego projektu. Prócz społecznej potrzeby – po stronie opozycji – rozliczenia rządów PiS, na korzyść Biedronia działa tu także rzeczywistość polityczna. Prowadzone przez PiS zmiany instytucjonalne podkopały i tak niezbyt wysokie zaufanie obywateli do państwa.

Po upadku komunizmu i PRL jednym z głównych wyzwań stało się wytworzenie w Polakach zaufania do państwa, jego instytucji i urzędników. Jeśli na tym polu osiągnięto jakieś sukcesy, rządy PiS podważyły te osiągnięcia. Zwłaszcza zmiany w sądownictwie i prokuraturze (ścisłe podporządkowanie jej politykom) czy reforma administracji (pozwalająca na jej upolitycznienie) sprawiły, że instytucje państwa nie mają dziś wysokich notowań. Z tego punktu widzenia powołanie nowego ciała miałoby sens polityczny: komisja byłaby sygnałem, że nowy rząd – ktokolwiek z opozycji by go tworzył – odcina się od schedy „dobrej zmiany".

Pomysł Biedronia jest też zręcznym zabiegiem, wymierzonym w rywala Wiosny, czyli Platformę Obywatelską. To tej partii Biedroń może odebrać najwięcej głosów, stąd odróżnienie się od PO jest ważne przy budowaniu wizerunku Wiosny.

Także dlatego, że wyborcy centrowi i lewicowi pamiętają zapewne fiasko, jakim skończyła się w 2015 r., za rządów PO i PSL, próba postawienia przed Trybunałem Stanu Zbigniewa Ziobry, dziś ministra sprawiedliwości (chodziło o podejrzenie przekroczenia uprawnień prokuratorskich w tzw. aferze gruntowej). Platforma nie postawiła Ziobry przed Trybunałem z powodu własnej nieudolności i braku dyscypliny: w decydującym głosowaniu do przyjęcia wniosku zabrakło pięciu głosów, a 16 posłów koalicji PO-PSL było nieobecnych na sali sejmowej.

Rzucając projekt komisji, Biedroń próbuje więc ustawić się w roli lidera procesu publicznego rozliczenia PiS. Chce pokazać potencjalnym wyborcom, że jest skuteczniejszy od rywali z PO.

Lekcja z komisji Rywina

Argumentem za stworzeniem takiej komisji mogłaby być jawność całego procesu: jej obrady byłyby zapewne transmitowane przez telewizje lub w internecie. To przewaga takiego rozwiązania nad śledztwem prokuratorskim, które z natury toczy się za zamkniętymi drzwiami. ↦

↦ Tezę tę potwierdza najnowsza historia, a konkretnie afera Rywina. Transmisje z obrad powołanej do jej wyjaśnienia sejmowej komisji śledczej oglądały miliony (jednocześnie mało kto śledził śledztwo prowadzone w tej sprawie przez prokuraturę). Komisja ta nadała impetu kilku karierom, głównie Jana Rokity i właśnie Zbigniewa Ziobry. Choć śledztwo w sprawie korupcyjnej propozycji Rywina prowadził znany prokurator Zbigniew Kapusta, jego rozpoznawalność w porównaniu z „gwiazdami" komisji była znikoma. Dzięki tym obradom Polacy zainteresowali się też procesem stanowienia prawa.

Komisja Sprawiedliwości i Pojednania (trzymajmy się tego wariantu jej nazwy) miałaby pewnie potencjał osiągnięcia podobnego efektu. Mogłaby unaocznić nie tylko skalę nadużyć za rządów PiS, ale też wskazać ich konkretne przypadki.

Nie wyręczać Trybunału Stanu

Na tym jednak zalety projektu Biedronia się kończą. I wcale nie jest oczywiste, czy przewyższają ryzyko związane z jej powołaniem. Rządy PiS powinny zostać skrupulatnie rozliczone. Najnowsza historia uczy, że „grube kreski" i przechodzenie nad przeszłością do porządku dziennego kończą się czkawką, także w postaci radykalizacji postaw społecznych. Są jednak powody, dla których rozwiązanie w postaci nadzwyczajnej komisji może przynieść skutki odwrotne do zamierzonych.

Po pierwsze, komisja dublowałaby się z istniejącymi instytucjami i procedurami. Przypadki złamania prawa podlegają jurysdykcji prokuratur i sądów, a dla najwyższych rangą urzędników i polityków przewidziany jest Trybunał Stanu. Jaki jest więc sens tworzenia tutaj nowej instytucji, niejako pośredniej, która wydłużyłaby cały ten proces? I czy dla demokracji nie byłoby lepiej podjąć próbę zachowania tu ciągłości instytucjonalnej, zamiast co kadencję budować instytucje od nowa?

Po drugie, jest wątpliwe, czy taka komisja przyniosłaby jakiekolwiek pojednanie (o ile także i to miałoby być jej celem). Kto z kim miałby się jednać? Wyborcy PiS z elektoratem PO? Przepaść dzieląca te grupy dotyczy zbyt wielu czynników ideologicznych czy aspektów życia codziennego, by samo rozliczenie łamania konstytucji miało je do siebie zbliżyć.

Po trzecie, politycy Wiosny sugerują, że w jej składzie mogą znaleźć się i autorytety z dziedziny prawa, i politycy reprezentujący wszystkie siły polityczne. Taka hybrydowa konstrukcja rodzi pytania. Przed komisją stanęliby przecież tylko politycy PiS, bo ta partia rządzi samodzielnie od 2015 r.

> Czy nie byłoby lepiej zachować ciągłość instytucjonalną, zamiast **co kadencję budować instytucje od nowa?**

Złudne analogie

Politycy Wiosny przywołują analogie – podobne komisje w innych krajach, jak RPA czy kraje, które „wychodziły z reżimów autorytarnych czy dyktatorskich". Jednak takie porównania nie mają sensu. Kraje, w których powstawały różnej maści komisje (mające na celu ustalać prawdę, dać poczucie sprawiedliwości czy pojednanie), wychodziły z reżimów głęboko opresyjnych. Tak było w RPA, Chile, Argentynie, Urugwaju, Salwadorze, Gwatemali, Sierra Leone czy Liberii. Żaden z tych krajów ani trochę nie przypomina polskiej rzeczywistości.

Mimo wszystkich szkodliwych reform, pod rządami partii Jarosława Kaczyńskiego Polska nie przestała być demokracją, bo mało kto podaje w wątpliwość choćby wolne wybory. Nie mają też miejsca masowe prześladowania. Nawet jeśli instytucjonalny „buldożer" PiS przyspieszy przed jesiennymi wyborami parlamentarnymi, pozostaniemy państwem demokratycznym. Polsce nie jest potrzebna ani kolejna transformacja, ani pogrzeb minionego ustroju. Komisyjne rozliczanie rządów PiS mogłoby natomiast zamienić się w osądzanie całej III RP, a nie o to przecież chodzi Biedroniowi.

Analogie do innych państw posttransformacyjnych też są nieprzydatne – w tamtejszych komisjach jasno definiowano role sprawców i ofiar. O ile w Polsce wiadomo, że winnym naruszeń byłby PiS, to kto miałby zasiadać na miejscu ofiary? Społeczeństwo raczej nie, bo przecież istotna jego część na rządach „dobrej zmiany" sporo zyskała. Polityczna opozycja? Też nie, bo oznaczałoby to jej wybielanie, a przecież Platformie i innym partiom też zdarzały się nadużycia czy działania niezgodne z konstytucją. Za poszkodowanego „dobrej zmiany" uznać nie można też państwa polskiego – byłoby to posunięcie abstrakcyjne.

Bez przymusu, bez amnestii

Wreszcie kwestia najważniejsza: skuteczność takiej komisji. Co miałoby być jej nadrzędnym celem? Pokazanie prawdy o rządach PiS? To postulat mglisty i nie da się go doprecyzować, jeśli chodzi o zakres prac komisji. Czy celem miałoby być postawienie możliwie największej liczby osób przed Trybunałem Stanu? Wtedy wraca argument, że taka komisja, pełniąc rolę pośrednika, tylko przedłużałaby cały proces. A może jak najwięcej osób ma usłyszeć zarzuty prokuratorskie? Aby tak się stało, komisja musiałaby otrzymać uprawnienia właściwe wymiarowi sprawiedliwości. Stałaby się wówczas instytucją hybrydową. Jeśli z kolei miałaby przedstawić bilans rządów PiS, odsłonić kulisy „dobrej zmiany", należy zadać pytanie, czy dostałaby instrument przymusu wobec zeznających? Bez groźby odpowiedzialności karnej trudno sobie wyobrazić, że zeznający dzieliliby się swoją wiedzą.

Tu warto sięgnąć po przykłady np. Ameryki Południowej. W działaniach takich komisji zwykle wprowadzano tam jako instrument zachęty amnestię lub jakąś formę immunitetu: zeznania za nietykalność. Tam miało to sens, bo cel działań tych komisji był szerszy niż opublikowanie listy winnych: dawały podwaliny pod kompletnie nowy ustrój. Czy w polskim przypadku amnestia miałaby sens? Czy zyski z otrzymanych dzięki niej informacji przewyższałyby koszty w postaci uniknięcia przez zeznających odpowiedzialności?

Politycy postulujący „komisyjną" drogę rozliczania PiS nie uniknęliby też oskarżeń o populizm, o organizowanie spektaklu – i przynajmniej w części byłyby one zasadne. Dalej: jeśli ewentualna komisja ograniczy się do przypadków łamania konstytucji, nie pokaże całościowej patologii czasów „dobrej zmiany". Pojednania nie osiągnie, pogłębi polaryzację. Ujawniona przez nią prawda nie będzie dla wszystkich przekonująca, bo przy polaryzacji życia publicznego w Polsce wszystkie strony kreują swoje „prawdy".

Zamiast pojednania i rozliczenia, komisja zafundowałaby kolejną odsłonę wojny polsko-polskiej: takiej, od której sam Biedroń się odżegnuje, ale którą mimochodem zaognia.

© MATEUSZ MAZZINI

ANNA

Dziewit-Meller: *Cudowne lata*

Na kilka dni przed Dniem Dziecka czytam wydaną właśnie w Polsce książkę Didiera Eribona „Powrót do Reims". Eribon – francuski intelektualista, protegowany Pierre'a Bourdieu, biograf i przyjaciel Michela Foucaulta, socjolog, dziennikarz nagradzany w naukowym świecie za swoje prace poświęcone homoseksualizmowi i podmiotowości mniejszości, w swoim autobiograficznym eseju wraca – dosłownie i w przenośni – do tytułowego miasta, w którym wzrastał w robotniczej rodzinie, i szuka we własnej historii odpowiedzi na pytanie o klęskę lewicowego projektu politycznego. Ta pisana prawie 10 lat temu książka brzmi dziś jak ponure *memento*, gdy Francję podpala ruch żółtych kamizelek, a w Polsce 35 proc. młodych ludzi w najbliższych wyborach zamierza głosować na skrajnie prawicową Konfederację.

Ja dziś jednak nie umiem czytać tego eseju jedynie w owym kontekście załamania się lewicowej agendy. Bo dla mnie ta książka jest przede wszystkim szalenie dotkliwą rzeczą o zdradzie własnej klasy i własnego pochodzenia – zjawisku jakże powszechnym nie tylko nad Sekwaną, o którym mówi się wciąż za mało, a które – zwłaszcza w kontekście świąt takich jak Dzień Matki, Dzień Dziecka czy zbliżający się Dzień Ojca – można śmiało przywołać. Wszyscyśmy czyimiś dziećmi i wiele z tego wynika, choć udajemy, że nie.

„Dzięki matce mogłem pójść do liceum i kontynuować naukę. (...) Kiedy spała, żeby wstać o czwartej rano, ja czytałem Marksa i Trockiego, a później Beauvoir i Geneta. Mogę tu odwołać się do Annie Ernaux, która pisząc o swojej matce, prowadzącej mały dzielnicowy sklepik, z taką prostotą wyraża brutalność tej prawdy: »(...) od rana do wieczora podawała klientom ziemniaki i mleko, żebym mogła siedzieć w auli uniwersyteckiej i słuchać wykładów o Platonie«. Kiedy dziś widzę moją matkę, poruszającą się z bólem wskutek pracy, jaką wykonywała przez piętnaście lat, stojąc przy taśmie montażowej i nakładając pokrywki na szklane słoiki – miała prawo do zastępstwa dziesięć minut rano, dziesięć po południu, żeby pójść do ubikacji – uderza mnie konkretne fizyczne znaczenie pojęcia nierówność społeczna" – pisze autor, by dodać to, co dla mnie staje się w jego książce kluczowe: „(...) byłem niezbyt skory do zastanawiania się, kim są moi rodzice, a tym bardziej do politycznego uznania prawdy ich egzystencji. (...) cóż warta jest narracja polityczna niebiorąca pod uwagę tego, kim naprawdę są ci, których życie interpretuje, i prowadząca do potępienia ludzi, o których mówi, ponieważ wymykają się tak zbudowanej fikcji".

Didier Erbon, pisząc o swojej „zdradzie", przywiódł mnie do refleksji nad tym, kogo zdradziło moje pokolenie, i co to oznacza dla polskiej agendy: lewicowej, liberalnej, prawicowej, wszelkiej.

Jesteśmy bowiem – my, urodzeni po roku 1980 – dziećmi ludzi, którzy nagle, z dnia na dzień zostali wciągnięci w tryby transformacji systemowej, w epokę brutalnych reform gospodarczych i społecznych, w opowieść o konieczności zaciśnięcia zębów i „wzięcia spraw we własne ręce". Widzę naszych rodziców – ukształtowanych jako ludzie i obywatele w coraz bardziej gnijącym komunizmie – rzuconych znienacka na odcinek „kapitalizm", usiłujących utrzymać się na pokładzie tej mizernej szalupy, porwanej przez wielki wir, którego istnienia nie byli wcześniej świadomi.

Trzymając się zębami wątłych lin, jednocześnie starali się nie wypuścić z rąk nas, umożliwiając nam dopłynięcie do obiecywanego wszem i wobec bezpiecznego brzegu. Jeśli się im udało nas tam dostarczyć – co świetnie opisuje np. Maciej Marcisz w swojej powieści „Taśmy rodzinne" – odbywało się to nieraz nadludzkim wysiłkiem, tak że ze sformułowania „beneficjenci transformacji" nie zostawało nic prócz rozpadu więzi rodzinnych, chorób wieńcowych, depresji i alkoholizmu. My zaś – ci, których dowieziono – dotarłszy na brzeg, po prostu założyliśmy suche ubrania i poszliśmy dalej nie oglądając się już nigdy wstecz, za to pełni pretensji i żalu o dzieciństwo, z którego nie mogliśmy być zadowoleni, i o beznadziejną Polskę, jaką nam przygotowali.

Dziś widzę to jako zdradę. Jako beztroskie unieważnienie tamtego wielkiego wysiłku. Nie pozwoliliśmy im wypowiedzieć na głos schowanego w głębi serc skowytu, który brzmiał: „Nie mamy już siły. Od zaciskania zęby nam już dawno wypadły, a do dentysty wysyłaliśmy od jakiegoś czasu już tylko was".

Uznaliśmy, że rozmowa o cenie zapłaconej przez naszych rodziców nie jest konieczna, zaś korzenie tego, kim jesteśmy dziś tu i teraz, chowamy głęboko, zapominając o traumie tych, którzy nas przenosili przez lata 90. na własnych barkach. Nie podoba nam się Polska, jaką nam dają w spadku, oddajemy głosy na tych, co podbijają bębenek naszego niezadowolenia, żerując na głęboko schowanym poczuciu zdrady, które przecież w sobie nosimy. „Polityczne ramy pamięci w dużej mierze określają dziecko, którym byliśmy, i dzieciństwo, któreśmy przeżyli" – pisze Eribon. I znów cytuje Annie Ernaux, która zapragnęła w końcu wydobyć z siebie pamięć, która „przestanie poniżać".

I tego nam wszystkim – dzieciom, matkom i ojcom – z okazji naszych świąt życzę: byśmy ją w sobie chcieli odnaleźć. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 2774/17, z wniosku Barbary Kuchty z udziałem Ryszarda Kuchty, Gminy Kamień, Małgorzaty Krauz, Leonardy Głazik, Beaty Sadowskiej, Skarbu Państwa – Agencja Nieruchomości Rolnych o zasiedzenie części działki nr 192 o powierzchni 0,28 ha wraz z budynkami, położonej w miejscowości Strachosław, oraz działki nr 593 o powierzchni 0,76 ha, położonej w miejscowości Strachosław.

Wzywa sie wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

OPINIE

HOMO SOVIETICUS PO LATACH

Nie mogę darować Tischnerowi, że wolał występować w spotach Kongresu Liberalno-Demokratycznego, zamiast napisać drugi tom „Etyki solidarności": traktat o godności pracy na świeżo zbudowanym wolnym rynku.

RAFAŁ WOŚ

Ks. Józef Tischner wraca do Łopusznej i idzie przez wieś, przygnębiony reakcjami na swoje telewizyjne wystąpienie. Na drodze spotyka wyraźnie rozradowanego sąsiada. „Aleś im – Józek – przypieprzył z tym *homo eroticus!*" – słyszy. Zaczyna wyjaśniać, że to nieporozumienie, bo w telewizji mówił przecież o *homo sovieticus* i że już ma dość, bo nie został dobrze zrozumiany. Sąsiad przestępuje z nogi na nogę, słucha, słucha, aż wreszcie wypala zniecierpliwiony: „Sam godołeś, że tylko to cosi warte, co da się przełożyć na góralski. A wiys, po góralsku ten twój *homo eroticus* czy tam *homo sovieticus* to przecie jedno i to samo. To jest taki, co wszystko pie...li".

Anegdota pochodzi oczywiście od samego filozofa i została przywołana przez jego biografa, Wojciecha Bonowicza. Tischner w swoim niepodrabialnym stylu próbował przy jej pomocy tłumaczyć się z nieszczęsnego sformułowania. Wyjaśnienia odniosły skutek umiarkowany. Termin wszedł do zbiorowej świadomości na tej samej zasadzie, co „trzeba było się ubezpieczyć" Włodzimierza Cimoszewicza (do powodzian w 1997 r.) albo „zmień pracę, weź kredyt" Bronisława Komorowskiego (w kampanii wyborczej 2015 r.). Sam Tischner używał go wiele razy, i to w kluczowych dla polskiej transformacji latach. Dlatego rozprawa z *homo sovieticus* jest wyzwaniem dla każdego, kto chce się zmierzyć z dorobkiem kapelana Solidarności. I ze sformułowanym przez niego pomysłem na Kościół i Polskę.

Ludzie przed straganem

Czytany dziś tekst „*Homo sovieticus* między Wawelem a Jasną Górą" (opublikowany w maju 1990 r. na pierwszej stronie „Tygodnika Powszechnego") może rozczarować – zwłaszcza tych, którzy poznali Tischnera później, jako sypiącego anegdotami księdza-górala-intelektualistę, a od pewnego momentu także celebrytę, bez którego nie mógł się nawet obejść pierwszy odcinek polskiej wersji „Ulicy sezamkowej". W tekście z 1990 r. Tischner w tonie dość suchym diagnozuje, że choć upadł w Polsce komunizm, to jednak „człowiek sowiecki" zagnieździł się w Polakach głęboko. Autor operuje tu dość wysokim stopniem ogólności. Nie do końca wiadomo, czy chodzi mu bardziej o sovieticusa siedzącego w polskim Kościele (wśród wiernych? wśród hierarchów?), czy może jednak jest to diagnoza odnosząca się do całego społeczeństwa. „Zawsze pełen roszczeń, zawsze gotów do obwiniania innych, a nie siebie, chorobliwie podejrzliwy, przesycony świadomością nieszczęścia, niezdolny do poświęcania siebie" – oto charakterystyka figury, której nazwę Tischner zaczerpnął z pism rosyjskiego dysydenta Aleksandra Zinowiewa.

Być może ów tekst zostałby szybko zapomniany, gdyby nie późniejsze o pięć miesięcy wystąpienie telewizyjne autora. Był 28 listopada 1990 r. Trzy dni wcześniej inteligencka Polska doznała pamiętnej traumy: Tadeusz Mazowiecki odpadł z gry o prezydenturę już w pierwszej turze. I to z kim? Ze Stanisławem Tymińskim, postacią obśmiewaną w kampanii jako „przybysz z najmroczniejszych zakamarków Peru" czy „Kaszpirowski polskiej polityki". Telewizja – wciąż kontrolowana przez ludzi Mazowieckiego – stoi dla Tischnera otworem, a ksiądz korzysta z zaproszenia. Występuje z ostrym publicystycznym komentarzem. Mówi: „Wybory są dla

WOJCIECH DRUSZCZ

mnie przede wszystkim dniem pewnej prawdy. Oto w tym dniu ujawnił swą obecność między nami *homo sovieticus* – człowiek sowiecki. W ostatnią niedzielę pokazał swoją prawdziwą twarz". Po czym znów daje opis: sovieticus to ten Polak, który kiedyś ustawił się przed straganem z obietnicami komunistów. Popierał komunizm dopóty, dopóki na straganie był towar. A kiedy się skończył, podniósł bunt. Teraz stragan został wymieniony. Ale sovieticus wciąż się domaga. Tym razem od ludzi Solidarności, którzy stanęli za ladą. Ten bezwolny i interesowny sovieticus jest zakałą polskiej demokracji. Skłonny zaakceptować każdego proroka, który obieca mu pewną bezodpowiedzialność i pewien stopień konsumpcji. Może podpalić katedrę, byle sobie przy tym ogniu usmażyć jajecznicę.

Nie odwołał

Przygotowując się do pisania przeczytałem sporo tekstów Tischnera i o Tischnerze. Wydaje mi się, że potrafię zrozumieć, dlaczego to powiedział. Jednocześnie mimo wszystkich tych lektur wciąż nie potrafię zaakceptować tego, że to powiedział.

Nie ja jeden. „Patrzyłem na sugestywne oczy Księdza Redaktora, skierowane na mnie z ekranu telewizyjnego. Słuchałem słów pouczających surowo naród. I zarówno w oczach, jak w wypowiadanych słowach ujrzałem pychę intelektualisty i pogardę dla prostego człowieka" – napisał w liście otwartym do Tischnera sędziwy Władysław Siła-Nowicki. Ten dawny AK-owiec i obrońca antykomunistycznej opozycji w PRL pytał, czy to raczej nie przez księdza profesora przemawia sovieticus-elitarysta, który „nie jest w stanie zaakceptować faktu, że ponad 4/5 oddających głos ośmieliło się wyrazić swoje niezadowolenie wobec linii politycznej rządu premiera Mazowieckiego".

Tischner bronił się przed tego rodzaju zarzutami do końca życia – czyli jeszcze przez kilka lat, zmarł bowiem w 2000 r. po ciężkiej chorobie, która przerwała jego aktywność pisarską. Raz tłumaczył, że „nie chciał nikogo obrazić, lecz raczej próbował przerazić". Wyjaśniał, że jego celem było wywołanie u Polaków krytycznej autorefleksji. Samej tezy nigdy jednak nie porzucił. Nie powiedział „myliłem się!", choćby tak jak Zinowiew, który po latach spędzonych na emigracji zaczął rehabilitować i czuć sympatię do swojego „homososa" (rosyjski skrótowiec na homo sovieticusa). Przeciwnie.

Polityczne wybory księdza z Łopusznej (a nie ukrywał ich) mówiły: „Tak, jestem z tymi, co tezę o roszczeniowych Polakach, którzy nie wyszli z mentalnej komuny, niosą na sztandarach!". Tischner popierał terapię szokową Leszka Balcerowicza. Był intelektualnym patronem Unii Demokratycznej, a potem Unii Wolności. We wrześniu ↦

↦ 1993 r. wystąpił w spocie wyborczym Kongresu Liberalno-Demokratycznego. „Nazwisko Leszka Balcerowicza wiązało się z historycznym dziełem naprawy naszej pracy (...) Balcerowicz to ważna narodowa wartość. Tym bardziej że wokół nas krążą całe zastępy innych polityków. Żądnych tylko jednego: celebrowania ich monologicznej cnoty" – pisał w 1995 r. w „Tygodniku Powszechnym". Nawet przychylny mu biograf Wojciech Bonowicz pisze, że wielu uznało, iż w swoim bezwarunkowym poparciu dla jednej politycznej opcji idzie zbyt daleko. Jak wówczas, gdy stanął na antylustracyjnej barykadzie razem ze środowiskiem „Gazety Wyborczej". „Tischner dał się w to wszystko wkręcić i wspierał różne dziwne pomysły różnymi dziwnymi wywodami. Czytaliśmy to z wielką trudnością i dawaliśmy mu odczuć, że coś tu nie gra" – mówił w 2014 r. w rozmowie z „Pressjami" uczeń księdza profesora, filozof Zbigniew Stawrowski.

Utracony namysł nad godnością

Po ludzku towarzyskie czy nawet polityczne wybory Tischnera da się oczywiście zrozumieć. Problem w tym, że mówimy tu o może najpopularniejszym wówczas (po Janie Pawle II) duchownym w Polsce. O „proboszczu pierwszej Solidarności". O postaci, której głos się liczył.

Zrozumieć więc łatwo. Co innego jednak te wybory zaakceptować. Tym bardziej że dekadę wcześniej to Tischner napisał „Etykę solidarności", która to książeczka była oryginalnym namysłem nad naturą polskiej pracy. Wymyślał ją na gorąco w czasie tzw. karnawału Solidarności. We wrześniu 1981 r. w gdańskiej Hali Olivii delegaci na legendarny I Zjazd „S" uznali „Etykę..." za swój oficjalny dokument. Dla wielu uczestników tamtych wydarzeń było oczywiste, że gdy nastanie w Polsce pełna wolność, to właśnie Tischner napisze preambułę do nowej konstytucji.

Geniusz „Etyki..." polegał na tym, że Tischner zachodził tu komunistów... z lewa. Nie pisał, że socjalizm się skończył i że teraz trzeba w pośpiechu wprowadzić nad Wisłą wolny rynek (biografowie potwierdzają zgodnie, że nie miał do kapitalizmu szczególnej tęsknoty, którą by musiał taktycznie ukrywać z obawy przed cenzurą). Po mistrzowsku zarzucał PRL-owi, że alienuje pracowników nie mniej niż kapitalizm. Alienuje – to znaczy pozbawia ich pracę sensu i znaczenia. Wniosek? Odbiera pracownikom godność. Antidotum na tamten bezsens była właśnie Solidarność. Związek zawodowy, który domaga się równości, wolności i demokracji. Właśnie po to, żeby przywrócić pracy ludzkiej utraconą godność. To dlatego, gdy dekadę później padają z ust Tischnera ostre słowa o sovieticusie, wydają się czymś więcej niż kolejną kontrowersyjną opinią. W jego ustach brzmią jak bolesna zdrada. „W »Etyce solidarności« Tischner buduje Polaków, buduje więź, to jest projekt inkluzywny. Od »Sovieticusa« okazuje się, że mamy budować tę naszą wspólnotę apelując nie do tego, co najlepsze w każdym człowieku, tylko wskazywać tych złych, tych, co przeszkadzają i niszczą Polskę" – mówił Stawrowski we wspomnianej rozmowie z „Pressjami".

Szokowy kontekst

Najważniejsze jest jednak to, że „Sovieticus" nie pojawił się w ekonomicznej i społecznej próżni. 1 stycznia 1990 r. wszedł w życie pakiet ustaw przygotowanych przez solidarnościowego wicepremiera Leszka Balcerowicza. Przyświecały mu dwa cele. Pierwszym, bardziej doraźnym, było opanowanie szalejącej w kraju inflacji. Jednak plan Balcerowicza nie był tylko gaszeniem inflacyjnego pożaru. Miał jeszcze drugi cel, choć dalekosiężny, to jednak wyraźnie sformułowany. Ówczesnym ekonomicznym decydentom chodziło o radykalne przyspieszenie procesu urynkowienia gospodarki. I to było sedno terapii szokowej. A więc koncepcji przywiezionej do Polski latem 1989 r. przez harwardzkiego profesora ekonomii Jeffreya Sachsa.

Pomysł ekspresowego przestawienia gospodarki na kapitalizm (na wzór działań stosowanych wcześniej w Ameryce Łacińskiej) nie miał wiele wspólnego z kompromisem wypracowanym przez PZPR i Solidarność przy Okrągłym Stole, bo tam władza i opozycja umówiły się na przemiany stopniowe. W praktyce jednak wicepremierowi Balcerowiczowi i jego otoczeniu koncepcja Sachsa okazała się bliższa niż okrągłostołowe kunktatorstwo. I to właśnie ją zaczęto realizować – pospiesznie, nie dbając o społeczne konsultacje („byliśmy jak barany prowadzone na rzeź" – oceniał potem solidarnościowy senator Aleksander Małachowski). Nie poprzestając na terapii szokowej i uzupełniając ją w kolejnych miesiącach szerokim otwarciem polskiego rynku dla towarów zagranicznych oraz początkiem prywatyzacji majątku narodowego w lipcu 1990 r.

Tischner nie był politykiem ani ekonomistą. Mógł tych wszystkich niuansów nie wyczytać. Od intelektualisty i duszpasterza można by jednak oczekiwać, że będzie lepiej czytał nastroje panujące w społeczeństwie, dostrzegał skalę ofiary społecznej poniesionej na ołtarzu instalowania w Polsce kapitalistycznego porządku. Ktoś taki winien zauważyć, że w 1990 r. nastąpiło dramatyczne załamanie stopy życiowej: średnie ceny w 1990 r. wzrosły sześć-siedem razy, a przeciętne pensje realne spadły o blisko 24 proc. Do tego doszło widmo bezrobocia. Jeszcze w listopadzie 1989 r. Jeffrey Sachs mówił o „stu kilkudziesięciu tysiącach bezrobotnych". Potem pojawiała się liczba 400 tysięcy, a w rzeczywistości pod koniec 1990 r. bez pracy było już milion Polaków. Wkrótce liczba ta miała się potroić. Jednocześnie rządzącym nie udało się „zdmuchnąć inflacji", co było przecież oficjalnym celem i uzasadnieniem terapii szokowej. Do poziomu jednocyfrowego udało się ją zbić dopiero pod koniec lat 90. Kto, jeśli nie Tischner, miał dostrzec dojrzewające wtedy w polskim społeczeństwie „grona gniewu"?

Twórcy tamtej fazy polskiej transformacji ze swoich niepowodzeń do dziś tłumaczą się niechętnie. Oficjalna opowieść brzmi, że lekarstwa nigdy nie są smaczne. Często można też usłyszeć, że „przecież nie było alternatywy". Tischner też powtarzał tę mantrę, jakby tkwił zamknięty w polityczno-towarzyskiej bańce, dla której była wygodna. „Z punktu widzenia etycznego nie można było inaczej" – pisał w 1995 r. we wspomnianym już tekście z „Tygodnika", pt. „Rewolucja etyczna". Czyżby? Przecież nawet w obozie Solidarności istniało co najmniej kilka propozycji korekty balcerowiczowskiej terapii szokowej: od broniących praw pracowniczych inicjatyw politycznych Karola Modzelewskiego czy Jana Józefa Lipskiego po postulat „szwedzkiej drogi" innego doradcy „S", ekonomisty prof. Tadeusza Kowalika czy inspirowany keynesizmem plan prof. Kazimierza Łaskiego, kładący nacisk na pobudzanie popytu w gospodarce narodowej.

Narzędzie wyciszania

To, że Tischner o nich nie słyszał, nie oznacza, że ich nie było. A nie słyszał o nich, bo były politycznie wyciszane w imię jedności „naszego obozu". Jego publicystyczno-

-kaznodziejska opowieść o wiecznie roszczeniowym Polaku sowieckim stanowiła w rękach rządzących użyteczne narzędzie tego wyciszania. Działające na zasadzie „przecież nawet autor »Etyki solidarności« uważa tak jak my. Nie ma alternatywy i kropka!".

Co gorsza, figura sovieticusa okradała również same ofiary transformacji z tego, co im pozostało. Czyli z prawa do buntu. Traciły pracę i perspektywy, a na dodatek sympatyczny ksiądz mówił im w telewizji, że jak się będą przeciwstawiać, to znaczy, że mają sowiecką mentalność. W internecie wciąż można odnaleźć kronikę filmową (polecam!) pokazującą strajk okupacyjny zdesperowanych rolników indywidualnych z wiosny 1990 r., zakończony rozbiciem pikiety przez policję. Rolnicy narzekają na nadmierne koszty reform. Czy to w nich widział duszpasterz owych roszczeniowych ludzi sowieckich? Czy byli nimi mieszkańcy PGR-ów, którym zamiast obiecanej przysłowiowej „wędki" w praktyce zaoferowano jedynie ciepłą wódkę?

Ale nawet gdyby Tischner nie napisał „Homo sovieticusa", to i tak można by było mieć do niego pretensje. Mógł wszak wtedy usiąść i napisać „Etykę solidarności 2". Opatrzoną podtytułem „Jak żyć i pracować godnie w czasach kapitalizmu?". Albo przynajmniej na pierwszej stronie „Tygodnika Powszechnego" opublikować tekst pt. „*Homo oeconomicus*. Między bezrobociem a folwarkiem". W którym by pokazał, jak wielkie zagrożenie dla godności ludzkiej pracy (a więc i dla godności człowieka) niesie ze sobą wolnorynkowy kapitalizm. Zwłaszcza taki, jaki ustanowiliśmy sobie w Polsce. To znaczy oparty na przekonaniu, że prywatna firma to prywatny folwark jej właściciela, z ograniczonym prawem do strajku, co uniemożliwiało w praktyce rozwinięcie się uzwiązkowienia w sektorze prywatnym. Z wysokim bezrobociem, gdy pracodawca może bez ustanku szachować pracowników: „na twoje miejsce mam pięciu tańszych". I z plagami dziedziczenia biedy oraz wykluczenia w miejscach, gdzie transformacyjna lekkomyślność ekipy Balcerowicza doprowadziła do przedwczesnej deindustrializacji. Jak choćby w wałbrzyskiej dzielnicy Podgórze, gdzie ktoś namalował na ścianie dawnego kina „Mieszko" hasło „Kiedyś tu było życie, teraz jest tylko bieda" (hasło to jest jednocześnie tytułem nowej książki Katarzyny Dudy, o sugestywnym podtytule „O ofiarach polskiej transformacji").

Ale tak się nie stało. Może gdyby nie zbyt wczesna śmierć (dożył 69 lat), zrelatywizowałby swoje ówczesne poglądy? Może. Jeśli spytacie mnie jednak o największe rozczarowanie związane z transformacją, to odpowiem szczerze. Nie Leszek Balcerowicz, nie gdańscy liberałowie, nawet nie Leszek Miller obniżający w 2004 r. podatki czy Jerzy Hausner swoją koncepcją „uelastycznienia" otwierający drogę uśmieciowieniu polskiej pracy. Największym rozczarowaniem jest ks. Józef Tischner.

Zmarły niedawno Karol Modzelewski powiadał, że „wszystkie toksyny polskiego życia publicznego, z którymi się dziś zmagamy, biorą się z tamtej niesprawiedliwej neoliberalnej polskiej transformacji". Tischner miał popularność, talent, intelekt, a jako autor „Etyki solidarności" również intuicje, dzięki którym mógł zmienić neoliberalną logikę polskiej transformacji. Ale nie zmienił. Niestety. ©℗ RAFAŁ WOŚ

REKLAMA

DEBATA
POLSKA W PRACY.
O KONDYCJI PRACOWNIKÓW w III RP

GOŚCIE SPECJALNI:
Dorota Gardias, przewodnicząca Forum Związków Zawodowych, przewodnicząca Rady Dialogu Społecznego
prof. Elżbieta Mączyńska, prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego
Marek Szymaniak, dziennikarz i reporter, autor książki *Urobieni. Reportaże o pracy*
Rafał Woś, dziennikarz ekonomiczny, obecnie związany z „Tygodnikiem Powszechnym", autor książki *To nie jest kraj dla pracowników*
Zbigniew Derdziuk, szef programowy Komitetu Dialogu Społecznego KIG

DEBATĘ POPROWADZĄ:
Magdalena Bigaj, ekspertka Komitetu Dialogu Społecznego KIG
Remigiusz Okraska, redaktor naczelny „Nowego Obywatela", pomysłodawca i redaktor książki *Dzieje życia i twórczości Edwarda Abramowskiego*

Przyjdź na debatę
i wygraj książki gości specjalnych!

KIEDY: 5 CZERWCA 2019, GODZ. 18.00
GDZIE: BIG BOOK CAFE, DĄBROWSKIEGO 81, WARSZAWA

promocja numeru!

ZAPRASZAJĄ
NOWY OBYWATEL
Komitet Dialogu Społecznego
Krajowej Izby Gospodarczej

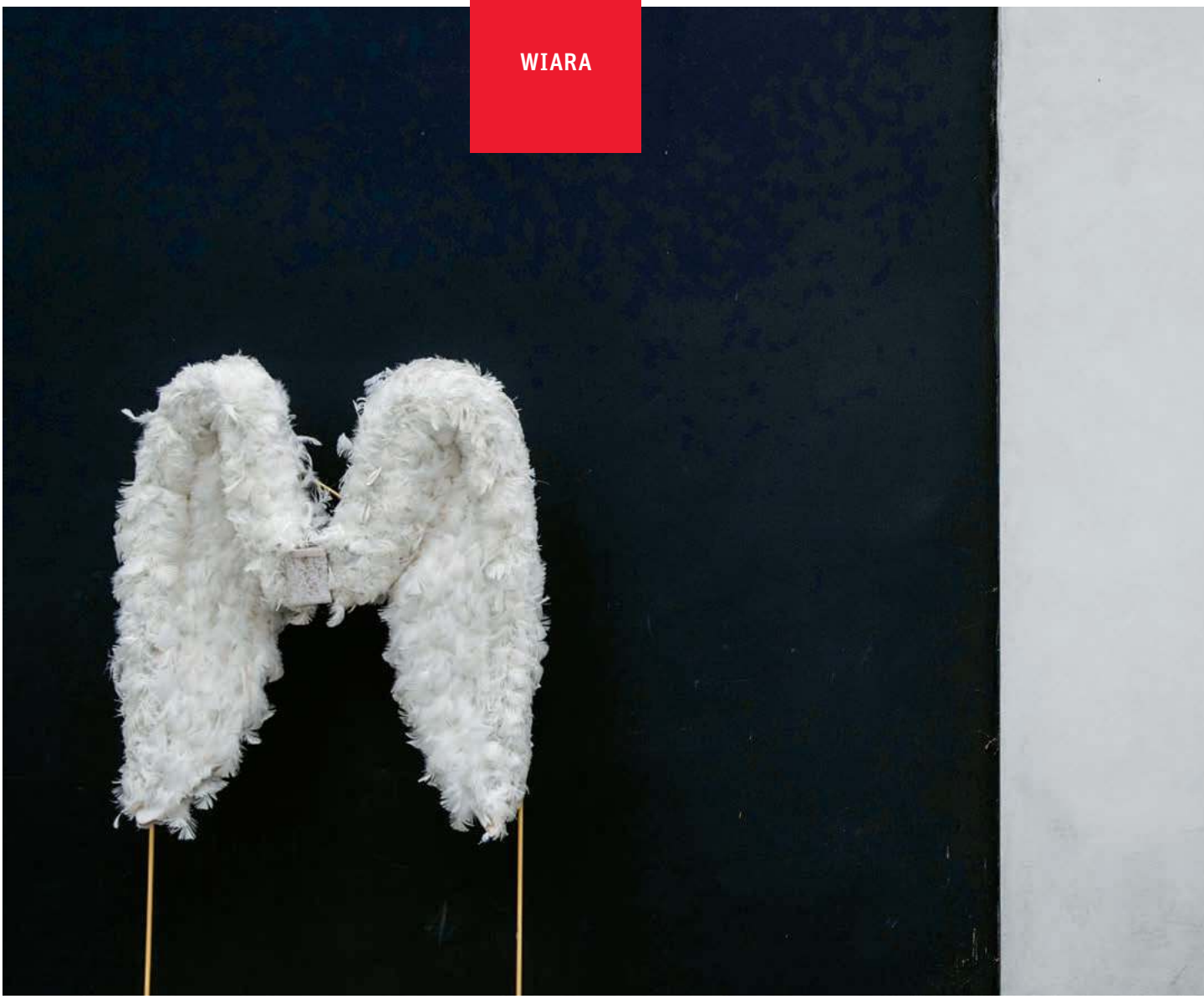

FORTECE DOKTRYNY, AMBONY POUCZEŃ

Po transformacji 1989 roku Kościół instytucjonalny wybrał w wielu newralgicznych sprawach milczenie. Dziś trudno mu będzie odbudować swój autorytet.

TADEUSZ SŁAWEK

JAE C. HONG / AP / EAST NEWS

1 Sytuacji, w jakiej znalazł się Kościół katolicki w Polsce, nie wolno przemilczeć. Byłoby to najgorsze, co mogłoby nas spotkać. Nie tylko z powodu roli, jaką Kościół odgrywał i odgrywa w polskiej historii, ale przede wszystkim dlatego, że zaniechanie dyskusji na temat obecnego stanu Kościoła będzie miało niedobre skutki dla całej sfery publicznej. Poważna rozmowa o Kościele jest bowiem w dużym stopniu rozmową o nas samych i naszej kondycji moralnej lub szerzej – duchowej. Nie sprowadzajmy dyskusji o Kościele do rozważania i oceny postępowania Episkopatu; nie możemy zgubić tej kwestii z pola widzenia, ale – podpisawszy się pod tezą, że Episkopat wobec coraz to nowych ujawnianych faktów maskowania pedofilii powinien oddać się do dyspozycji papieża, co w języku świeckim oznacza dymisję, powiedzmy szczerze – Episkopat swoją postawą nie zasłużył na to, by zmonopolizować rozmowę o Kościele.

To nasze pierwsze zadanie: przypomnieć, że Kościół jest powszechny i że ocena jego kondycji oraz wizja przyszłości należy tyleż do funkcjonariuszy instytucji, co i ludzi świeckich. Może nawet w stopniu znaczniejszym do tych ostatnich, to bowiem do nich adresowana jest Dobra Nowina i to oni muszą przeprowadzić swoje życie, a dalej – życie publiczne, przez meandry coraz bardziej przyspieszającego, coraz mniej przewidywalnego świata. To my, świeccy, którzy – jak pisał przejmująco Jan Patočka – niesiemy swoje życie „nie w oczywistości bytów pozaludzkich", lecz musimy się z życiem „uporać", „poradzić sobie z nim" (przeł. Juliusz Zychowicz), my, świeccy, doświadczamy owej niekiedy dramatycznie trudnej codzienności, codzienności „byle czego", na co nie raczy nawet spojrzeć przedstawiciel Episkopatu.

Ośmielę się mniemać, że w obecnym stanie Kościół natrafił na poważną przeszkodę w wypełnianiu misji pomocy świeckim w „niesieniu ich życia". Tą przeszkodą jest on sam.

2 Powszechność Kościoła trzeba akcentować także dlatego, że politycy gorliwie dokładają starań, by zawęzić Kościół i religijność do źle pojętej lokalności. Jeżeli Jarosław Kaczyński utrzymuje, że ręka podniesiona na Kościół podnosi się na Polskę, czyli na naród i państwo, czyni dwie niebezpieczne i grzeszne rzeczy.

Po pierwsze, z utożsamienia Kościoła z narodem i państwem wynika, że katolicyzm nie jest w istocie rzeczą powszechnie ludzką, lecz rzeczą w szczególny sposób polską. Nie w powszechności zatem siła religijnego doświadczenia, lecz przeciwnie – w tym, co miejscowe i etniczne. Próżna zatem jest obietnica św. Pawła, iż „wszystkim we wszystkich [jest] Chrystus" i w związku z tym „nie ma Greka ani Żyda" (Kol 3, 11), polski katolicyzm nie ma bowiem budować Chrystusowej wspólnoty narodów. Wyłączywszy się z niej, ma odegrać wobec niej rolę przewodnią i korekcyjną. Chrystusowa religijność ma zmierzać do wspólnoty; wedle Kaczyńskiego katolicyzm ma służyć podziałom.

W tego rodzaju fałszywym mesjanizmie czai się groźne przeświadczenie o wyjątkowym uprzywilejowaniu i misyjności, jakimi obdarzono polski Kościół. Niedaleko stąd do wniosku, że „prawdziwy" katolicyzm jest „nasz", i w związku z tym automatycznie lepszy od katolicyzmów innych krajów i narodów, które najwyraźniej zbłądziły, ulegając dechrystianizacji. Rojenia premiera Morawieckiego o ponownej chrystianizacji Europy za sprawą pospolitego ruszenia polskich wyznawców wyrastają z myślenia o chrystianizmie jako chrystianizmie znacjonalizowanym.

Po drugie, jest to chrystianizm nie tylko znacjonalizowany, ale także upaństwowiony. Skoro ręka podnosi się na państwo, to państwo winno tą bluźnierczą ręką się zająć. Kościół nie czyni tego sam, lecz niejako państwo i jego organy czynią to w jego imieniu. Gdy prymas Wojciech Polak stwierdza, że film braci Sekielskich „nie jest atakiem na Kościół", marszałek Ryszard Terlecki spieszy z sądem zgoła przeciwnym, a prezes Kaczyński wywodzi, że atak to wyjątkowo perfidny i brutalny. W ten sposób Kościół i jego członkowie zostają potraktowani jako niezdolni do własnego osądu spraw. Co więcej, osąd taki nie jest w ogóle potrzebny, bo dobro Kościoła jest przede wszystkim dobrem państwa.

I tak nasz chrystianizm został nie tylko znacjonalizowany i upaństwowiony, ale także pozbawiony dojrzałości. Odebrano mu to, co Kant uznał za oznakę umysłowej pełnoletności – samodzielny krytyczny sąd – obdarowując go w zamian przyjmowanymi bez oporu manipulatorskimi opiniami polityków. Niestety, pogodziliśmy się z tym, że Kościół uprawia politykę; dziwi natomiast i gorszy łatwowierne (lub cyniczne) przyzwolenie Episkopatu na to, by Kościół stał się przedmiotem polityki, a efekty tej zgody coraz częściej słychać w kazaniach.

3 Powiedzmy jasno: chrystianizm nie jest „ojczyźniany", a jeśli ma ojczyznę, jest nią ziemia tych, którzy wspólnie podejmują trud odnalezienia jakiegoś sposobu bycia razem, jeśli nie całkowicie wolnego od przemocy, to przemoc ograniczającego. Ojczyzną Kościoła są ludzie dobrej woli wciąż na nowo próbujący znaleźć *modus vivendi* w wielości języków, zapatrywań ideowych, przekonań politycznych, estetycznych gustów. Chrystianizm nie należy do tych, którzy „wiedzą", lecz do tych, którzy „próbują", świadomi swych ułomności i ograniczeń.

W celebracyjnej pompie i bogactwie liturgicznej oprawy Kościół nasz zapomniał, że jest próbą. To znaczy, nie gotowym ↦

↦ tekstem, nie starannie przećwiczonym przedstawieniem, nie zamkniętą w procedurach instytucją, lecz wciąż od nowa piszącym się scenariuszem cierpień i radości, pośród których próbujemy być ludźmi. Tych, którzy próbują, bez pouczania i nachalnego dydaktyzmu, w pokornym poczuciu własnej słabości szukają porozumienia i znaczenia w relacjach z innymi zostawiając im miejsce, by mogli zabrać głos, nazywam ludźmi „dobrej woli", a także „dobrego słowa".

4 Kościół zrezygnował z bycia próbą. To, co jest próbą, nie jest monolitem ani monomitem; słychać w nim różne głosy i różne opowieści, różne racje i myśli. Postawiwszy w powszechnym oglądzie na twardą jednorodność, instytucjonalny Kościół nie dopuszcza myśli o przemianie właściwej każdej historycznie osadzonej instytucji. Dlatego z taką rezerwą traktuje dzieło Franciszka, którego istotą jest „próbowanie" będące podejmowaniem wyzwań. Dlatego gdy Franciszek mówi o tym, by „kultura solidarności" próbowała się (przypomnijmy to stare znaczenie czasownika „próbować" jako zmagania się z kimś) z „kulturą wykluczenia", co zwraca od razu uwagę na palące problemy współczesności (bieda, uchodźcy), polski Kościół woli powtarzać nieznajdującą uzasadnienia tezę o nieokreślonej bliżej „cywilizacji śmierci" czyhającej zewsząd na biednego chrześcijanina.

Ale by mówić o solidarności, niezbędne jest wzajemne zaufanie tych, którzy mają być z sobą solidarni, a efektem tej solidarności ma być wspólny, mocno brzmiący głos dotyczący spraw, od których zależy przetrwanie świata. Tymczasem trudno o większy przedział, jak ten między kapłanami i świeckimi; ci ostatni właściwie w Kościele nie istnieją jako jego współtwórcy. Ich rolą jest bierne wypełnianie poleceń, a wszelkie sugestie z ich strony byłyby traktowane w najlepszym razie jako „nieuprawnione", w najgorszym jako „atak na Kościół". Brak zaufania kapłanów, a zwłaszcza hierarchów, do świeckich jest chorobą naszego Kościoła.

5 Słowo świeckiego jest traktowane przez Kościół jako „słabe" i skażone doczesnością; ale czy nie widać jasno, że słabość naszego Kościoła to także słabość jego słowa? Jest ono tylko pozornie mocne, a to dlatego, że jego siła bierze się nie z próbowania zrozumienia świata, lecz z poczucia wyższości nad światem. Pusto dudniące słowa kościelnej nowomowy powielające stereotypy oceniające świat w kategoriach „promowania cywilizacji śmierci" (nigdy jeszcze ratowanie i przedłużanie życia nie było tak zaawansowane jak dzisiaj), „ataku na Kościół" (nigdy jeszcze Kościół nie cieszył się takimi przywilejami i awansami, jakie wykonuje w jego stronę władza), wzywania do obrony przed islamizacją (w kraju, który gwałcąc zasadę solidarności europejskiej, właściwie odmówił przyjmowania uchodźców) okazują się bezradne wobec przypadłości ludzkiego losu; przekazują siłę doktryny, która w słabym tylko stopniu przekłada się na ludzkie dylematy.

W czarno-białym świecie kościelnej mowy nie ma miejsca na wszelkie odcienie szarości naszego losu. Potrzeba więc słowa, które opuściłoby bezpieczne fortece doktryny i ambony pouczeń i zwróciło się do słuchacza nie jako do posłusznego ucznia, lecz jako do partnera dialogu Boga z człowiekiem. Słowo homiletyczne i słowo listów pasterskich winno odnowić w sobie tę zdolność do rozmowy z Bogiem, wiara bowiem w istocie to nic innego, jak umiejętność i potrzeba ludzkiej odpowiedzi na słowo, które Bóg kieruje do człowieka. Bóg oczekuje naszej odpowiedzi, a nie zwykłego posłuszeństwa; dlatego potrzeba nam słowa nadającego się do takiego dialogu, który jest rozmową dwóch zatroskanych stron – Boga i człowieka.

Jan Patočka w niezwykły sposób zdefiniował wiarę jako „zwrócone do człowieka Boże słowo i odpowiedź na to słowo". Domagajmy się obecności takiego słowa w naszych kościołach. Gdy trzeba, krytykujmy kazania, doprowadzajmy do wymiany poglądów, nie bójmy się zaznaczać miejsca, w którym stoimy, choćby było ono inne niż to, w którym stoi kapłan. Może tak wykonamy pierwszy krok w stronę wzajemnego zaufania.

6 Inaczej rzecz ujmując, dobre słowo nie służy instytucji i jej interesom, a przynajmniej nie w pierwszym rzędzie; pozostaje przede wszystkim w służbie człowieka. Gdyby hierarchowie nie zapomnieli o tym powołaniu słowa, nie zasłanialiby się „dobrem Kościoła", przemilczając wiele niedobrych rzeczy dziejących się na ich oczach.

Po transformacji 1989 roku Kościół instytucjonalny wybrał w wielu newralgicznych sprawach milczenie, zapominając o słowie tworzącym autentyczne więzi między nim a wiernymi. Kościół milczał i zachęcał do milczenia jako znaku posłuszeństwa. W tym kontekście tytuł filmu „Tylko nie mów nikomu" nie mógł być lepiej dobrany. Milczenie lub charakterystyczny kod wypowiedzi mających służyć sprawie instytucji, a nie człowiekowi, to cecha grup zrzeszających wyłącznie zaprzysiężonych wyznawców, stowarzyszeń niemal konspiracyjnych, i trudno się oprzeć wrażeniu, że instytucjonalny Kościół zamyka się w takich ramach. Jeśli padają słowa, to głównie jako obrona zagrożonych interesów doraźnych, jakby biskupi zapomnieli, że doraźność nie jest perspektywą czasową Kościoła. Słowami nie tworzono więzi, nie budowano mostów i nici porozumienia, lecz przeciwnie – zrywano zgodę, wykopywano podziały, dzielono na dobrych i złych.

Wielu hierarchów nie proponuje namysłu nad sytuacją, nie wzywa do rozważenia racji stron społecznego sporu. Nie czynią tego, dążąc do uproszczenia zło-

POŻEGNANIE

23 maja 2019 roku po chorobie nowotworowej w wieku 9 lat zmarł

Ś.† P.

Krystian Krupa

Składamy wyrazy najgłębszego współczucia Rodzicom Krystiana oraz jego cioci i naszej przyjaciółce Agnieszce Krupie, kiedyś asystentce ks. Adama Bonieckiego.

Agnieszko, Krystian pozostanie w naszych myślach i modlitwach

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE SPOŁECZNE

żonej rzeczywistości globalizującego się świata, sprowadzając ją do prostego podziału na cnotliwych „my” i grzesznych „onych”. O protestach kobiet jesienią 2016 r. abp Marek Jędraszewski mówił: „To, co się dzieje, te czarne marsze, są przerażającą współczesną manifestacją cywilizacji śmierci. Chce się dzisiaj bronić antyewangelii. Można by powiedzieć: czarnej ewangelii”. Po co zatem roztrząsać kwestie napięć między regulacjami prawnymi a prawem jednostki do samostanowienia, po co wzbudzać pytania, skoro mamy gotowe odpowiedzi. Po co słuchać często wstrząsających historii kobiet; te dramaty są tylko „byle czym”, nad którym nie warto się pochylać. Po co „próbować”, skoro wszystko zostało powiedziane. Pozostaje tylko milczeć i pospiesznie osądzać. O rodzicach dzieci zrodzonych metodą *in vitro* abp Jędraszewski mawiał jako o „lewackiej zarazie” dopuszczającej się niecnej „zdrady wartości moralnych, dla których wybuchło powstanie warszawskie”.

Po ujawnieniu przestępstw seksualnych w Kościele amerykańskim przeczytałem wystąpienie doktora Lawrence’a Ricciego („New Yorker”, 13 maja 2019 r.), lekarza zajmującego się traumą dziecięcą, a w nim dwie poruszające uwagi. Pierwsza dotyczy skali problemu. Medyk kwestionuje tezę, że seksualni drapieżcy uaktywnili się w Kościele dopiero w latach 50. i 60. XX wieku. Byli oni obecni w nim zawsze, natomiast – i to drugie spostrzeżenie: w ostatnich latach dokonało się społeczne ujawnienie tego faktu, a to za sprawą m.in. ruchów kobiecych, dzięki którym ofiary uzyskały głos i nabrały odwagi.

7 Mowa instytucjonalnego Kościoła dowodziła, że nie dąży on do zrozumienia (co nie oznacza bezwarunkowej akceptacji) ludzkich decyzji i dramatów, lecz do tego, by je „załatwić”, wpisawszy w krąg doktrynalnych i proceduralnych rozstrzygnięć. Duch zagubił się w labiryntach litery. Znamienne, że arcybiskup senior wrocławski Marian Gołębiewski mówi o przestępczych czynach swego byłego podwładnego jako o sprawie „załatwionej”, o której mówienie „nie ma sensu”.

Duch tym odróżnia się od litery, a etyka od prawa, że nie ma dla nich spraw przedawnionych, a zatem, jeśli nawet sprawa została prawnie „załatwiona”, nie oznacza to wcale, że straciła sens, odeszła w niebyt, przestała ranić. Może człowieczeństwo polega właśnie na tym przejmującym fakcie, że w sferze ducha nic się nie przedawnia; zasada „było, minęło” nie obowiązuje w świecie ducha. Jest zaprzeczeniem wszelkiej duchowości; wszak duch jest siłą, która wszystko uaktualnia, czyni palącym, nie ułatwia, lecz utrudnia, nie upraszcza, lecz komplikuje. Przykro powiedzieć, ale przeciętny wierny odnosi coraz silniejsze wrażenie, że Kościół instytucjonalny zagasił ogień ducha.

> Nasz chrystianizm został nie tylko znacjonalizowany i upaństwowiony, ale także pozbawiony **umysłowej pełnoletności** – samodzielnego krytycznego sądu.

8 Jeśli słuszna jest teza, że świat znajduje się w kryzysie, to być może jego źródłem jest właśnie to, że ranliwe sprawy uznajemy za „załatwione”, że przestajemy o nich mówić, bo „nie ma sensu”, wszak przemieliły je młyny biurokratycznych procedur. To, co straszne, co wywołuje często niewyobrażalne cierpienie, rejestrujemy w rubryce „załatwione”, a tym samym przestajemy o tym myśleć, zostawiamy za sobą jak niepotrzebny bagaż. Dlatego robimy sobie *selfie* przed bramą obozu w Auschwitz; wszak żyjemy już w świecie „po”...

Ale cierpienie nigdy nie znika, ofiary nigdy nie milkną, rany ciągle się otwierają. Wolimy o tym nie pamiętać. Medycyna uczy, że choć zdrowiejemy z chorób, stajemy na nogi, to ciało w jakiś sposób „pamięta”, zapisuje, nie przedawnia chorób. Zostawiają one ślad na ciele, jakby niewidoczną bliznę. Ciało pamięta cierpienie; instytucja Kościoła (Mistycznego Ciała Chrystusa) woli nie pamiętać o swych ofiarach i ich cierpieniach, uznając sprawy za „załatwione”, a zatem już pozbawione znaczenia. Odnoszę wrażenie, że woli nie pamiętać o codziennych dylematach wiernych niosących swój często kaleki los, nie znajdując dla nich posłuchu ani zrozumienia.

Słowa krytyki, które abp Gołębiewski kieruje do braci Sekielskich, iż w ich filmie „nie ma ani jednej refleksji, jak to rozwiązać, jakie są przyczyny, dlaczego tak się stało”, instytucjonalny Kościół winien skierować przede wszystkim do samego siebie. Gdyby takiej krytycznej autorefleksji dokonano przed wielu laty, zapewne film „Tylko nie mów nikomu” nie byłby potrzebny. © PROF. TADEUSZ SŁAWEK

Autor jest filozofem, poetą, tłumaczem i eseistą, byłym rektorem Uniwersytetu Śląskiego. Stale współpracuje z „TP”.

ZRÁNIENI W KOŚCIELE

TELEFON WSPARCIA
w każdy wtorek w godz. 19–22
800 280 900
dla osób zranionych przemocą seksualną
www.zranieni.info

Drapieżcy w sutannach

KS. JACEK PRUSAK SJ

Kim z psychologicznego punktu widzenia jest ksiądz wykorzystujący dzieci?

Film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu" obejrzała już cała Polska i wielu mówi: teraz wiem, jak wygląda „ksiądz-pedofil". To jednak skrót myślowy, który może wprowadzać w błąd. Jedni ulegli wrażeniu, że wszyscy księża, którzy wykorzystali nieletnich bądź to uczynią, są pedofilami, czyli osobami z zaburzeniem preferencji seksualnej, i najbardziej zagrożone z ich strony będą najmłodsze dzieci. Inni, szukając kozła ofiarnego odpowiedzialnego za problemy kościelnej instytucji i struktury grzechu, za głównych sprawców tych przestępstw uznali homoseksualistów w koloratkach, gdyż rzekomo płeć i wiek większości ofiar duchownych na nic innego nie mogą wskazywać. Kim są więc księża wykorzystujący nieletnich?

Odpowiedź jest prosta tylko w świetle prawa – są przestępcami w koloratkach. Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, jeśli szukamy odpowiedzi uwzględniającej ich profil psychologiczny, ponieważ związek pomiędzy parafilnym (nienormatywnym) zainteresowaniem nieletnimi a ich seksualnym wykorzystaniem jest złożony.

Specjaliści stosują różne typologie mające pomóc w zrozumieniu wzorców zachowań, motywacji i cech charakterystycznych różnych typów sprawców przestępstw seksualnych, ale dotychczasowe próby jednoznacznego usytuowania wśród nich duchownych przyniosły mieszane efekty. Wśród przestępców seksualnych wobec nieletnich mieszczą się bowiem osoby o różnych cechach osobowości, różnym poziomie działania i różnej zdolności sterowania swoją seksualnością. Zaliczamy do nich pedofilów, hebefilów i efebofilów preferencyjnych, sytuacyjnych i nieselektywnych.

Parafilna trójca

Pedofilia z definicji dotyczy podstawowego bądź wyłącznego zainteresowania seksualnego dziećmi w okresie przed pokwitaniem. Hebefilia dotyczy podstawowego bądź wyłącznego zainteresowania seksualnego dziećmi, które osiągnęły pokwitanie (zazwyczaj pomiędzy 11. a 14. rokiem życia). Efebofilia natomiast dotyczy podstawowego bądź wyłącznego zainteresowania adolescentami w późniejszym okresie dojrzewania (zazwyczaj pomiędzy 15. a 19. rokiem życia).

Parafilia („nienormalne lub nienaturalne upodobanie") ma więc różne oblicza, ale należy pamiętać, że nie jest ona tym samym, co zaburzenie parafilne. Mówiąc najogólniej, parafilia to nienaturalny popęd; natomiast zaburzenie parafilne rozpoznaje się na podstawie cierpienia i/lub ograniczenia funkcjonowania, jakie popęd ten wywołuje, oraz krzywdy, do jakiej dochodzi. Trzeba również pamiętać, że kryteria zaburzeń parafilnych dotyczą zarówno jednostek, które przyznają się do nienormatywnych preferencji seksualnych, jak i tych, które temu zaprzeczają. Badania pokazały, że hebefil jest „mieszanką" pedofila i teleiofila (osoby o seksualnych zainteresowaniach osobami w pełni dorosłymi). Z kolei efebofil różni się od nich, gdyż większość mężczyzn odczuwających seksualny pociąg do nastolatek miała podobną inklinację do dorosłych kobiet, ale nie była zainteresowana dziećmi przed okresem pokwitania.

Trzeba zatem mieć świadomość, że nie wszyscy sprawcy przestępstw seksualnych w stosunku do nieletnich są osobami cierpiącymi na zaburzenie preferencji seksualnych (zaburzenie parafilne), i nie wszyscy mający tego typu zaburzenia są sprawcami takich przestępstw. Seksualne zainteresowanie dziećmi jest czynnikiem ryzyka, że dojdzie do ich wykorzystania seksualnego, ale jeszcze większym są tzw. zniekształcenia poznawcze.

Dwa typy drapieżców

Istotnym kryterium różnicującym między sobą księży wykorzystujących seksualnie nieletnich jest ich podział na dwie różne kategorie: jednorazowych lub „krótkotrwałych" sprawców, którzy pierwszy raz dopuścili się seksualnego wykorzystania ok. 10 lat po święceniach; oraz notorycznych lub wielokrotnych sprawców, którzy wykorzystywali seksualnie zaraz po święceniach, a w wielu sytuacjach nawet przed nimi. Badania pokazują, że przestępcy wykorzystujący nieletnich to około 4 proc. całego duchowieństwa. W badaniach amerykańskich wyszło, że z tych 4 proc. ponad połowa (56 proc.) była oskarżona tylko o jedno wykorzystanie seksualne bez względu na upływ czasu. Z kolei około 3 proc. sprawców z całkowitej liczby 4 392 księży, którym postawiono zarzuty, było odpowiedzialnych za wykorzystanie seksualne aż 25 proc. ofiar. Oznacza to, że w ciągu 52 lat, które obejmowały badania, 137 księży wykorzystało w przybliżeniu 2,6 tys. ofiar. I właśnie owi recydywiści w koloratkach różnią są znacząco od większości duchownych będących sprawcami wykorzystania seksualnego nieletnich.

Przestępcy sytuacyjni to więc zdecydowana większość „drapieżców w koloratkach". Wzorce ich zachowań różnią się nieco od świeckich przestępców, ale są też podobieństwa. Taki ksiądz dopuszcza się wykorzystania seksualnego najczęściej po 40. roku życia, gdy zaczyna odczuwać problemy ze swoim powołaniem, jest zestresowany i nie radzi sobie emocjonalnie ze sobą. Często nadużywa alkoholu i leków. Odczuwa pociąg seksualny do dorosłych, ale na dziecku rozładowuje swoje problemy.

Z kolei wśród recydywistów mamy preferencyjnych i nieselektywnych sprawców. Przestępca preferencyjny to bardzo często „osoba charyzmatyczna", znana ze swojej działalności duszpasterskiej, której zainteresowania seksualne są skierowane wyłącznie na dzieci. Swoją pozycję wykorzystuje do nawiązywania relacji i wyszukiwania nieletnich podatnych na manipulację. Ci spośród nich, którzy odczuwali pociąg do młodszych dzieci, tworzyli osobiste relacje z ich rodzicami; podczas gdy ci, którzy czuli pociąg do nastolatków, organizowali im różne zajęcia. W obu strategiach chodziło o nawiązanie usankcjonowanej społecznie relacji „bliskości", by doprowadzić do wykorzystania dzięki swojemu statusowi i władzy.

Nieselektywny typ sprawcy w koloratce wykorzystuje dzieci, młodych i bezbronnych dorosłych. Może też wejść w kontakt seksualny z wyrażającym na to zgodę dorosłym. Czasami jest także sadystyczny, co znaczy, że może go podniecać ból i cierpienie ofiary oraz może czuć potrzebę wzbudzania w niej fizycznego lub psychologicznego bólu. Sadystyczny sprawca bywa najczęściej mniej zainteresowany tym, kim jest ofiara, ponieważ głównym źródłem

MIECZYSŁAW WASILEWSKI

jego podniecenia jest ból, a nie osoba. Choć to najrzadziej występujący typ sprawcy wśród duchownych, to jest to najbardziej niebezpieczny rodzaj „drapieżców w sutannach", gdyż najczęściej są to psychopaci – lubią się „gnieździć" w szkołach z internatem lub sierocińcach, „eksperymentują" z różnymi dziećmi czy bezbronnymi dorosłymi, aby wyselekcjonować ofiary.

Diagnoza psychologiczna

Wszyscy „drapieżcy w sutannach" stosują zaprzeczenia i poznawcze zniekształcenia. Duchownych i świeckich sprawców łączą przekonania, że „seks z dziećmi jest bezbolesny" oraz że „dzieci aktywnie prowokują dorosłych do czynności seksualnych". Niektóre jednak zniekształcenia poznawcze są specyficzne wyłącznie dla księży, np.: „Wiem w moim sercu, że Bóg mnie powołał, i Bóg znał mnie i moje serce. Jeśli byłbym tak zły albo to byłoby tak złe, nie powołałby mnie, wiedząc, jaki jestem"; „Mam prawo do miłości i przywiązania, ponieważ poświęcam moje życie pomaganiu innym".

Na tle innych przestępców seksualnych wobec nieletnich duchowni bywają starsi, mają lepsze wykształcenie, wyższe IQ, mniejszą liczbę cech antyspołecznych, rzadziej popełniali czyny kryminalne w przeszłości, mają niższy poziom libido oraz mniejszą liczbę ofiar, które z kolei bywały starsze od ofiar pedo- i hebefilów i najczęściej były płci męskiej. Ponadto są mniej uświadomieni seksualnie, bardziej niedojrzali seksualnie i mają mniejszą liczbę doświadczeń seksualnych niż pozostali sprawcy podobnych przestępstw. Tym, co ich najbardziej zbliża do innych przestępców seksualnych wobec nieletnich, jest „uwodzenie" ofiar. Z kolei tym, co najbardziej ich odróżnia, jest wysoki wskaźnik samobójstw zarówno wśród księży-sprawców, jak i ich ofiar.

W porównaniu do normalnych księży „drapieżcy w sutannach" uzyskują wyższe wskaźniki w skali samotności, wyrażania emocji (kontroli wrogości), depresji, trudności z identyfikacją i ujawnianiem trudnych emocji innych osób. Cechują się bardziej pasywnymi i konformistycznymi stylami relacyjnymi. Chociaż nie wypadali gorzej w testach inteligencji czy osobowości od normalnych księży, charakteryzuje ich pewnego typu podatność w zakresie deficytów dotyczących intymnych więzi i bliskich relacji przed i w trakcie formacji seminaryjnej. Wydaje się jednak, że od normalnych księży oraz innych przestępców seksualnych wobec nieletnich najbardziej odróżnia ich to, jak często sami bywali ofiarami wykorzystania w dzieciństwie – czasami przez innego księdza. W literaturze przedmiotu podaje się różne liczby o dużym rozrzucie od 30 do 80 proc. Doświadczenie wykorzystania w dzieciństwie zwiększa zatem u duchownego ryzyko wykorzystania osoby nieletniej.

Homoseksualizm i celibat

Trend do męskich ofiar (ponad 80 proc.) wśród duchownych stał się pretekstem do wiązania ich płci z orientacją seksualną sprawców i konkluzji, że jest to przykład pedofilii homoseksualnej. Zgodnie z tym rozumowaniem większość „drapieżców w sutannach" to homoseksualiści, bo taka jest większość ich ofiar. Z badań wiemy, że większość osób wykorzystujących seksualnie nieletnich nie ma orientacji homoseksualnej, a większość homoseksualistów nie molestuje dzieci.

Trzeba więc pamiętać, że pedofilia homoseksualna jest całkowicie odmienną preferencją seksualną niż męska homoseksualność. Dane kliniczne nie potwierdzają tezy, że tożsamość homoseksualna jest związana z seksualnym wykorzystywaniem nieletnich, ale jest czynnikiem ryzyka wtedy, kiedy jest nieukształtowana, a więc tłumiona czy zanegowana. Z tym bardzo często spotykamy się wśród duchownych, którzy celibat potraktowali jako sposób na poradzenie sobie z nieakceptowanymi pragnieniami homoerotycznymi.

Jednak ani homoseksualizm, ani celibat same w sobie nie są przyczynami wykorzystania nieletnich. Z badań wiemy, że brak dojrzałej formacji ludzkiej do celibatu zwiększa ryzyko, że ksiądz popełni przestępstwo wobec nieletnich, a o taką dojrzałą formację jeszcze trudniej jest w przypadku seminarzystów i księży o orientacji homoseksualnej.

Biorąc pod uwagę proporcje duchownych oskarżonych do duchownych, którzy nigdy nie dopuścili się przestępstw w stosunku do nieletnich, nie można o duchowieństwie katolickim mówić, że jest grupą społeczną zwiększonego ryzyka. Stado „drapieżców w sutannach" nie jest dla nich reprezentatywne.

Gorzej z tymi, którzy ich chronią. ©℗

FRANCESCO CUVINO / VOCE DI PADRE PIO

Bp Domenico Ambrozio z braćmi kapucynami z klasztoru w San Giovanni Rotondo podczas otwarcia trumny z ciałem Ojca Pio, 2/3 marca 2008 r.

Niezniszczalni

KAROL KLECZKA

Widok otwartego grobu zaskoczył badaczy – ciało nie uległo rozkładowi. A może właśnie spełnił oczekiwania, bo przecież nienaruszone ciało zmarłego to dla niektórych dowód świętości.

Pod koniec stycznia media obiegła informacja o niezwykłym zjawisku. Zgodnie z prawem kanonizacyjnym dokonano ekshumacji doczesnych szczątków zmarłego w 2006 r. włoskiego nastolatka Carla Acutisa, którego proces beatyfikacyjny jest w toku. Postulator Nicola Gori oznajmił, że czas i procesy gnilne nie naruszyły ciała chłopca, choć, jak zaznaczył, należy miarkować entuzjazm przed przeprowadzeniem odpowiednich badań. Ostrożność zrozumiała, bo już pierwsze wieści rozpaliły wyobraźnię pasjonatów tematyki „niezniszczalnych", czyli świętych, których ciała po śmierci miały wykazywać własności cechujące raczej żywy niż martwy organizm. Acutis nie jest wyjątkiem, Kościół zna ponad setkę takich przypadków. To chyba dość często jak na cud.

Pobieżne zerknięcie na kategorię „niezniszczalnych świętych" w anglojęzycznej Wikipedii pozostawia nas z obszerną listą. Powtarzają się określenia: „wygląda, jakby spał", „czuć zapach świętości", no i ten niejasny zwrot – „ciało nie uległo rozkładowi". Co więcej, fenomen dotyczy nie tylko cnotliwych świadków Bożej miłości, lecz także przeciętnych grzeszników. Czym jest brak rozkładu i właściwie dlaczego traktuje się go jako oznakę świętości?

Słodkie sny

Pius XII nie lubił pozować do zdjęć, ale jego następca Jan XXIII, „uśmiechnięty papież", chętnie patrzył w obiektyw. I nawet po śmierci z jego twarzy nie zniknął uśmiech – tak przynajmniej twierdził w 2001 r. kard. Angelo Sodano, jeden ze świadków przeniesienia szczątków papieża z grobowca w grotach watykańskich do sarkofagu przy ołtarzu św. Hieronima w bazylice św. Piotra. Ówczesny sekretarz stanu nazwał to darem od Boga: papież wygląda, jakby ledwo co zasnął, a nie odszedł do życia wiecznego.

Bardziej realistyczną ocenę przedstawił profesor Vincenzo Pascali, lekarz sądowy. Wyjaśnił, że w ciało zmarłego na raka żołądka Jana XXIII wstrzyknięto ogromną ilość formaldehydu, który skutecznie zachował tkanki. Trzy szczelne trumny odcięły dopływ tlenu, który mógłby dokonać spustoszenia. Watykan pragnął uniknąć powtórki z makabrycznego pogrzebu Piusa XII. Do dziś opowiada się o „wybuchającym ciele" papieża – nietypowe metody zastosowane przez balsamistę doprowadziły do przyspieszonego rozkładu. A twarz Jana XXIII zachowała miły wyraz nie za sprawą Bożej interwencji, lecz dzięki specjalnie wykonanej woskowej masce.

W tym samym czasie, nieco bardziej na południe Włoch, żył inny święty, jeden z najbardziej znanych „śpiących". To ojciec Pio, odwiedzany corocznie przez setki tysięcy pielgrzymów w San Giovanni Rotondo. Także jego ekshumacja w 40 lat po pochówku wiązała się z doniesieniami o wyjątkowo dobrze zachowanym ciele. „Od samego początku ekshumacji było wyraźnie widać jego brodę. Odsłoniła się górna część czaszki, ale lico jest pełne, a reszta ciała dobrze zachowana. Można zobaczyć jego kolana, jego dłonie, nadgarstki i paznokcie" – opisywał biskup Domenico D'Ambrosio i dodawał nieco żartobliwie, że zakonnik wygląda, jakby wyszedł z sa-

lonu manicure. Co ciekawe, zachowały się ścięgna, ale wraz z narodzinami do życia wiecznego zniknęły stygmaty.

Kierując się dobrem czcicieli mistyka z Pietrelciny zdecydowano jednak, że twarz ojca Pio zostanie pokryta specjalnie zamówionym odlewem z silikonu. Maska wykonana w Londynie na bazie zdjęć zapewniła dostojny wyraz twarzy, który do dziś podziwiają osoby odwiedzające bazylikę. Za całość przedsięwzięcia odpowiadała firma, której figury wypełniają słynne muzeum Madame Tussaud.

Metoda na długowieczność

Aż trzykrotnie próbowano budzić kolejną słynną „śpiącą", czyli Bernadettę Soubirous. Historia wizjonerki z Lourdes jest szczególnie ciekawa, bo im bardziej jej ciało ulegało rozkładowi, tym częściej powtarzano legendę o jego doskonałej kondycji i do dziś można przeczytać o „nietkniętych relikwiach".

Pierwsze otwarcie trumny nastąpiło w 1909 r., 30 lat po pogrzebie Bernadetty, w obecności zaprzysiężonej komisji złożonej z biskupa Nevers, świadków, lekarzy i kamieniarzy. Choć habit zakonnicy był wilgotny, różaniec złożony w dłoniach zardzewiał, a krzyż pokrył się zielonym nalotem, to ciało zachowało się w całości. Skóra przylegała do mięśni, odsłonięte dłonie i twarz wyglądały jak w chwili pogrzebu. Na rękach rysowały się nawet niektóre z naczyń krwionośnych, a głowę pokrywały gęste włosy. Oblicze siostry Soubirous było jednak dosłownie trupioblade, ciało zaś zesztywniało i nie miało w sobie giętkości żywego organizmu. Wydawało również głuchy odgłos podczas przesuwania.

Dziesięć lat później w związku z procesem beatyfikacyjnym zabieg powtórzono. Biskupowi ponownie towarzyszyła niezależna komisja i dwójka lekarzy. Ciało Bernadetty nadal nie wydzielało żadnego zapachu, lecz jeden szczegół uległ zmianie – na powierzchni pojawiła się pleśń i wytrąciło się wapno. Mimo to w kolejnym raporcie wraca informacja o tym, że ciało jest „nietknięte". Trzecia ekshumacja, w 1925 r., służyła pobraniu relikwii. Zwapnienie postępowało, a skóra zmieniła barwę z kredowej na szarą. Dlatego i w tym przypadku przygotowano stosowną maskę.

Najbardziej uderza powtarzanie zwrotu o „nienaruszonym stanie". Raporty z kolejnych ekshumacji opisują przecież szczegółowo zachodzące zmiany – skąd zatem to określenie? Chodzi zapewne o nieco techniczne sformułowanie: ciało Bernadetty było nietknięte, lecz nie przez czas, ale przez ludzką rękę. Nikt go po prostu nie rozkradł. Stopniowo jednak ulegało zepsuciu, choć wyjątkowo wolno jak na warunki, w których spoczywało. Proces niechcący mogły przyspieszyć zakonnice, gdy w 1909 r. zdecydowały, że warto by nieboszczkę umyć. W kilka godzin po tym zabiegu twarz Bernadetty zaczęła ciemnieć.

Zbierzmy dotychczasowe tropy. Świętość i mistyka to nie jedyne cechy wspólne ojca Pio i Bernadetty Soubirous. Dobrze zachowane włosy i paznokcie, brak zapachu rozkładu, napięta skóra. Zachowane tkanki łączne, ale też pewna sztywność, a nawet głuchy odgłos wydawany przez ciało przy opukiwaniu. Przede wszystkim zaś nienaruszona sylwetka i rysy twarzy. Dokładnie tak zachowuje się zmumifikowane ciało.

Tkwiąc w suchej i stale wietrzonej przestrzeni, naturalna mumia nie ulega gniciu, lecz wysycha, a tracąc wodę – naciąga skórę. Uważny czytelnik powie, że przecież Bernadetta spoczywała w wilgotnej krypcie – owszem, lecz w jej trumnie znaleziono węgiel, który prawdopodobnie wchłaniał wilgoć. Niestety po zabiegach estetyczno-higienicznych przeprowadzonych przez zakonnice nastąpiła błyskawiczna zmiana warunków. Ojca Pio pochowano w krypcie, co umożliwiło wyschnięcie jego członków.

Oczywiście – mumia mumii nierówna, ale podobne przypadki mogą być częstsze, niż się wydaje. Tyle że groby ludzi, którzy nie zostają wyniesieni do chwały ołtarzy, otwiera się znacznie rzadziej, poza tym ciała po śmierci składane są raczej w ziemi niźli w suchym pomieszczeniu ułatwiającym ich konserwację.

Zapach świętości

Zwrot *in odore sanctitatis* oznacza, że ktoś zmarł w opinii świętości. A jeśli potraktować ten łaciński zwrot dosłownie? Cytowane wyżej opisy ekshumacji zawierają wzmiankę o braku nieprzyjemnego zapachu rozkładu. Historia zna jednak bardziej zagadkowe przypadki – ciała świętych, nad którymi unosił się aromat owoców czy kwiatów.

Śmierć maronickiego mnicha Charbela Makhloufa w Wigilię 1898 r. obfitowała w wydarzenia nadzwyczajne. Po pochówku nad grobem pojawiła się jasna poświata. Ciało, pochowane bez trumny, nie ulegało rozkładowi, zaczęła się z niego natomiast wydzielać tajemnicza ciecz; podobna do potu zmieszanego z krwią, miała jednak miły zapach. Po kilku miesiącach ciało osuszono, wypreparowano z niego wnętrzności i złożono je w skrzyni, ciecz jednak nadal się sączyła. Po ponad ćwierćwieczu mumię umieszczono w metalowej trumnie i zamurowano w kamiennym grobowcu – z jego szczelin znów zaczął wypływać „olej Charbela"... Wedle relacji z 1965 r. ciało Charbela pozostało nadal nienaruszone, a nawet giętkie, kiedy jednak dekadę później znów otwarto grób, okazało się, że uległo całkowitemu rozkładowi. Uzdrawiające oleje ocalały wyłącznie jako pamiątka.

Trudno zrozumieć ten fenomen, lecz jeśli ciało mnicha ostatecznie się rozłożyło, a substancja wydobywająca się z niego miała silnie żrące właściwości (skorodowała metalową trumnę!), to może wyjaśnienie jest proste? Martwe ciało bywa pod pewnymi względami równie aktywne co żywe, ponieważ zachodzi w nim szereg złożonych reakcji chemicznych. Jedną z nich jest rozkład aminokwasów – ciało dosłownie fermentuje, a produktami tego procesu są tzw. trupie jady. Wlicza się do nich oleista ciecz, która nie posiada wyraźnej barwy, za to zapach nie do pomylenia. To kadaweryna, nieprzypadkowo biorąca swą nazwę od zwłok. Być może ciało Charbela właśnie ją wydzielało? Tyle że ładny zapach to ostatnia rzecz, która się z kadaweryną kojarzy. Skoro zaś Charbela nie zabalsamowano, trzeba wykluczyć niwelowanie smrodu aromatem kadzidła czy mirry...

Zmarła w 1457 r. święta Rita z Cascii kojarzy się głównie z domniemaniami o jej wyjątkowych chodach u Pana Boga, lecz także z silnym zapachem, który jej ciało roztaczało po śmierci. Źródło tych pogłosek znajdziemy u jednego z pierwszych biografów Rity, Agostina Cavallucciego, który wyliczył kilkadziesiąt cudów dokonanych za jej wstawiennictwem. Cavallucci podaje, że ilekroć otwierano ↦

RDC POLSKIE RADIO

KAROL KLECZKA będzie gościem Nuli Stankiewicz w środę 29 maja o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

sarkofag świętej, dobywał się z niego złożony, ale przyjemny zapach; dawał się on wyczuć również wtedy, gdy Jezus udzielał jakiejś łaski za pośrednictwem Rity wybłaganej. Za życia święta dotknięta była bolesnym stygmatem na czole, który roztaczać miał woń niezbyt przyjemną. Może po śmierci rana zasklepiła się nie tylko cieleśnie, lecz również aromatycznie?

Hipoteza dotycząca pochodzenia „zapachu świętości" jest zaskakująco prosta: to efekt kwasicy ketonowej, czyli stanu, do którego można doprowadzić organizm, wystawiając go na liczne głodówki. Zamiast tłuszczu zaczyna on wtedy spalać glukozę, dzięki czemu produkuje silnie owocowy zapach. Proces rozkładu nie znajduje w ciele pożywki w postaci tłuszczu i karmi się tym, co jest na podorędziu, czyli cukrami. Święty Charbel i Rita nie należeli raczej do obżartuchów, a pustelnicza czy mnisza dieta mogły zaowocować słodkim aromatem „oleju Charbela" i zapachem otaczającym świętą od spraw beznadziejnych.

Żywe legendy

Legenda niezniszczalnych ciał świętych sięga pierwszych wieków chrześcijaństwa, a dokładniej – postaci świętej Cecylii. Żyjąca na początku III wieku Rzymianka cieszyła się ogromną popularnością już we wczesnym średniowieczu. Cecylia to wręcz idealna bohaterka chrześcijańska, bo nie dość, że nawróciła męża i szwagra, to jeszcze poniosła śmierć męczeńską – najpierw próbowano ją udusić w łaźni, a gdy się to nie powiodło, zawołano kata. Ten jednak, wzruszony nieprzeciętną urodą świętej, musiał aż trzy razy wymierzać cios w szyję, a i tak zgon nastąpił dopiero trzy dni później. Gdy w 822 r. w katakumbach św. Kaliksta odnaleziono ciało Cecylii, okazało się ono nienaruszone.

Już w tych kilku zdaniach widać ogromny potencjał narracyjny, nic więc dziwnego, że cnotliwa Cecylia została uwieczniona zarówno przez liturgię Kościoła w Kanonie rzymskim, jak i w kulturze popularnej, czyli „Złotej legendzie". Jej historia to gratka nie tylko dla poszukiwaczy ponadnaturalnych ciekawostek, lecz również dla pasjonatów układów liczbowych. Mieliśmy już trzy ciosy w szyję i trzy dni konania – to jednak nie koniec. Stefano Maderno w słynnej i wyjątkowo pięknej marmurowej rzeźbie na sarkofagu świętej w bazylice na Zatybrzu przedstawia Cecylię ułożoną na prawym boku, z głową zawiniętą w całun. Na odsłoniętej szyi wyraźnie rysuje się linia uderzeń katowskiego miecza – gdyby nie to, święta wyglądałaby jak odpoczywająca kobieta. Uwagę zwraca jeszcze jeden przemyślany element – palce dłoni ułożone w wyraźną trójkę.

Maska z silikonu wykonana na podstawie zdjęć zapewniła dostojny wyraz twarzy mistykowi z San Giovanni Rotondo, który do dziś podziwiają osoby odwiedzające bazylikę.

Jakby tego było mało, wizerunek został sporządzony w 1599 r., czyli... dokładnie 777 lat po odnalezieniu nietkniętych rozkładem zwłok męczennicy, a przecież siódemka reprezentuje w pozabiblijnej symbolice doskonałość Trójcy Świętej – tym razem więc aż potrójną! Głowa może rozboleć od tej matematyki, lecz sens opowieści powinien stać się nieco bardziej jasny. Tak wielka liczba cudownych przypadków musi zrodzić podejrzliwość nawet u najbardziej naiwnych.

Zachowane w całości ciało męczennicy pierwszych wieków chrześcijaństwa jest jednak pewnym cudem, choć może nie tyle fizycznym, co raczej społeczno-historycznym. Zarówno po pierwszym odnalezieniu w 822 r., jak i po drugim otwarciu grobowca siedem wieków później ciało Cecylii miało być nienaruszone. Jeśli faktycznie tak było – widocznie uchroniło się przed żywą wśród chrześcijan pasją do rozkradania szczątków osób uznawanych za święte. Proceder ten posiadał interesującą dynamikę. O ile w początkach chrześcijaństwa ogromnie dbano o zachowanie całego ciała oczekującego na ponowne zmartwychwstanie, o tyle wiek XIV zaowocował masowymi kradzieżami relikwii nie tylko dla celów religijnych.

Zjawisko to potępiano już w średniowieczu, lecz wyobraźnia zwykłych ludzi była, jak i dzisiaj, stymulowana raczej popkulturą niż nakazami płynącymi z Rzymu. Tu wraca „Złota legenda", przepełniona niezwykle dokładnymi i złożonymi opisami kaźni, z których wiele kończyło się niespodziewanym zwrotem akcji – ciała bohaterów opowieści Jakuba de Voragine ulegały scaleniu, wręcz gotowe, by wstać z grobu na ponowne przyjście Jezusa. Członki naszego Stanisława ze Szczepanowa też się cudownie zrosły, symbolizując znacznie więcej niż tylko świętość krakowskiego biskupa.

Dialektyka obecna w wyobraźni ludzi średniowiecznych – między biblijnym przywiązaniem do integralności ciała a fascynacją jego rozpadem – zdaje się najwięcej mówić o ich uczuciach. Nasi przodkowie musieli żyć w pasjonującym zawieszeniu: z jednej strony ciekawi procesów naturalnych, którym ulega ludzka tkanka, z drugiej kierowani przez lęk przed naruszeniem świątyni ciała. Teologiczne ujęcie fizyczności, która również jest przestrzenią działania Bożej łaski, było znacznie silniej obecne niż dziś. Nic więc dziwnego, że prace pionierów patologii traktowano podejrzliwie, szczególnie żywy był fałszywy mit zakazu sekcji przez Kościół, a rozczłonkowanie bywało formą najwyższej kary.

A może jesteśmy bliżej tej sytuacji, niż nam się wydaje, i nadal napędza nas ta sama ciekawość? Bo przecież czy choć ciut lepiej rozumiemy „ciała zmartwychwstanie"? Czy to, że ciało młodego Carla Acutisa się nie rozłożyło, czyni go świętym? Nie, to nie zapach róż, tylko świadectwo życia o tym decyduje.

Dlaczego zatem tak bardzo ciekawi niektórych fenomen niezniszczalnych? Najwyraźniej napięcie między obrazem ciała uświęconego przez Boga a tym jak najbardziej świeckim cielskiem jest zdecydowanie żywsze od niejednego świętego w sarkofagu.

© KAROL KLECZKA

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 578/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Wandzie Bokiewicz, zmarłej 21 maja 2017 roku w Kałuszynie, ostatnio stale zamieszkałej w Kałuszynie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SZYMON

Hołownia:
Twarz i statystyka

Dwa tygodnie temu Franciszek spotkał się z członkami Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej mającego – jak pisze na swoim profilu wieloletni korespondent w Rzymie, a dziś autor programów w TVN24 BiS Jacek Pałasiński – we Włoszech znaczącą, bo konstytucyjnie umocowaną pozycję. W polskich katomediach teksty o tym spotkaniu skupiały się na wzniosłych, głębokich, acz „bezpiecznych" wskazaniach moralnych papieża. W relacji Jacka znalazłem więcej konkretów odbierających sumieniu spokój. „Pamiętajcie, że pierwszym krokiem każdej dyktatury jest odebranie wolności prasie". „Musicie działać tak, by nie zapominać o dramacie imigrantów, dla których Morze Śródziemne stało się cmentarzem". „Zapomniane wojny nadal trwają, a ludzie o nich nie pamiętają, ponieważ nie są w porządku dnia mediów. Kto z was mówi o Rohingach? Kto o Jazydach? Nadal cierpią".

Powtarzanie „Franciszek znowu ma rację!" staje się powoli męczące, ale co robić, skoro właśnie tak jest. Odkrycie, że cierpienie ludzi nie kończy się wraz z końcem relacji na żywo z miejsca klęski, że ono trwa niezależnie od tego, czy ja nadal o nim myślę, że tu nie chodzi o moją reakcję na czyjś ból, ale o ból tego kogoś – to obowiązek człowieka, który chce mieć w sercu Ewangelię, a nie telewizor. Afekt współczucia nie jest jeszcze jednak, mam wrażenie, chrześcijaństwem. Ono zaczyna się w chwili, w której zacznę o tym, którego widzę, myśleć nie „sobą", lecz „nim". W którym dotrze do mnie, że to jest naprawdę fajne i szlachetne, jeśli raz w roku uda mi się zorganizować zbiórkę na jedzenie, muszę jednak pamiętać, że tamci ludzie nie jedzą raz w roku. Że punktowe formy pomagania, żeby naprawdę tworzyły bardziej zgodny z Bożym pomysłem świat, muszą albo się wspierać i uzupełniać (ja zrobię swoją zbiórkę dziś, ty swoją za tydzień), albo przekształcić się w system, który zamiast na moich możliwościach i miłosiernych pragnieniach, koncentrować się będzie na potrzebach drugiej strony.

I to wcale nie są rzeczy proste do zrozumienia i przepracowania. To chyba trochę tak jak z pogrzebem, który – wnioskuję z relacji licznych znajomych, którzy stracili kogoś bliskiego – bywa punktem granicznym, do którego człowiek może liczyć na wielorakie wsparcie bliskich. Po powrocie z cmentarza, gdy wszystko, co miało się wydarzyć, już się wydarzyło – co tu organizować, w czym wyręczać, wspierać? – ludzie znikają, telefon milknie, bo co zrobić teraz, kiedy można w zasadzie tylko być? Tak będzie i teraz po pustoszących południe kraju powodziach: fala czynnego współczucia opadnie wraz z kulminacją rzek i społecznych emocji. A przecież właśnie wtedy ofiary klęski potrzebować nas będą najbardziej. Nie da się odbudować domu w czasie kilkudniowego pobytu reportera robiącego wejścia na żywo.

Im dłużej robię to, co ostatnio robię, tym wyraźniej widzę, że jest na to chyba tylko jedno lekarstwo, które z widza wiadomości może przynajmniej teoretycznie zrobić coś zbliżonego kształtem do chrześcijanina. Mieliśmy ostatnio w Fundacji Dobra Fabryka do podjęcia bardzo ważną decyzję. Od ubiegłego roku działamy nie tylko w Afryce, ale też w Polsce i w Azji – w Chinach i Bangladeszu. Akcję pomocy Rohingom koczującym w tym ostatnim kraju podjęliśmy zainspirowani relacjami dziennikarza „TP" Marka Rabija, za parę dni ruszamy z budową świetlicy dla żyjących w obozie w Cox's Bazar dzieci. To oczywiście będzie kropla w oceanie potrzeb (w największym z obozów w okolicach Cox's Bazar mieszka pewnie ponad milion ludzi, ponad 50 tysięcy kobiet jest tam w ciąży). Nie ma słów, by opisać warunki, w których żyją ci ludzie. Świetlica da najmłodszym uchodźcom, którzy nie mogą chodzić do szkoły, szansę na cztery godziny dziecięcej normalności dziennie: na zabawę, na lekcje języka, na ciepły posiłek. Nawiązaliśmy współpracę z lokalnym partnerem, zatrudniliśmy na miejscu koordynatora, przygotowaliśmy i zweryfikowaliśmy kosztorys, opracowaliśmy detaliczny plan działania. Trzeba było podjąć finalną decyzję: robimy to czy nie. Sytuacja w Bangladeszu zmieniła się po wyborach, nastroje są mocno antyuchodźcze. A co jeśli zainwestujemy teraz ponad 100 tys. dolarów w budowę i odpalenie placówki (a później parę tysięcy każdego miesiąca na jej utrzymanie), a władze za miesiąc zaczną to wszystko likwidować? Czy warto wydawać takie pieniądze, skoro można by za nie działać gdzie indziej przez pół roku?

Gdy zacząłem przeliczać w głowie różne scenariusze, zrozumiałem, jak idiotyczne to zajęcie, w jaką pułapkę wpadłem. To dzieci Rohingów. A jeśli to byłyby moje dzieci? Ile warto byłoby wydać, żeby w całym swoim życiu miały ten miesiąc normalnego dzieciństwa, spokoju, radości, dobre wspomnienia? Czy 100 tys. dolarów to za dużo? A gdyby chodziło o dwa miesiące – to już się opłaca? A dwa tygodnie za, dajmy na to, 60 tysięcy? A tydzień za 80? Na to odpowiedź może być tylko jedna: warto wydać każde pieniądze, żeby każde dziecko, które spotkasz (a nie hipotetyczne, statystyczne, alternatywna figura w dobroczynnych obliczeniach), miało choć godzinę bez bólu, kwadrans dobrego życia. Bo choć ono nie jest moim dzieckiem, to jest ktoś, dla kogo ono jest całym światem. Startujemy więc z projektem, budowa rusza, świetlica zacznie działać w czerwcu.

Nic się na tym świecie nie zmieni naprawdę, to wciąż będzie przepychanie biedy z jednych statystyk do innych, jeśli nie zmienimy liczby mnogiej, owej ludzkości, narodu, społeczeństwa, uchodźców, chorych, na liczbę pojedynczą, na tę jedną, jedyną twarz, którą widzi Bóg. On bez problemu radzi sobie z obsługą miliardów pojedynczych twarzy, człowiek – wchodzący w Jego kompetencje – nie, musi lepić je w większe całości. W ten sposób odczłowiecza świat, ideologizuje go i zamienia w polityczną, ideową, gospodarczą maszynę.

Nie wiesz, co robić, czy pomóc, jak działać, czy bronić? Zadaj sobie pytania: A gdyby to mój dom był dzisiaj zalany? A gdyby to mnie umarł właśnie ktoś bliski? A gdyby tym uchodźcą było moje dziecko? ©

LANKIJSKA ROCZNICA NIEZGODY

Po 10 latach od pokonania Tamilskich Tygrysów i zakończenia najbardziej wyniszczającej wojny domowej w Azji Południowej odpowiedzialni za zbrodnie nadal są uważani za bohaterów.

TOMASZ AUGUSTYNIAK ZE SRI LANKI

Wygląda jak zwykła tamilska „ciotka" – tak, nieco familiarnie, mówi się tutaj o kobietach w jej wieku. Niska i drobna pięćdziesięciolatka, lekko wysunięte do przodu górne zęby. Gęste czarne włosy, rzadko przetykane siwizną, trochę jej się kręcą. Na sobie ma dżinsową kurtkę z krótkim rękawem i granatową spódnicę. Na nadgarstkach obu rąk zawiązała hinduistyczne tasiemki, na czole ma kreskę z popiołu – znak, że wzięła dziś udział w pudży.

Woli, żeby nie wymieniać jej imienia, nazwiemy ją więc N.

Kiedy siada na zydlu, a na stoliku stawia szklanki z oranżadą, trudno ją sobie wyobrazić, jak biega z kałasznikowem po dżungli. Ale tak właśnie było, gdy w 2006 r. przechodziła wojskowe szkolenie. Wojnę domową widziała prawie do samego końca. Miała szczęście, że przeżyła.

Ostatnia bomba spadła blisko

Gdy w 2008 r. zaczęła się wielka ofensywa rządowego wojska, N. nosiła mundur Tamilskich Tygrysów.

Uzbrojony w sprowadzoną z Chin oraz z Czech artylerię, izraelskie myśliwce i milczące poparcie większości świata, rząd w Kolombo postanowił wtedy za wszelką cenę zakończyć trwającą ćwierć wieku wojnę z Tygrysami Wyzwolenia Tamilskiego Ilamu (LTTE) – separatystyczną organizacją, która na terenach północnej i wschodniej Sri Lanki utworzyła własne, nieuznawane przez nikogo państwo i terroryzowała resztę kraju ciągłymi zamachami.

Dwa lata wcześniej N. dołączyła do mieszanego, damsko-męskiego oddziału fotografów. Robili materiały dokumentalne: zdjęcia na wydarzeniach kulturalnych i paradach, a czasami z linii frontu, gdzie N. raz pojawiała się z aparatem, a innym razem z bronią w ręku. Fotografie ukazywały się później w propagandowych gazetach, bo Tamilski Ilam [partyzanckie parapaństwo – red.] – oprócz sił zbrojnych, policji, własnych szkół, banków i transportu publicznego – miał też swoje media.

Trwająca ofensywa miała to wkrótce zakończyć.

Po ciężkich walkach rządowe wojsko zajęło miasto Kilinochchi, stolicę tamilskich bojowników, i stopniowo spychało ich dalej na północny wschód.

W obozie niedaleko drogi A9, nazywanej „autostradą śmierci", członkowie LTTE, wśród których była N., zabierali się właśnie do obiadu, gdy nadleciały trzy myśliwce. Zrzuciły bomby zapalające. Zaczęli uciekać w stronę pól ryżowych, ale ostatnia z bomb spadła bardzo blisko i N. doznała ciężkich poparzeń: straciła wszystkie włosy i przez całe miesiące nie mogła sama chodzić ani jeść. Z obawy przed martwicą, lekarze musieli usunąć jej macicę.

Resztę wojny pamięta jak przez mgłę. Była przewożona ciężarówkami ze szpitala do szpitala, wraz z cofającymi się oddziałami partyzantów. Wie, że w ostatnich miesiącach walk Tygrysom zaczęło brakować ludzi, że trudno było o jedzenie, że siłą wcielali każdego, kto potrafił unieść karabin, nawet dzieci. Cywile, czy tego chcieli, czy nie, musieli iść z nimi, bo za ucieczkę groziła śmierć. Tamilskie dowództwo chciało, żeby ludzie do końca wierzyli w zwycięstwo.

Dopiero w szpitalu w Mulatiwu, kilka dni przed kapitulacją, ktoś z oficerów szepnął do niej, że wojna jest przegrana.

Zbrodnie nad laguną

N. nie od razu dowiedziała się o tym, że wkrótce potem w walce zginęli fanatyczny przywódca Tygrysów Velupillai Prabhakaran, jego najbliżsi współpracownicy i członkowie rodziny. 12-letniego syna Prabhakarana żołnierze najpierw pojmali, a później z zimną krwią zastrzelili. Podobny los spotkał prezenterkę tamilskiej telewizji propagandowej (obie egzekucje potwierdzają zdjęcia, nagrania wideo i raport ONZ z 2015 r.). Wojskowi zastrzelili też dwóch liderów politycznego skrzydła Tygrysów, kiedy ci próbowali się poddać.

Gehennę przechodziły dziesiątki tysięcy cywilów. Jeszcze w czasie walk zebrano dowody, w tym zdjęcia satelitarne, na świadome ostrzeliwanie wyznaczonych wcześniej przez armię rządową tzw. bezpiecznych stref, w których cywile mieli się chronić. Celami ataków były szpitale, w których ginęli pacjenci i lekarze.

Artyleria nie zamilkła nawet wtedy, kiedy w ostatnich dniach tłumy cywilów – razem z kilkuset bojownikami – zostały uwięzione nad laguną, na przestrzeni niespełna dwóch kilometrów kwadratowych. I nawet wtedy, kiedy militarne zwycięstwo było pewne, dochodziło do makabrycznych zbrodni. ONZ, media i organizacje pozarządowe zebrały przygniatające dowody w postaci nagrań z telefonów komórkowych, na których widać żołnierzy strzelających do nagich, związanych więźniów.

N. miała wiele szczęścia, że pozwolono jej się poddać. Ponieważ nie była w LTTE nikim ważnym, została przewieziona do obozu jenieckiego.

Łącznie w tamtej ofensywie, którą rząd określił mianem „operacji humanitarnej", zginęło ponad 40 tys. cywilów – zabitych w nalotach i przez ogień artyleryjski.

Za wcześnie na pojednanie

Mario Arulthas – aktywista organizacji PEARL Action, która z Waszyngtonu działa na rzecz tamilskiej społeczności na Sri Lance – ostatnie 10 lat spędził na dokumentowaniu okrucieństw, których rządzący Syngalezi dopuścili się wobec Tamilów podczas wojny. Podkreśla, że lankijskie państwo nigdy nie zmierzyło się z tymi faktami.

– Podejrzani o najokrutniejsze zbrodnie ciągle zasiadają na ważnych stanowiskach. Nikt nie chce, żeby generałowie stanęli przed trybunałem. Tymczasem zebrany materiał wystarczy do udowodnienia, że te przestępstwa nie były odizolowanymi przypadkami, i że to oni ponoszą odpowiedzialność – mówi Arulthas. Wymienia ataki na cywilne cele, egzekucje więźniów i tortury. Wylicza nazwiska aresztowanych przez wojsko, którzy później zaginęli bez wieści. Mówi o sprawie kilku masowych grobów odnalezionych na północy, po których ujawnieniu władze nie podjęły żadnych śledztw.

W 2015 r. władzę na Sri Lance przejęła szeroka koalicja partii opozycyjnych, odsuwając tzw. obóz Rajapaksów – klanu dotąd rządzącego. Nowy premier Wickremesinghe i nowy prezydent Sirisena obiecywali, że wzmocnią demokrację i zmierzą się z demonami wojny. Rząd podpisał międzynarodową konwencję w sprawie ochrony przed tzw. wymuszonymi zaginięciami i utworzył urząd do spraw zaginionych, zalegalizował kilka działających za granicą tamilskich organizacji i zaczął wydawać certyfikaty rodzinom, które nie mają wiadomości o bliskich.

Pozwolił też na protesty: w sprawie zaginionych, przeciwko przetrzymywaniu więźniów politycznych i zagrabianiu ziemi przez wojsko. Z północy i wschodu kraju wycofano część żołnierzy, a armia zwróciła niektórym prawowitym ↦

Obchody 10. rocznicy zakończenia wojny domowej: członkowie rodzin pod ścianą pamięci z nazwiskami poległych żołnierzy armii rządowej. Colombo, 19 maja 2019 r.

DINUKA LIYANAWATTE / REUTERS / FORUM

↦ właścicielom zabraną wcześniej ziemię. Mimo to według think tanku Verité Research z Kolombo pod koniec ubiegłego roku w rękach wojskowych było jeszcze ponad 12 tys. hektarów ziemi.

W parlamencie przegłosowano ustawę, która pozwala krajowi na dostarczenie dowodów w sprawach toczących się przed zagranicznymi sądami, ale Kolombo nadal nie zgadza się na dopuszczenie międzynarodowych sędziów do zbadania zbrodni wojennych.

Verité Research podkreśla w swojej analizie, że Sri Lanka wypełniła tylko 6 z 36 zobowiązań, które cztery lata temu powzięła we wspólnej rezolucji z ONZ. Zobowiązania dotyczyły praw człowieka, narodowego pojednania i pociągnięcia do odpowiedzialności sprawców przestępstw wojennych.

To ostatnie trudno jest zrobić, kiedy nie chce się uznać, że przestępstwa w ogóle zostały dokonane, a ich ofiarami byli niedawni wrogowie. Podczas gdy Syngalezi mówią o swoich bohaterskich żołnierzach, którzy oddawali życie za pokój, Tamilowie opowiadają o makabrycznych zbrodniach w ostatniej fazie wojny. Z kolei tam, gdzie Tamilowie widzą walkę o wolność i prawo do samostanowienia, Syngalezi pamiętają polityczne zabójstwa, masakry w buddyjskich wsiach i ataki bombowe.

TOMASZ AUGUSTYNIAK

Przed buddyjską świątynią podczas obchodów święta Vesak. Centrum Colombo, 18 maja 2019 r.

Podzielona pamięć

Tegoroczne obchody dziesiątej rocznicy zakończenia wojny – podobnie jak przypadającego w tym samym czasie buddyjskiego święta Vesak – były bardzo skromne. Kraj nie otrząsnął się jeszcze z szoku po wielkanocnych zamachach terrorystycznych na kościoły chrześcijańskie oraz późniejszych atakach na muzułmanów.

Pod wojennym pomnikiem niedaleko parlamentu prezydent Maithripala Sirisena mówił o „dekadzie pokoju" i zwycięstwie nad terroryzmem, przekonując, że lankijscy żołnierze, policjanci i służby wywiadowcze są zdolni do zlikwidowania ekstremizmu religijnego tak samo, jak zlikwidowali tamilski terroryzm. Żołnierzy określił mianem bohaterów. O tamilskich ofiarach wojny nie wspomniał wcale. Były prezydent Mahinda Rajapaksa – ten sam, który sprawował urząd w momencie masakry w okolicach Mulativu – wydał rocznicowe oświadczenie, w którym napisał, że w ostatniej fazie walk nie popełniono żadnych zbrodni wojennych.

We wsi Mullivaikkal, gdzie padły ostatnie strzały tej wojny, odbyły się ciche uroczystości ku pamięci poległych tamilskich bojowników i cywilnych ofiar.

Wśród tamilskiej diaspory na Zachodzie upamiętnienie było bardziej radykalne: w Wielkiej Brytanii Tamilowie powiewali flagami LTTE i banerami z napisami „Tamilski Ilam to jedyne rozwiązanie".

Demony w raju

Nilantha Ilangamuwa – dziennikarz i pracownik powołanego przez nowy rząd Biura Jedności Narodowej i Pojednania (ONUR) – zwraca uwagę, że tamilska diaspora często zapomina, iż krew na rękach mają też separatyści. Przypisuje się im dokonanie blisko 300 zamachów, w których ginęli politycy, wojskowi i policjanci, ale przede wszystkim zwyczajni ludzie: ofiary zamachowców samobójców na ulicach, dworcach autobusowych, w pociągach, sklepach i w świątyniach.

Szefowa biura, w którym pracuje Ilangamuwa, była prezydent Chandrika Kumaratunga, niemal straciła oko w zamachu. – Rząd wykonuje wiele pracy na północy i wschodzie, organizuje grupy wsparcia i spotkania zwykłych Tamilów ze zwykłymi Syngalezami. Jedni i drudzy muszą dowiedzieć się, jak wojna wyglądała od drugiej strony – mówi Ilangamuwa.

Kiedy tamilski reżyser Jude Ratnam zrobił dwa lata temu dokument „Demony w raju" – pokazujący, jak Tygrysy stosowały tortury i mordowały swoich przeciwników politycznych – spotkał się z falą krytyki ze strony własnej społeczności. W 2018 r. jego film został wycofany z programu międzynarodowego festiwalu w Dżafnie, stolicy zdominowanej przez Tamilów Prowincji Północnej.

Gdy Mario Arulthas o tym słyszy, wzrusza ramionami. Jego zdaniem film Ratnama był tendencyjny, a prześladowanie Tamilów przez Syngalezów trwało o wiele dłużej i było bardziej dotkliwe niż to, co robiły Tamilskie Tygrysy.

Amirthalingam Rasakumaran, wykładowca na uniwersytecie w Dżafnie, nie jest zdziwiony taką postawą: – Ludzie, którzy wyjechali z kraju podczas wojny, mają w głowach bardzo wyidealizowany obraz Tamilskiego Ilamu i nie potrafią przyjąć do wiadomości, że jego dawni przywódcy mogli być zbrodniarzami. A tutaj ludzie krytykują Prabhakarana po cichu, a przyjezdnym nadal mówią, że to był nasz człowiek, nasz wielki lider, który potrafił porwać ludzi do walki.

Kilka tygodni temu wysoka komisarz ONZ ds. praw człowieka zachęciła kraje członkowskie do prowadzenia postępowań przeciw Lankijczykom podejrzanym o zbrodnie przeciwko ludzkości, zbrodnie wojenne i inne pogwałcenia praw człowieka. Może to obejmować także nielicznych żyjących na emigracji przywódców Tamilskich Tygrysów.

Nie mamy innego wyboru

Przepaść między tym, jak wojnę pamiętają jej uczestnicy z obu stron i jakich czczą bohaterów, wydaje się nie do zasypania.

W ośrodku dla weteranów-inwalidów w miejscowości Ragama niedaleko Kolombo mieszka kilkudziesięciu by-

łych żołnierzy armii rządowej. Co roku w maju są bohaterami programów telewizyjnych i artykułów w miejscowej prasie. W tym roku rządowy dziennik podał, że z okazji święta Vesak znany zawodnik krykieta zaprosił ich do swej restauracji.

Tamilowie nie mają luksusu publicznego wspominania ofiar, które ponieśli. N., dawna bojowniczka Tygrysów, ma niewzruszoną twarz, kiedy mówi, że wielu ludzi w jej rodzinnej Dżafnie głęboko wierzyło w Tamilski Ilam, i że tracąc go, stracili wszystko.

– Zginęło mnóstwo ludzi, zapłaciliśmy wysoką cenę, a nie byliśmy zdolni niczego osiągnąć. Prabhakaran nie żyje, a my zostaliśmy i nie mamy innego wyboru, jak żyć na Sri Lance rządzonej przez Syngalezów – mówi kobieta.

Dziś mieszka wraz z rodziną starszej siostry i zajmuje się oprawianiem świętych obrazków z Kryszną i Radhą oraz zdjęć z uroczystości rodzinnych. Chciałaby otworzyć zakład fotograficzny, ale jako osoba samotna nie ma szans na dofinansowanie z pomocy społecznej. Wszyscy tu oczywiście wiedzą, co robiła podczas wojny. Ale czasy, gdy bojownicy Tygrysów coś znaczyli, dawno minęły. Z kolei od syngaleskich polityków N. nie oczekuje niczego dobrego.

Czy wróci dawna ekipa?

Teraz, po wielkanocnych zamachach terrorystycznych, w sprawie których prezydent z premierem wzajemnie obwiniają się o nieudolność, do władzy może wrócić obóz Rajapaksów.

Swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich, które mają się odbyć pod koniec roku, potwierdził już Gotabhaya Rajapaksa – brat byłego prezydenta i dawny sekretarz obrony.

To również jego mają na myśli obrońcy praw człowieka, gdy mówią o odpowiedzialności przywódców za zabijanie cywilów, egzekucje jeńców, tortury, uprowadzenia i niewyjaśnione zabójstwa dziennikarzy.

Gotabhaya Rajapaksa stara się pokazać jako silny przywódca, który może zaprowadzić w kraju ład i bezpieczeństwo, zaś oskarżenia o zbrodnie wojenne wobec armii nazywa generalizacją.

Mario Arulthas i Nilantha Ilangamuwa są zgodni: jego zwycięstwo może pogrążyć wysiłki na rzecz narodowego pojednania.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Alona Sawranenko – czyli Alyona Alyona – na koncercie w Charkowie, maj 2019 r.

Pokolenie ciągłej niestabilności

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA I CHARKOWA

Pierwsza generacja, która wyrosła już za istnienia niepodległej Ukrainy, coraz mocniej zaznacza swoją pozycję w społeczeństwie i domaga się zmian. Jednym z jego głosów stała się raperka Alyona Alyona.

W jednym z charkowskich klubów publika na zmianę szaleje z zachwytu lub stoi jak wryta i wpatruje się w występującą na scenie raperkę Alyonę Alyonę. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze kilka miesięcy temu dziewczyna miała taką tremę, że trzęsła się ze strachu i ledwo była w stanie spamiętać słowa. Teraz wygląda, jakby na scenie występowała od zawsze.

Ubrana w czarny dres, koszulkę, szorty i szlafrok bokserski, na którym wyszyto jej sceniczny pseudonim (czasem pisany małymi literami), w blasku kolorowych świateł energicznie wykonuje kolejne utwory z nowego albumu „Puszka". Słowo to po ukraińsku oznacza działo lub – w tym kontekście – po prostu coś wybuchowego.

Alyona Alyona porywa swoim szybkim flow – płynnym rapowaniem, dobrze dopasowanym do muzyki. Potrafi wpasować się w różne bity, dobrze nawiązuje kontakt z publiką. W trakcie występów podchodzi do fanów, przybija piątki, a po koncercie – chociaż zgrzana i zmęczona – znajduje czas na zdjęcia i rozmowę. Nie tworzy dystansu, jak wiele innych gwiazd. Chce tę bliskość trzymać i pozostać taka, jaką była rok temu, gdy niemal nikt o niej nie słyszał.

Ma 28 lat i w swoich utworach zwraca się do równolatków. W pewnym sensie przemawia też w ich imieniu. W utworze „Otwieraj" śpiewa:

Dzikie, dzikie podniecenie,
zahartowany duch
Moje pokolenie rozpoczyna swój ruch
Przewracamy starą stronę
Stawki są maksymalne w dzisiejszej grze.

Można też powiedzieć, że wzywa, by starsze generacje – rodziców i dziadków – usłyszały młodych. ↦

↦ – Mamy prawie trzydzieści lat. Już zakończyliśmy naukę, już pracowaliśmy w różnych miejscach i mamy doświadczenie – mówi Alyona Alyona „Tygodnikowi". – To pokolenie, które już potrafi robić swoje, nie naśladuje tych, którzy przyjęli ich do pracy. Samo potrafi ją wykonywać i wprowadzać zmiany. Ma dzieci i chce, żeby zostały wychowane nie przez sowieckich rodziców, tylko wolnych Ukraińców.

Jak przedszkolanka została gwiazdą

Alona Sawranenko, bo tak nazywa się raperka, jest niemal równolatką ukraińskiego państwa. Urodziła się w 1991 r., na kilka miesięcy przed rozpadem Związku Sowieckiego. To właśnie opisywanie codziennych problemów i ambicji młodego pokolenia wydaje się być jednym z powodów, dla których raperka cieszy się tak dużą popularnością.

Przyszła na świat w miejscowości Kapitaniwka w obwodzie kirowogradzkim, w centralnej Ukrainie (po 2014 r., po dekomunizacji i derusyfikacji, stolica obwodu zmieniła nazwę z Kirowohrad na Kropywnycki). Kapitaniwka to coś pomiędzy wioską a miasteczkiem; takie miejsca noszą nazwę „osiedli typu miejskiego"; zamieszkuje ją raptem 2500 osób.

Jeszcze jako dziecko wraz z rodzicami przeprowadziła się do obwodu kijowskiego. Gdy miała 15 lat, przyjeżdżała do Kijowa handlować na bazarze, gdzie sprzedawała torebki i buty. Pracę zmieniała kilkakrotnie. Była m.in. kasjerką, sprzątaczką i sprzedawczynią. Studiowała na jednym z prowincjonalnych uniwersytetów, gdzie skończyła psychologię i pedagogikę. Rozpoczęła pracę w przedszkolach i w ciągu czterech lat pracowała w dwóch. Jeszcze do niedawna była dyrektorką placówki we wsi Dereniwka w okolicach Kijowa, zamieszkanej przez mniej niż 500 osób.

Zrezygnowała z pracy wkrótce po ukazaniu się pierwszego klipu, bo popularność przyszła szybko i ciągle musiała brać wolne. Dopiero niedawno przeprowadziła się do stolicy. Ale, jak mówi, często jeździ do Baryszywki, gdzie mieszkają jej rodzice.

Od dawna próbowała sił w rapie. Pierwsze teksty pisała, mając 12 lat. Były to wiersze bez muzyki, ale czytała je tak, jakby rapowała. Po przeprowadzce do obwodu kijowskiego poznała koleżanki, które o tym gatunku muzyki wiedziały więcej. Nagle rap wypełnił jej życie. Kupowała płyty, odkrywała kolejne zespoły i wykonawców, takich jak 2Pac, N.W.A. czy Wu-Tang Clan. Także rosyjskie grupy, których słucha do dziś. Zafascynował ją teledysk „Gangsta Paradise" rapera Coolio, a Eminem stał się jednym z jej ulubionych wykonawców.

Największą popularnością na YouTubie cieszy się jej teledysk **„Opuszczam swój dom"**: raperka opowiada w nim o tym, co dziś dotyka miliony Ukraińców.

– Nie znałam dobrze angielskiego, nie rozumiałam, o czym rapują. Ale było mi wszystko jedno. Ważne, że słuchałam i to bujało – mówi dziś Sawranenko.

Pisać o rzeczach codziennych

Gdy miała 15 lat, założyła z koleżankami zespół. Pisała dla nich teksty. Ściągnęła z internetu specjalny program i próbowała tworzyć muzykę. Raz nawet wystąpiły. Potem, gdy pojechała na uniwersytet, poznała studentów z prowizorycznym studiem nagrań.

– Mieli taki długi mikrofon, jak nieraz mają dziennikarze. Przed nimi stała rama od głośnika, na którą była naciągnięta pończocha mamy. Tak nagrywaliśmy – wspomina.

Od rapu na dwa lata odwiodła ją praca w przedszkolu. Jak twierdzi, poświęcała jej bardzo dużo czasu i nie wyrabiała się w godzinach roboczych. Pracę zanosiła do domu, bo planowała i szykowała zajęcia na kolejny dzień. – Wówczas nie miałam kiedy pisać rapu ani nawet go słuchać. Przestałam szukać bitów – mówi. – Rozumiałam, że jeśli zajmę się muzyką, to nie wykonam swojej pracy.

Wspomina, że z czasem wdrożyła się do zawodu przedszkolanki i nie musiała już poświęcać się temu także w domu. Pojawił się wolny czas, mogła wrócić do muzyki. Zrezygnowała z rapowania po rosyjsku na rzecz ukraińskiego. Jak twierdzi, od razu łatwiej się pisało. Nagrywała zwrotki i refreny pod muzykę, którą znajdowała w internecie. W cztery miesiące stworzyła płytę. To jednak wciąż nie było to, czego szukała. – Tworzyłam go, ale z myślą, że będą go słuchać chłopcy i muszą go docenić, muszą powiedzieć, że jestem super raperką – mówi. – To był rap dla raperów.

Taka muzyka nie trafiała do wielu odbiorców. Szczególnie że bywała przesadnie ambitna. – Myślałam, że w rapie musi być dużo filozofii. Czasami pisałam takie teksty, których sama nie rozumiałam – opowiada Sawranenko.

Szukała dalej pomysłu na siebie. W końcu stwierdziła, że nie ma co kopać głęboko, skoro tyle rzeczy znajduje się na powierzchni. Zaczęła pisać o codziennych rzeczach, prostych, które były wokół niej, ale robiła to swoimi słowami. Postanowiła skończyć z udawaniem.

– Nie jestem studolarówką, żeby się wszystkim podobać – mówi Sawranenko.

Tym podbiła serca fanów.

Rybki

Po kilkunastu utworach, którym towarzyszą okrzyki, taniec i skakanie, w charkowskiej sali klubowej panuje skwar. Sawranenko żegna się z publiką. Fani skandują jej imię. Wraca na scenę i zapowiada, że wykona jeszcze jeden utwór w nowej aranżacji, ale pod warunkiem, że będą tańczyć „jak nigdy wcześniej". To kolejna odsłona jej szlagieru „Rybki". Fanów nie trzeba długo namawiać – od pierwszej sekundy są w ruchu.

Pod pozornie błahym tytułem i długim, powtarzającym się refrenem, jest drugie dno. W tej piosence rybami są kobiety, którym należy się szacunek, a nie pogardliwe określenia. To właśnie „Rybki" spowodowały, że o Sawranenko stało się głośno. W październiku 2018 r. ukazał się teledysk do piosenki i szybko stał się hitem (na YouTubie wyświetlono go 1,7 mln razy). Jest bardzo niskobudżetowy. Nagrany na telefonie komórkowym, grafika przypomina czasy starych pecetów, a w tle od czasu do czasu pojawia się bohater kreskówek marynarz Popeye. Sawranenko, która jest korpulentna, występuje tam w pomalowanym srebrną farbą stroju kąpielowym i rapuje na skuterze wodnym.

O „Rybkach" i ich wykonawczyni stało się natychmiast głośno. Na Ukrainie nie ma zbyt wielu raperów, a tym bardziej kobiet. Ze świecą szukać takich, które rapują po ukraińsku. Do tego Sawranenko rzuciła wyzwanie popularnej tendencji w ukraińskim show-biznesie, by kobieta bardziej przyciągała wyglądem niż muzyką. W „Rybkach" wyśmiewa ten trend poprzez świadomie wykreowany kiczo-

waty blichtr, tak powszechny w teledyskach na całym świecie.

To właśnie po sukcesie tego teledysku zaczęła się jej kariera. Teraz jeździ z koncertami po Ukrainie i innych krajach (jej trasa koncertowa po Polsce jest zaplanowana na jesień). Do dzisiaj ukazało się siedem teledysków (w tym dwie aranżacje „Rybek") i album.

Poruszane przez Sawranenko tematy to przeszłość, dom i rodzina.

W „Opuszczam swój dom" mówi o tym, co w ostatnich latach dotyka miliony Ukraińców. Jednych do opuszczenia domu zmusiła trwająca od 2014 r. wojna (w kraju jest ok. półtora miliona tzw. przesiedleńców wewnętrznych), innych pragnienie lepszego życia. Próbują swoich sił za granicą (ponad milion żyje i pracuje w Polsce), a niektórzy w innych częściach kraju. Nieprzypadkowo to właśnie „Opuszczam swój dom" cieszy się największą popularnością na YouTubie (3,1 mln wyświetleń).

– Mój album jest przede wszystkim o tym, że trzeba odnaleźć siebie, ale jednocześnie nie zapominać, kim się jest – mówi „Tygodnikowi".

Pokolenie ciągłych zmian

Alona Sawranenko nie ukrywa, że popularność ją zaskoczyła, i że nie przygotowała się do tego, co z nią robić i jak z niej korzystać. Dlatego postanowiła być ostrożna. – Rap to jedno, ale kiedy stajesz się osobą publiczną, to inna sprawa. Twoje decyzje mogą zostać wzięte za przykład – tłumaczy.

Trzeba przyznać, że jest w tym autentyczna. Ma w sobie skromność, dystans do siebie. Nie wygląda na osobę, która zachłysnęła się szybkim sukcesem. Wręcz przeciwnie – chce dać sobie czas, by przygotować się i odpowiedzialnie mówić o rzeczach dla niej ważnych. Takich jak ekologia, sprawy społeczne, kwestie równości i szacunku, ochrona zwierząt. Chce mówić o nich w swojej muzyce i poprzez media społecznościowe.

– Muszę kontrolować swoje słowa i jeśli mam jakiś pomysł, to chcę go przekazać słuchaczowi we właściwy sposób, a nie siedzieć i dukać – twierdzi. O planach na przyszłość nie chce jednak opowiadać zbyt wiele. Enigmatycznie dodaje, że wszyscy zobaczą jej działania za jakiś czas.

Jej grupą docelową są ludzie mniej więcej w jej wieku. Uważa, że jej pokolenie różni się od poprzednich generacji tym, że żyje w stanie permanentnej niestabilności. Jako przykład podaje oświatę, gdzie przez lata zmieniło się niemal wszystko – poczynając od liczby klas poprzez system oceniania.

– Nie mamy stabilności. Szukamy, jak się przystosować do tego, co się dzieje dookoła, jak przeżyć w tym świecie i pozostać sobą, gdy wszystko ciągle się zmienia – wyjaśnia.

Musieli szybciej dojrzeć

Intuicję raperki potwierdza Kateryna Sergackowa, redaktorka naczelna portalu Zaborona.

Wraz z redakcją prowadzi projekt #Pidpaluj! (#Podpalaj) poświęcony ludziom, którzy podejmują wysiłek, aby zmienić na lepsze swoje otoczenie – miasto, miasteczko, wioskę. Ich działania przedstawiają za pomocą filmów i multimedialnych reportaży. Wśród bohaterów są aktywiści społeczni, ludzie szeroko rozumianej kultury czy po prostu tacy, którzy robią coś, czego do tej pory nie było w ich miejscowości – np. rozwijają cybersport w Donbasie.

– Wyobraź sobie, że masz 30 lat, żyjesz w małym mieście, ale jednocześnie słuchasz dużo nowej muzyki, znasz trendy, rozumiesz, czym jest równość i jesteś gotowy o nią walczyć – wyjaśnia Sergackowa. – Wyobraź sobie, że wychodzisz na ulicę swojego miasteczka i widzisz, że życie tutaj jest strasznie dalekie od twoich marzeń i od wyobrażenia, czym jest miasto dostępne dla wszystkich. Aby to zmienić trzeba robić znacznie więcej i biegać znacznie szybciej od wszystkich innych.

Dziennikarka mówi, że bohaterów reportaży Zaborony łączy upór w działaniach na rzecz zmian. Wpłynęły na nich wydarzenia z ostatnich pięciu lat: protesty na kijowskim Majdanie, aneksja Krymu przez Rosję i wojna w Donbasie. Zobaczyli na własne oczy, czym jest wojna i jak żyje się w kraju, w którym się ona toczy.

Były to tragiczne doświadczenia, ale – według Sergackowej – dzięki nim młodzi dostrzegli znaczenie swoich słów i działań. Musieli szybciej dojrzeć.

Większość z bohaterów projektu ma od 30 do 35 lat. Sergackowa uważa, że to nie przypadek. – To najbardziej aktywni ludzie, którzy mogą coś zmienić, bo mają siłę, doświadczenie i praktykę – mówi. – To jest okres wczesnej dorosłości, gdy odrzuciłeś wszystkie iluzje, ale wciąż masz marzenia i jesteś gotowy działać, aby się zrealizowały.

Alona Sawranenko chce takim ludziom pomagać. Na razie poprzez muzykę. Ma nadzieję, że będzie ich motywować do działania, odwodzić od rezygnacji z postawionych celów. I razem z nimi czynić świat choć trochę lepszym.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

W GDAŃSKU O HAVLU

W poniedziałek, 3 czerwca, w Gdańsku MARCIN ŻYŁA poprowadzi „Lekcję czytania" wokół eseju „Anatomia nienawiści" Václava Havla. Uczestnikami dyskusji będą m.in. uczniowie II LO w Chojnicach. Chętnych do udziału w spotkaniu zapraszamy o godz. 12.30 na stoisko „Tygodnika Powszechnego" w Strefie Święta Wolności i Solidarności na placu przy Europejskim Centrum Solidarności.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · UNIWERSYTET ŁÓDZKI · Quad Graphics · SALES MANAGO marketing automation

SAMIR YORDAMOVIC / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Uroczystość rozpoczęcia ramadanu, islamskiego miesiąca postu i modlitwy. Sarajewo, 5 maja 2019 r.

Cień Saudów nad Bałkanami

DARIUSZ KAŁAN Z BIHACIA I SARAJEWA

Czy Bośnia, której połowa obywateli to muzułmanie, staje się europejskim bastionem wahhabizmu – radykalnej doktryny islamu, wspieranej przez Arabię Saudyjską?

Gdyby nie obóz dla uchodźców, ulokowany w dawnym akademiku po drugiej stronie ulicy, budynkiem przyciągającym największą uwagę w Bihaciu byłaby siedziba Wydziału Pedagogiki Islamskiej.

W 60-tysięcznym Bihaciu, na północy Bośni i Hercegowiny, niemal 90 proc. mieszkańców miasta stanowią Boszniacy (tj. bośniaccy muzułmanie). Nad przestronną trzypiętrową szkołą oraz pomalowanym na żółto-zielono meczetem powiewają dwie flagi państwowe: bośniacka i saudyjska. To nie przypadek: wydział został założony we wrześniu 2000 r. za pieniądze Arabii Saudyjskiej.

Wielu obserwatorów uważa, że głównym zadaniem instytucji takich jak ta w Bihaciu – albo jak monumentalne Centrum Kulturalne Króla Fahda w Sarajewie – jest promocja wahhabizmu, czyli ultrakonserwatywnej doktryny islamu sunnickiego i religii dominującej w Arabii Saudyjskiej.

Mówi się o tym od lat – z jasną sugestią, że Bośnia, gdzie ponad 50 proc. obywateli to muzułmanie, stanowi europejski bastion islamskiego ekstremizmu.

Dziekan nie widzi przykładów

Muharem Štulanović, absolwent prawa na uniwersytecie w Rijadzie (stolicy Arabii Saudyjskiej), a dziś dziekan wydziału w Bihaciu, odrzuca te sugestie. – Nie angażujemy się w życie polityczne – mówi podczas rozmowy w swoim gabinecie.

Štulanović jest zdecydowanym krytykiem Stanów Zjednoczonych i układu pokojowego w Dayton – zawarty pod patronatem USA, zakończył w 1995 r. bośniacką wojnę, trwającą od wiosny 1992 r. Prawnik przyznaje, że wahhabizm jest nauczany na jego uczelni, tak jak inne doktryny islamu. Ale zaznacza, że jego zdaniem to „jedna z najbłędniej rozumianych idei w historii".

– Irytuje mnie, że ci, którzy nie mają bladego pojęcia o naszej religii, zrównują wahhabizm z terroryzmem – mówi Štulanović. – I robią to ludzie z Zachodu, który bezradnie przyglądał się ludobójstwom w Bośni i Ruandzie.

Twierdzi, że jego wydział jest finansowany przez państwo bośniackie i nie otrzymuje żadnego wsparcia od Arabii Saudyjskiej. – Nie widzę zresztą żadnych przykładów jej zaangażowania w Bośni – przekonuje.

To (spora) przesada. Ale prawda jest też taka, że realne wpływy Saudów nie są łatwe do uchwycenia.

Saudyjskie inwestycje

Arabia Saudyjska interesuje się Bośnią od co najmniej lat 90. XX w. To wtedy tysiące mudżahedinów przyjechały walczyć po stronie Boszniaków, a z kolei wielu Boszniaków wyjechało na stypendia do Arabii. W tym czasie saudyjska organizacja charytatywna została usunięta z kraju za kolportowanie materiałów promujących terroryzm islamski.

Obecnie aktywność saudyjska jest w dużym stopniu ukierunkowana na zaspokojenie potrzeb gospodarczych Bośni. Operując w sektorach budowlanym i turystycznym, Arabia Saudyjska ufundowała, wśród wielu innych rzeczy, popularny park rozrywki Sunnyland oraz dwa największe centra handlowe w Sarajewie. W obu obowiązuje zakaz sprzedaży alkoholu oraz mięsa wieprzowego i jego pochodnych.

Saudowie od lat wykupują również ziemię w Bośni, gdzie z wykorzystaniem lokalnej siły roboczej tworzą zamknięte osiedla. W 2016 i 2017 r. Arabia była także głównym kierunkiem eksportu broni z Bośni.

Dopływ saudyjskich pieniędzy mógłby pomóc Bośni – krajowi podzielonemu etnicznie, z bezrobociem wśród młodych zbliżającym się do 60 proc. – w postawieniu gospodarki na nogi. Częściej jednak rodzi podejrzenie, że inwestycje mają za cel przykrycie celów religijnych. To pewnie dlatego 46 proc. Bośniaków – według badania International Republican Institute, amerykańskiej organizacji pozarządowej z Sarajewa – ma negatywny stosunek do Saudów.

– To niemal wiedza powszechna, że oni tutaj inwestują, a w zamian przymyka się oko na ich działalność religijną – mówi Leila Bičakčić, szefowa Center for Investigative Reporting z Sarajewa, które właśnie rozpoczęło śledztwo nad przejrzystością zakupów ziemi przez Saudów.

– Od lat finansują instytucje blisko związane z islamem. Jedną z największych jest Centrum Kulturalne Króla Fahda. Centrum oferuje kursy językowe czy aerobiku, ale też jest oskarżane o promocję wahhabizmu – opowiada dziennikarka.

Poprosiłem o zgodę na odwiedzenie Centrum. Ten monumentalny kompleks, nazwany imieniem władcy Arabii Saudyjskiej (panował w latach 1982–2005), położony jest przy drodze na lotnisko. Jego najbardziej rzucającym się w oczy elementem jest zbudowany w 2000 r. meczet, największy na Bałkanach.

Biuro prasowe Centrum poleciło mi skontaktować się z pracownikami ambasady Arabii Saudyjskiej, sugerując, że powinni odpowiedzieć pozytywnie, „tak jak zwykle robią". Ale ambasada nie odpowiedziała ani na maile, ani na telefony.

Ochotnicy na Bliski Wschód

Odkąd w zeszłym roku linie FlyBosnia wprowadziły bezpośrednie połączenia lotnicze między Rijadem a Sarajewem, obywatele Arabii Saudyjskiej mają jeszcze jeden powód, żeby odwiedzać Bośnię.

W Sarajewie dużo mówi się o ich rozrywkowym trybie życia. W luksusowych apartamentach, klubach i hotelach – jak w hotelu Hollywood w Ilidži, na przedmieściach stolicy – nocą rzekomo zapomina się o surowych zakazach religii. W Arabii Saudyjskiej seks pozamałżeński, picie alkoholu, prostytucja czy zażywanie narkotyków są zakazane. W zaprzyjaźnionych krajach można sobie pozwolić na więcej.

– Dla Saudyjczyków Bośnia to kraj bliski kulturowo, niedaleko morza. Idealny na weekend albo wakacje – mówi mi Harun Karčić, dziennikarz telewizji Al Jazeera Balkans. – Naprawdę uważasz, że między zwiedzaniem, robieniem zakupów a imprezowaniem oni zajmują się szerzeniem radykalnego islamu?

Jednak w sercu problemu saudyjskiego leży nie życie nocne, a to, że bośniacka populacja zagranicznych bojowników, którzy przyłączyli się do zbrojnych grup w Iraku i Syrii, do niedawna była *per capita* jedną z najwyższych w Europie i najwyższą na Bałkanach Zachodnich: wyjechało tam ok. 300 Boszniaków.

Wielu, w tym rodzice rekrutowanych, oskarża o to wyznawców wahhabizmu. Albo szerzej salafizmu, czyli ultrakonserwatywnej doktryny islamu, której saudyjską odmianą jest wahhabizm. Jest on popularny szczególnie w małych, częściowo wyludnionych wioskach górskich na północy Bośni.

DARIUSZ KAŁAN

Flagi saudyjska i bośniacka przed Wydziałem Pedagogiki Islamskiej w Bihaciu, sfinansowanym przez Arabię Saudyjską. Maj 2019 r.

Wprawdzie liczba ochotników spada od 2016 r., ale za to obecnie Bośnia stoi przed kolejnym wyzwaniem: co zrobić z tymi, którzy przeżyli i chcą wracać do domu? Na razie nie jest na to gotowa. W dwóch obozach w Syrii na powrót czeka ok. 80 obywateli Bośni.

Zwrot ku konserwatyzmowi

– Nie ma wątpliwości, że bośniaccy muzułmanie w ostatnich latach stali się bardziej konserwatywni – opowiada Jasmin Mujanović, politolog z Sarajewa. – Jednak jest to związane z trudną sytuacją gospodarczą w kraju i traumą po ludobójstwie z lat 90., a nie z Bliskim Wschodem.

Jakikolwiek byłby ku temu powód, Bośnia nie jest jedynym krajem, w którym młodzi się radykalizują – trend ten obejmuje niemal całą Europę. I jak w wielu innych miejscach, ów zwrot ku skrajnościom uderza, prędzej czy później, w samych muzułmanów. Głównie tych, którzy z ekstremistami nie chcą mieć nic wspólnego.

A to rodzi konflikty. Według zeszłorocznego raportu Atlantic Initiative i Growth from Knowledge tylko 2,5 proc. bośniackich muzułmanów popiera zbrojne zaangażowanie rodaków na Bliskim Wschodzie. To prawie pięć razy mniej niż wynosi liczba bośniackich Serbów, którym podoba się udział ochotników z Bośni w walkach na Ukrainie [wielu Serbów uczestniczyło w wojnie w Donbasie, po stronie rosyjskich parapaństw – red.].

Nie ma wiarygodnych danych, ilu jest salafitów w Bośni; niektóre szacunki mówią, że to ok. 3 tys. osób – na ponad półtora miliona tutejszych muzułmanów. Zdecydowana większość praktykuje umiarkowany islam, niesprzeczny z zasadą rozdziału państwa od religii. Ich życie codzienne jest też biegunowo odmienne od demonstracyjnej zamożności saudyjskich turystów. Ci, którzy pracowali na zamkniętych osiedlach należących do Saudów, narzekają na lekceważące traktowanie ze strony pracodawców.

Odporni jako społeczność?

Edina Bećirević, ekspertka ds. bezpieczeństwa z Uniwersytetu w Sarajewie uważa, że oczywiście nie można ignorować ekstremistów. Jednak – przekonuje – jeśli się spojrzy na szerszy obraz, wniosek jest optymistyczny.

Chociaż finansowane przez Saudów meczety i szkoły, jak te w Bihaciu i Sarajewie, ułatwiają popularyzację wahhabizmu, to liczba muzułmanów na Bałkanach, którzy poddali się urokowi fundamentalistów, należy do najniższych w całym świecie muzułmańskim. Tak twierdzą autorzy raportu, przygotowanego dwa lata temu w EU Institute for Security Studies.

– Aktywność Saudów ma pewien wpływ na grupy najbardziej wrażliwe na północy kraju – mówi Bećirević. – Jednak biorąc pod uwagę, ile pieniędzy zainwestowali oni w Bośni, można śmiało powiedzieć, że bośniaccy muzułmanie jako grupa społeczna okazali się odporni na ich wysiłki.

Fakt jest taki, że na terenie Bośni nie dochodzi do zamachów terrorystycznych. Według danych organizacji pozarządowej ↦

↦ Counter Extremism Project, w ciągu ostatniej dekady zanotowano tylko kilka mniejszych incydentów – jak podłożenie bomby na posterunku policji w Bugojnie (2010) czy ataki z użyciem broni palnej w ambasadzie USA (2011) i punkcie przyjmowania zakładów w Rajlovacu (2015). Skutkowały one łącznie czterema ofiarami śmiertelnymi.

Zagrożenie islamskie w Bośni jest często wyolbrzymiane przez serbskich i chorwackich nacjonalistów oraz polityków z Serbii i Chorwacji. W marcu tego roku bośniackie media twierdziły, że służby specjalne i dyplomaci z Chorwacji próbowali rekrutować bośniackich salafitów do przemycania broni do miejscowych meczetów. Wszystko po to, żeby przedstawiać Boszniaków jako potencjalnych terrorystów. Chorwacja zaprzeczyła tym doniesieniom.

– Działania nacjonalistów wydają się znajome, nieprawdaż? – pyta retorycznie Bećirević. – Lata 90. to nie jest zamierzchła przeszłość. Dobrze pamiętam, jak podobna narracja „obrony przed zagrożeniem islamskim" służyła do usprawiedliwienia tu ludobójstwa.

Słabe państwo łatwiej wykorzystać

Edina Bećirević uważa, że zagranicznym aktorem, który stanowi prawdziwe zagrożenie dla bezpieczeństwa Bośni, nie jest Arabia Saudyjska, lecz Rosja.

– Kreml od lat wspiera secesjonistów z Republiki Serbskiej [autonomicznego regionu Serbów bośniackich i jednej z dwóch części składowych państwa – red.] i aktywnie angażuje do współpracy wszystkich, którzy mogą coś zyskać na podważaniu bośniackiej suwerenności – twierdzi Bećirević.

– Prawda w tym przypadku tkwi gdzieś pośrodku – mówi zachodni dyplomata z Sarajewa. Prosi, żeby nie ujawniać jego nazwiska. – Nie słuchaj tych, którzy próbują ci wmówić, że Bośnia staje się bastionem islamskiego terroryzmu. Ale jest coraz słabsza jako państwo, pod względem prawodawstwa, bezpieczeństwa, kontroli przepływu gotówki. Tutejsi muzułmanie są sfrustrowani. Jeśli nic się nie zmieni, kraje takie jak Arabia Saudyjska będą wiedziały, jak to wykorzystać.

© DARIUSZ KAŁAN

Reportaż powstał w ramach grantu Pulitzer Center on Crisis Reporting.

WICEK SOSNA

Ogród poświęcony D-Day: lądujący żołnierze, z boku nadmorskie kwiaty. Londyn, maj 2019 r.

Zawciąg z normandzkiej plaży

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Na Chelsea Flower Show prezentuje się kilkuset wystawców. Jednak jak co roku, i dziś jest to coś znacznie więcej niż tylko spotkanie pasjonatów ogrodnictwa.

Wielkie ogrodnicze pokazy to brytyjski fenomen. Nigdzie indziej wystawy kwiatów i ogrodniczego kunsztu nie są organizowane na taką skalę i nie wzbudzają takich emocji.

Ten w londyńskiej dzielnicy Chelsea jest najbardziej prestiżowy. Od ponad stu lat odbywa się na terenie otaczającym Królewski Szpital Chelsea. Miejsce to od XVII w. pełni funkcję domu opieki dla weteranów – założył go król Karol II z myślą o żołnierzach „złamanych przez wiek lub wojnę". Pensjonariuszy zawsze można zobaczyć na ogrodniczej wystawie, w charakterystycznych czerwonych mundurach. To także ich święto. A pamięć o minionych bojach i poległych nieraz odciska swój ślad na prezentowanych tu ogrodach.

Skok w fale przyboju

Niewielu spotkanych tutaj weteranów II wojny światowej idzie o własnych siłach, większość jedzie na wózkach. Trudno się temu dziwić, mają ponad 90 lat. Ich ogród – upamiętniający zbliżającą się rocznicę D-Day, lądowania aliantów w Normandii 6 czerwca 1944 r. – jest prezentowany poza konkursem. Bo chodzi w nim nie o nagrodę, lecz o pamięć o żołnierzach, którzy 75 lat temu skakali z łodzi desantowych w fale przyboju, a potem brodzili w wodzie, pod niemieckim ogniem, na skrwawione plaże, by wyzwolić Europę (Zachodnią).

Po jednej stronie ogrodu widać figury przedstawiające żołnierzy w czasie tamtego skoku. Wykonane z metalowej siatki, o nieostrych brzegach, w majowym słońcu wydają się iluzją. Po drugiej stronie, za ścieżką z drobnego żwirku, posadzono tysiące drobnych kwiatków, białych i różowych: to zawciąg nadmorski, roślina typowa dla wybrzeża angielskiego i francuskiego w Normandii.

A wśród nich: cokoły w piaskowym kolorze. Puste. Tylko na jednym widnieje postać Billa Pendella, jednego z żołnierzy. – Czekał na ten ogród, to było dla niego ważne, choć nie mógł zrozumieć,

dlaczego to właśnie on ma być tak upamiętniony. Myślał o sobie jako o jednym z wielu – mówi mi jego córka Fay. Bill nie zobaczy tego ogrodu, zmarł w grudniu 2018 r., miał 97 lat. O wojnie i tamtym dniu długo nie opowiadał. Zaczął dopiero pięć lat temu.

Po zakończeniu wystawy ogród poświęcony D-Day zostanie przeniesiony do Normandii. A na razie zaproszeni weterani, z medalami na piersi, patrzą na dynamiczne metalowe figury, widząc w nich być może odbicie siebie sprzed lat.

Jeden z wysiłkiem opiera się o cokół. Ale głowę stara się trzymać wysoko, jakby chciał powiedzieć: pamiętam tamtą chwilę, dziś też pobiegłbym bez wahania.

Wiąz dla Judi Dench

Na Chelsea Flower Show nie brakuje ludzi znanych, ale obecność Judi Dench wywołuje poruszenie. 84-letnia aktorka znana jest nie tylko z kreacji filmowych – zapamiętano ją np. w charakterystycznej roli M, szefowej wywiadu z serii o Bondzie, ale od początku lat 60. grała łącznie w kilkudziesięciu filmach i serialach. Słynie także z tego, że kocha drzewa. Od 30 lat sadzi je w swej posiadłości w Surrey, ma tam mały las. „Myślę o nich jak o części mojej rodziny" – wyznała kiedyś.

Teraz w Chelsea została uroczyście obdarowana nową odmianą wiązu, odporną na tzw. holenderską chorobę wiązów, która zniszczyła praktycznie całą populację tych drzew w Wielkiej Brytanii w latach 60. (obumarło ich ok. 30 mln). Jeszcze w tym roku Brytyjczycy planują ponowne nasadzenie wiązów.

Na razie Judi Dench, w pięknym żółtym płaszczu w roślinne wzory, stoi wśród kwiatów i pozuje fotografom. Jej wiąz ma kilka metrów. Gdy dorośnie, może mieć nawet 40 metrów.

Siła warzyw

– To po prostu hobby, które wymknęło się spod kontroli – uśmiecha się Medwyn Williams, siwowłosy mężczyzna w ciemnym garniturze i fantazyjnym krawacie z motywami warzyw.

Jego hobby, czyli uprawa warzyw, zaczęło się, gdy miał osiem lat. – Ojciec dał mi trochę nasion, rzodkiewki i rzeżuchy. Wybrał rośliny, które rosną szybko, żebym nie musiał długo czekać na efekty. Minęło kilkadziesiąt lat, a ja nadal nie chcę robić nic innego – opowiada. Medwyn prowadzi znaną firmę ogrodniczą

WICEK SOSNA

Sinikiwe Makove przyjechała na londyńską wystawę z Zimbabwe.

WICEK SOSNA

Uprawa warzyw to praca i pasja Walijczyka Medwyna Williamsa.

i regularnie zdobywa złote medale na Chelsea. Tym razem przywiózł długie na kilkadziesiąt centymetrów marchewki i pasternak, wielkie pory i fasolki, a także nową odmianę pomidorów. Pierwszą zarejestrowaną w języku walijskim, bo Medwyn jest z Walii. – Nazywa się Y Ddraig Goch, „czerwony smok" – tłumaczy.

Smok jest symbolem Walii, widnieje na jej fladze, ale Medwynowi nie chodziło o demonstrację polityczną (ostatnio w Walii kiełkuje dyskusja o suwerenności). – Chciałem nazwać ten pomidor „czerwony smok" na cześć walijskich piłkarzy. Odmówiono mi jednak rejestracji. Hm, pomyślałem, skoro nie da się po angielsku, zarejestruję po walijsku! – wyjaśnia. Patrzy dumnie na swoje stoisko i wyznaje: – Warzywa są lepsze niż kwiaty!

Zgodziłyby się z nim kobiety z Zimbabwe. Dla nich możliwość uprawiania nawet małego warzywnego ogródka to szansa, by np. opłacić szkołę dla dzieci. Kilka z nich prezentuje w Chelsea ogród CAMFED (Kampanii na rzecz Kobiecej Edukacji).

– Ziemia u nas należy głównie do mężczyzn. Ale gdy kobiety zyskują do niej dostęp, mogą zarabiać na siebie i rodziny, inwestują też w swoje społeczności – tłumaczy Sinikiwe Makove, szefowa tamtejszego programu. – I wysyłają dzieci do szkoły. To najważniejsze.

W ich ogrodzie rosną kukurydza, dynie, fasola. System irygacji zasilany przez panele fotowoltaiczne rozwiązuje problem niedoboru wody. Czerwona ziemia została przywieziona z Afryki. W założeniu taki przyszkolny ogródek mogłyby uprawiać matki uczniów, a zbiory wykorzystywać do przygotowania szkolnych posiłków – obiad w szkole to dla wielu uczniów jedyny posiłek w ciągu dnia.

Afrykański ogród zdobywa w Chelsea złoty medal. Cel Makove i jej zespołu sięga jednak dalej: zdobyć środki, aby tysiąc kobiet mogło założyć własne rolnicze firmy.

Chwila uśmiechu

Chelsea Flower Show to także przegląd ogrodniczych trendów, dyskusje o idealnym ogrodzie. Czy ogrodem jest precyzyjna kopia naturalnego otoczenia śluzy na kanale w Yorkshire? Albo rodzaj laboratorium, w którym w miastach można uprawiać jadalne rośliny? Bo obok tradycyjnych form pokazano i takie propozycje.

Podczas kilku wystawowych dni zostanie wypitych 9 tys. kieliszków szampana i zjedzonych 11 tys. porcji ryby z frytkami. Wśród gości są aktorki, prezenterzy, członkowie rodziny królewskiej. W sumie przewinie się tu 160 tys. ludzi.

W tłumie przed jednym z ogrodów na elektrycznym wózku inwalidzkim siedzi potężny mężczyzna. Przy nim kobieta, zapewne żona. Szczupła i drobna, z prostymi siwymi włosami uczesanymi w kok. Cierpliwie czekają, aż ktoś z pierwszego rzędu zauważy, że i oni chcieliby popatrzeć na ogród, i przepuści ich bliżej.

Gdy się to w końcu udaje, kobieta pochyla się i obejmuje męża, opiera głowę na jego ramieniu. Uśmiechają się, patrząc na obfitość kwiatów i traw. ©℗

GRA W KONIEC ŚWIATA

Grupa astronomów, geologów i inżynierów spotyka się co kilka lat, by przygotować nas na kosmiczną katastrofę. Tym razem nie udało się uniknąć ogromnych zniszczeń – na szczęście.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

CNEOS.JPL.NASA.GOV

Ostatnie chwile Nowego Jorku z bezpiecznej odległości były tyleż gwałtowne, co piękne. Wydawało się, że miasto rozpłynęło się w jasnej poświacie. Oczywiście z bliska rzeczywistość była o wiele bardziej brutalna: choć do eksplozji doszło na wysokości 15 km nad Central Parkiem, w promieniu kilkunastu kilometrów wyparowały drzewa, domy i ulice. Fala uderzeniowa powalała lasy i niszczyła budynki jeszcze 60 kilometrów dalej, w New Jersey i na Long Island. Wstrząsy zarejestrowały sejsmografy na całym świecie.

Stracone dzieła sztuki

Na szczęście o tym, że 60-metrowy odłamek asteroidy spadnie na miasto z prędkością 69 tys. km na godzinę i wybuchnie z mocą tysiąca bomb zrzuconych na Hiroszimę, było wiadomo od dwóch miesięcy. 29 kwietnia 2027 r. Manhattan był więc niemal zupełnie bezludny, ale nawet takie wyprzedzenie nie wystarczyło do przeprowadzenia pełnej ewakuacji.

Dla dr. Paula Chodasa, szefa Biura Badań nad Obiektami Bliskimi Ziemi Jet Propulsion Laboratory, ta symulacja dotycząca możliwej zagłady Nowego Jorku była cenną lekcją. – Okazało się, że w przypadku tak wielkiego miasta dwa miesiące nie wystarczą do przeprowadzenia pełnej, dobrze zorganizowanej ewakuacji. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że trzeba było stamtąd wywieźć wszystko, co najcenniejsze, jak np. dzieła sztuki, a ludzie, wiedząc, że nie będzie do czego wracać, chcieli zabrać ze sobą niemal wszystko, co posiadali – mówi „Tygodnikowi" Chodas.

To Chodas był planistą zagłady Nowego Jorku. Na szczęście symulowanej. Astronom po raz czwarty już przygotował scenariusz gry strategicznej rozgrywanej podczas pięciodniowej Konferencji Obrony Planetarnej, czyli zgromadzenia, w którym biorą udział przedstawiciele największych światowych agencji kosmicznych, specjaliści od obrony cywilnej, akcji ratunkowych, infrastruktury czy geologii. Celem konferencji było opracowanie sposobów zapobiegania podobnym apokaliptycznym scenariuszom. Gra (choć sam Chodas nalega, by nazywać ją po prostu „ćwiczeniem") to sposób na unaocznienie uczestnikom, jak skomplikowanym problemem jest ratowanie Ziemi przed kosmicznymi skałami. – Wiemy, że uderzenie asteroidy to bardzo mało prawdopodobny scenariusz, ale musimy się do niego przygotować – tłumaczy.

Pomalować asteroidę na biało

Tym razem symulacja zaczęła się od odkrycia asteroidy poruszającej się niety-

pową, nachyloną orbitą. Obiekt, oznaczony na cześć konferencji kodem 2019 PDC, nie był duży, miał od 100 do 300 m średnicy, ale jego orbita przecinała orbitę Ziemi w sposób, który dawał mu szansę ok. 1 na 100 uderzenia w naszą planetę w 2027 r. Dziś spośród 860 potencjalnie niebezpiecznych obiektów skatalogowanych przez Europejską Agencję Kosmiczną tylko jeden, mała, dziewięciometrowa skała 2010 RF12, stanowi zagrożenie. Prawdopodobieństwo naszej kolizji z nią w 2095 r. szacowane jest na 1 na 16. Prawdopodobieństwo jednej setnej zostało uznane przez astronomów za próg, po przekroczeniu którego należy przeanalizować zagrożenie i, jeśli potwierdzi się ono, podjąć działania zapobiegające uderzeniu bądź ograniczające jego skutki.

– Pierwszy krok to zawsze sprawdzenie, czy taki obiekt może rzeczywiście trafić w Ziemię, ustalenie jego orbity, a to wymaga pracy, obserwacji, śledzenia jego ruchu – tłumaczy dr Chodas. – W rzeczywistości będziemy mieli o wiele więcej czasu niż w naszym ćwiczeniu. Będą to lata albo dekady, ale nasze ćwiczenie celowo zaprojektowaliśmy tak, by wyprzedzenie nie było duże, bo asteroida poruszała się dziwnym, nachylonym torem. Małe asteroidy są trudniejsze do wypatrzenia, a jeśli zmierzają do nas od strony Słońca – jest jeszcze gorzej. Mamy technologię do zapobieżenia uderzeniom, ale tylko pod warunkiem, że będziemy mieć dostatecznie dużo czasu, by jej użyć.

W przypadku prawdziwego zagrożenia wszystkie nasze opcje są uzależnione od tego, kiedy wypatrzymy niebezpieczeństwo. Opierają się na zmianie prędkości obiektu tak, by kilka czy kilkadziesiąt lat później znalazł się w nieco innym miejscu: takim, w którym w tym samym momencie nie znajdowałaby się nasza planeta. Można np. wyposażyć asteroidę w odbijający promienie słońca żagiel albo pomalować jedną jej stronę na biało, by ta powierzchnia odbijała światło. Pełniłoby to funkcję taką samą jak żagiel, bo asteroidę wprawiałoby w ruch ciśnienie odbijających się fotonów. Kolejne rozwiązanie to zaparkowanie w pobliżu takiego obiektu niewielkiego statku kosmicznego. Sama jego obecność – niewielkim wpływem grawitacyjnym – zmieniłaby tor lotu asteroidy.

Wszystkie te rozwiązania mają jedno wspólne założenie: jest czas, by wprowadzić je w życie. W ćwiczeniu zaprojektowanym przez Paula Chodasa go nie było.

Tokio śpi spokojnie

Zdecydowano się więc na opcję brutalną: wysłanie na spotkanie kosmicznej skały impaktorów kinetycznych, czyli kosmicznych odpowiedników młotów do wyburzeń. To masywne pojazdy, których jedynym zadaniem jest staranowanie obiektu z jak najwyższą prędkością. Prawie się udało. Trzy impaktory uderzyły w asteroidę i spowolniły ją wystarczająco, by obiekt ominął Ziemię. Ale uderzenia oderwały mniejszą, 60-metrową skałę. Ta nadal leciała w stronę naszej planety. Ostatnią nadzieją mogło być wykorzystanie broni jądrowej, ale polityczne spory sprawiły, że nie podjęto decyzji o użyciu jej, dopóki nie zrobiło się zbyt późno. Pozostała tylko ewakuacja największego miasta USA.

W ten sposób Nowy Jork dołączył do Lazurowego Wybrzeża zniszczonego w 2013 r. i Dhaki zrównanej z ziemią w 2015 r. Jedynie Tokio zostało ocalone podczas konferencji w 2017 r., ale – paradoksalnie – z perspektywy organizatorów konferencji krater na Manhattanie to był najlepszy możliwy wynik ćwiczenia. – Musimy stawiać sobie wyzwania i zadawać trudne pytania – tłumaczy Chodas. – Nie uczysz się niczego, jeśli nie analizujesz najczarniejszego możliwego scenariusza.

Konferencja, w której na żywo, w Waszyngtonie brało udział 200 naukowców i inżynierów z całego świata, była na bieżąco transmitowana w mediach społecznościowych. Jej elementami były symulowane komunikaty prasowe, doniesienia medialne i morze naukowych danych. Przygotowanie takiego ćwiczenia to ogromny wysiłek, który domaga się postawienia pytania: po co poważni naukowcy bawią się w symulowaną demolkę?

– W tym samym celu, w jakim przeprowadza się klasyczne gry wojenne, tyle że w roli przeciwnika nie występuje obce mocarstwo lub zły terrorysta, ale asteroida z kosmosu – tłumaczy dr Anna Łosiak, geolog planetarna z Uniwersytetu Exeter i Polskiej Akademii Nauk.

Klimat i epidemie

Gry wojenne zadebiutowały w latach 20. XIX w. w pruskiej armii. Papierowe scenariusze, rozgrywane na kartach, planszach i w głowach uczestników pozwalały prowadzić kampanie bez angażowania nawet jednego piechura oraz ćwiczyć strategie i doktryny w zaciszu gabinetów, z dala od wścibskich oczu nieprzyjaciół. W XX w. takie gry stały się podstawowym narzędziem wojskowych planistów, ale w naszych czasach zyskują nowe znaczenie. Pozwalają przygotować się i wojskowym, i cywilom do fundamentalnych, krytycznych zagrożeń, których skala jest tak wielka, że w inny sposób niemożliwa do symulowania. Przykład? Zmiany klimatyczne.

Od 2016 r. Pentagon prowadzi sztabowe gry strategiczne skupiające się na konsekwencjach kryzysu klimatycznego. Wbrew obecnej, obstrukcyjnej polityce Białego Domu amerykańscy wojskowi zdają sobie sprawę z tego, że ekstremalne zmiany pogody stanowią egzystencjalne zagrożenie. Zgodnie z wystosowaną przez wicesekretarza obrony USA Roberta Worka dyrektywą 4715.21 amerykańscy planiści mają skupiać się na „geopolitycznej i socjoekonomicznej niestabilności" powiązanej z ekstremalnymi zjawiskami klimatycznymi. I nie mają to być tylko czcze rozważania. Wypracowana w toku tych symulacji wiedza ma być bezpośrednio przekładana na wszystkie plany, misje i zakupy amerykańskich wojskowych. „Personel medyczny powinien dostosować swoje szkolenia, by wziąć pod uwagę wpływ zmian pogody na personel, w tym ekstremalne temperatury, schematy opadów oraz rozprzestrzenianie wektorów chorobowych" – pisał Work.

Z perspektywy lekarzy pandemia jest jak wojna światowa. Nie ma jednej linii frontu, ogniska chorobowe przeskakują z kontynentu na kontynent, podążając szlakiem wytyczanym przez linie lotnicze, a chaos i niepewność, niesławna „mgła wojny", rzuca cień na wszystkie decyzje.

Największa epidemia od 1918 r. „odbyła się" w ubiegłym roku w sali balowej waszyngtońskiego hotelu Mandarin Oriental. Zorganizowało ją Centrum Bezpieczeństwa Zdrowotnego Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. Nieznany czynnik chorobotwórczy, Klad X, pojawił się znienacka we Frankfurcie. 400 przypadków w tym mieście szybko zmieniło się w kilka tysięcy zachorowań od Kabulu po Caracas. Przenoszący się drogą kropelkową wirus okazał się zaraźliwy jak odra. Przez tydzień nie dawał żadnych objawów, skrycie zarażał kolejne ofiary, ↦

↦ po czym zabijał co dziesiątego nosiciela. Tysiące chorych zmieniły się w dziesiątki tysięcy, setki tysięcy w miliony.

Zgromadzona w sali balowej grupa robocza, składająca się z byłych członków amerykańskiego rządu, lekarzy i senatorów, próbowała opanować sytuację i nie dopuścić do paniki czy zaognionego politycznego kryzysu. Na świecie wybuchały wywołane epidemią konflikty. Kraje zamykały granice, a szczepionka okazała się na tyle trudna do opracowania, że prace nad nią zajęły niemal (symulowany) rok.

Nauka na niekosztownych błędach

Wnioski nie były wesołe. Mimo wysiłków, choroba w w trakcie 20 symulowanych miesięcy pochłonęła 150 milionów ofiar. Okazała się być bronią biologiczną stworzoną przez grupę terrorystyczną Jaśniejszy Świt, dążącą do zredukowania populacji świata do poziomów preindustrialnych. Mimo tak straszliwego żniwa, symulacja przyniosła wiele konstruktywnych wniosków. Okazało się np., że zamykanie granic w obawie przed chorobą prowadzi jedynie do zwiększenia zagrożenia. Wirus i tak znajdzie drogę, a odcięcie ruchu transgranicznego utrudnia transport leków, żywności i sprzętu ochronnego. Amerykańska, oparta na prywatnych szpitalach służba zdrowia musiała zostać przymusowo znacjonalizowana po tym, jak szpitale, ze strachu przed konsekwencjami finansowymi, zaczęły odmawiać przyjmowania pacjentów zarażonych Kladem X.

Pandemia jest jak wojna światowa. Nie ma jednej linii frontu, a chaos i niepewność, niesławna „mgła wojny", rzuca cień na wszystkie decyzje.

To było już trzecie podobne ćwiczenie organizowane przez Uniwersytet Johnsa Hopkinsa. Wszystkie dotychczasowe przyniosły istotne zmiany w tym, jak USA – i reszta świata – przygotowuje się na podobne kataklizmy. Procedury są dopracowywane. Zapasy – uzupełniane, a politycy i decydenci – co może najważniejsze – dokształcani. Bo w kluczowych momentach, w ogniu prawdziwego kryzysu, to oni będą podejmowali decyzje, które mogą uratować lub zgubić miliony ludzi. Mimo takich przygotowań i gier, „British Medical Journal" uprzedza, że na epidemię wciąż nie jesteśmy wystarczająco przygotowani. Według modeli Institute for Disease Modeling na naszym obecnym poziomie gotowości światowa epidemia podobna do hiszpanki z 1918 r. pochłonęłaby 33 miliony ofiar w ciągu pierwszych sześciu miesięcy.

A asteroidy? W porównaniu z pandemią brzmią niemal kojąco. Następna „spadnie" jednak już za dwa lata. W 2021 r. Konferencja Obrony Planetarnej zawita do Wiednia. Możemy się spodziewać, że kolejna kosmiczna skała runie gdzieś na naszym podwórku. Czy tym razem uda się obronić, dajmy na to, Kraków?

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

REKLAMA

Prestige MIM wprost PANI VOGUE WP cgm.pl pap STRÖER VIXON PRESS SERVICE TVS TV TORUŃ Grupa Medialna pro-art CTV

4 czerwca 1989

Polska Europa świat

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 22/2019

Polski rok 1989, krok po kroku

PROF. ANDRZEJ PACZKOWSKI, HISTORYK:

Gdyby zmiany zachodzące w Polsce załamały się, gdyby w 1989 r. władze wprowadziły na nowo stan wojenny, byłby to także koniec Gorbaczowa. Jego wrogowie w Moskwie tylko czekali na jego klęskę.

PATRYCJA BUKALSKA: Gdy dziesięć lat temu rozmawialiśmy w „Tygodniku" na temat oceny roku 1989, mówił Pan, że jeszcze mogą pojawić się nowe ustalenia. Wiemy dziś więcej niż w 2009 r.?

ANDRZEJ PACZKOWSKI: Wydaje mi się, że nie. Jeśli chodzi o polski rok 1989, nie pojawiły się nowe wspomnienia ani dokumenty. Nie pojawiły się też opracowania proponujące nową interpretację, bo do tego potrzebne byłyby właśnie nowe fakty. Opierając się na tym, co zostało już opublikowane i opowiedziane, nie widzę też powodów do zmiany interpretacji.

Mówię o spojrzeniu historyka, który odtwarza motywy, sposób działania i myślenia takimi, jakimi one były wtedy, a nie o perspektywie takiej, jaką widzimy później, znając już konsekwencje.

W tej drugiej kwestii trwa debata na temat Okrągłego Stołu i wyborów z 4 czerwca. W tym i tego, jakie były faktyczne motywy ludzi rządzących w PRL: czy usiedli do rozmów, bo uznali, że nie mają wyjścia, czy chodziło im o gospodarkę, czy jeszcze o coś innego?

Tu akurat do naszej wiedzy dochodzą nowe elementy. W 1985 r. po stronie władz rozważano zmianę ordynacji, jej pluralizacji. Latem 1985 r., przed jesiennymi wyborami do Sejmu, w pewnych gremiach zastanawiano się nad zmianami w sferze politycznej i ustrojowej. Dziś można patrzeć na to jako na dowód, że twórcy systemu stanu wojennego co najmniej od roku 1984-85 zaczynali szukać możliwości jakiejś zmiany. To wtedy zaczyna się droga do próby zreformowania państwa. Nie zmiany ideologii, lecz reformy instytucji państwa, wciąż w ramach ideologii i zależności od Moskwy.

Co dzieje się potem?

Cezurą jest rok 1986: we wrześniu władze ogłaszają amnestię, coś się zaczyna dziać. W Związku Sowieckim trwa *głasnost*, co w krajach satelickich skłania do reform. W PZPR powstają różne koncepcje. Była tu jednak różnica między Polską a innymi krajami bloku wschodniego: w Polsce mieliśmy okresy „odwilży" i „przymrozków", ale w obozie władzy nigdy nie zostały całkowicie wyeliminowane grupy uważające, że potrzebna jest jakaś modernizacja systemu. Gdy pojawiała się ku temu możliwość, one się ujawniały. Natomiast takie osoby jak Wojciech Jaruzelski – w latach 80. łączący funkcje szefa partii komunistycznej i państwa – nie myślały perspektywicznie o zmianie systemu. W jego przypadku to było raczej zarządzanie, byle to wszystko jakoś funkcjonowało.

Jak po obu stronach, rządowej i solidarnościowej, wyobrażano sobie zmiany, gdy padł pomysł Okrągłego Stołu? Spodziewano się, że dojdzie do częściowo wolnych wyborów?

Owszem, w 1988 r. pojawiają się takie sugestie. Z kolei, gdy idzie o urząd prezydenta, mówiono o nim już w latach 70. – wtedy to był pomysł „pod" Edwarda Gierka.

A wolne wybory do Senatu?

To było coś nowego. Propozycja padła w ostatniej chwili. Aleksander Kwaśniewski tłumaczy, że miała to być – z punktu widzenia władz – cena za dyktatorskie w zasadzie uprawnienia prezydenta, którym miał zostać Jaruzelski. Zapewne wszyscy tak myśleli, ale nie podjęto żadnych formalnych (nawet tajnych) ustaleń. To miał być urząd o bardzo dużych kompetencjach, więc wymyślono wolne wybory do Senatu, aby prezydent Jaruzelski z mocnymi kompetencjami był nieco bardziej strawny dla opozycji.

Wolne wybory do Senatu: była to faktycznie inicjatywa Kwaśniewskiego, z nikim niekonsultowana?

On tak twierdzi. Nie mam dowodów, aby było inaczej. Nie przypominam też sobie, żeby taki pomysł pojawiał się wcześniej. Na pewno w dokumentach PZPR nie ma mowy o drugiej izbie parlamentu wyłonionej w wolnych wyborach.

To by świadczyło, że przy Okrągłym Stole spotkały się wprawdzie dwie strony, ale każda była wewnętrznie podzielona.

Oczywiście. Na tym zresztą polegała pewna przewaga strony opozycyjnej:

TYGODNIK POWSZECHNY

Dodatek do „Tygodnika Powszechnego" 22/2019
REDAKCJA: Wojciech Pięciak, Patrycja Bukalska TYPOGRAFIA: Marta Bogucka FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn
KOREKTA: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
Na okładce: przed punktem wyborczym na warszawskim Żoliborzu, 4 czerwca 1989 r. FOT. Jan Morek / PAP

WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY: KONRAD ADENAUER STIFTUNG; FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

Pierwszy dzień negocjacji Okrągłego Stołu, od lewej: Tadeusz Mazowiecki, Klemens Szaniawski, Jacek Kuroń, Bronisław Geremek, Lech Wałęsa oraz przedstawiciel strony rządowo-partyjnej Aleksander Kwaśniewski. Warszawa, 6 lutego 1989 r.

gdy ruszał Okrągły Stół, ona była bardziej zwarta i jednolita niż strona PZPR-owska. Wynikało to też z pewnego mechanizmu: ci, którzy byli przeciwni ówczesnemu mainstreamowi opozycyjnemu, czyli Wałęsie, znaleźli się organizacyjnie poza Solidarnością – jak Solidarność Walcząca, KPN czy Grupa Robocza Andrzeja Gwiazdy. W efekcie podczas rozmów po stronie opozycyjnej nie było przeciwników negocjacji z komunistami. Natomiast Jaruzelski miał po swojej stronie ludzi ze wszelkich możliwych „skrzydeł" w PZPR: i miłośników stalinizmu, i partyjny beton, i reformatorów. Ponadto niektórzy po stronie rządowej, jak szef kontrolowanych przez władze związków zawodowych Alfred Miodowicz, próbowali grać na siebie.

Można dziś spotkać zarzut, że fakt, iż tak dużo środowisk opozycyjnych nie zostało zaproszonych do obrad Okrągłego Stołu, dał podstawy do późniejszych podziałów.

Myślę, że te środowiska w znacznym stopniu same się wykluczyły. Nie podporządkowywały się mainstreamowi, miały własne struktury i były przeciw rozmowom. Jeśli ktoś jest przeciwny rozmowom, to do nich nie siada. Przede wszystkim: oni sami nie chcieli w nich uczestniczyć. Choć akurat Grupa Robocza wysyłała sygnały, że gdyby została zaproszona, to mogłaby wziąć udział w rozmowach. Jednak dopiero wybory 4 czerwca pokazały, że z procesu Okrągłego Stołu wykluczyła się znaczna część społeczeństwa.

Jak to rozumieć?

Chodzi mi o tych, którzy 4 czerwca nie poszli do wyborów. Przecież głosowało tylko 62 proc. uprawnionych. Reszta pozostała w domu – albo dlatego, że im nie zależało, albo uważali, że to nic nie zmieni, albo byli niechętni negocjacjom z komunistami. Myślę, że spora część społeczeństwa była po prostu niezaangażowana. To nie było dla nich ważne.

Czy był moment, gdy negocjacje Okrągłego Stołu mogły się załamać?

O ile strona opozycyjna – albo, precyzyjniej: ci po stronie opozycji, którzy zdecydowali się na rozmowy – nie miała żadnego „planu B" na wypadek zerwania rozmów, o tyle strona rządowa miała taki plan. Świadczy o tym np. fakt, że Jaruzelski i Mieczysław Rakowski [od września 1988 r. premier PRL – red.] nie uczestniczyli w negocjacjach. W razie porażki mogliby zrzucić odpowiedzialność na Kiszczaka i Wałęsę. To wzmacniało postawę tych, którzy po stronie opozycji sprzeciwiali się rozmowom: dawało im argument, że oto najważniejsze osoby w państwie po tamtej stronie dystansują się od Okrągłego Stołu. Ale jednocześnie było tajemnicą poliszynela, że Kiszczak cały czas wydzwaniał do Jaruzelskiego i wszystko z nim ustalał.

A gdyby rozmowy się załamały, co wtedy? Wrócono by do nich za jakiś czas?

Trudno powiedzieć. To akurat nie jest udokumentowane, a odpytywanie uczestników nie wydaje mi się teraz sensowne, bo każdy z nich wyrobił sobie kanon opowiadania o tamtych wydarzeniach i tego się trzyma. Tym bardziej że nie ma możliwości zweryfikowania tego, co mówią. Oczywiście było kilka wystąpień, które mogły doprowadzić do przerwania rozmów. Przede wszystkim wystąpienia Miodowicza, które groziły choćby przesunięciem Okrągłego Stołu. A już raz tak się stało: przecież rozmowy miały zacząć się jesienią 1988 r., a nie w 1989 r. Już wtedy zbudowano odpowiedni mebel.

Dlaczego wtedy się nie zaczęły? ↦

↦ Po stronie rządowej pojawił się pomysł z tzw. drogą chińską: reforma ekonomiczna tak, reforma polityczna nie. To spowodowało wyhamowanie. Widziano w tym szansę na rozwiązanie problemów gospodarczych, a ominięcie tych politycznych.

Co zmieniło się między październikiem 1988 r. a lutym 1989 r., że do Okrągłego Stołu jednak doszło?

Proces przedtransformacyjny postępował także w Związku Sowieckim. Dla Jaruzelskiego stanowiło punkt honoru, aby być najbliższym współpracownikiem Michaiła Gorbaczowa w procesie zmian. On nawet tak powiedział – w 1986 r., po spotkaniu pierwszych sekretarzy krajów bloku – w rozmowie z Gorbaczowem: „Ci czterej są sklerotyczni, już nic nie zmienią, weźmy we dwóch, pchajmy ten wózek". Użył dosłownie takiego sformułowania. „Ci czterej" to Honecker, Husák, Żiwkow i Ceaușescu, przywódcy Niemiec Wschodnich, Czechosłowacji, Bułgarii i Rumunii. Wiemy o tym, bo Gorbaczow zacytował Jaruzelskiego na posiedzeniu Biura Politycznego KPZR i zostało to zaprotokołowane.

Obóz władzy w PRL, a przynajmniej Jaruzelski i jego otoczenie, a także niedorżnięci wcześniej „reformiści" w PZPR, nabierał więc ochoty na zmianę. Jaruzelski był pod presją różnych propozycji i tego, co się działo w Moskwie i na Węgrzech. Zresztą wszędzie komunistyczny monolit zaczynał pękać. W Bułgarii był problem z Turkami, narastał konflikt rumuńsko-węgierski. Gdy w marcu 1988 r., w rocznicę węgierskiej Wiosny Ludów 1848 r., opozycja zorganizowała manifestację w Budapeszcie, przyszło 10 tys. ludzi. Ale w czerwcu, w tym samym miejscu, na organizowany częściowo przez opozycję wiec poparcia dla Węgrów prześladowanych w Rumunii przyszło już 50 tys. ludzi! W 1988 r. miały miejsce rozruchy w Baku między Azerami i Ormianami, zabito ponad sto osób. Ktoś, kto to śledził, czuł, że wszystko pęka i trzeba szukać rozwiązania. A Gorbaczow jasno powiedział: każda partia odpowiada przed swoim narodem.

W Polsce zdecydowano się na Okrągły Stół. Jednak mimo różnych scenariuszy, na jakie przygotowywali się komuniści, wynik wyborów z 4 czerwca ich zaskoczył?

Totalnie! Myśleli, że skoro inicjują zmiany, to będą je kontrolować. Tymczasem okazało się, że są rzeczy niekontrolowalne. Zagrały emocje i Polska weszła w okres niesterowalności. Zapanowanie nad tym było szalenie trudne i tu trzeba przyznać Wałęsie, że mu się to udało.

KUSURIJA / CC BY-SA 3.0

W 2009 r. mówił Pan, że istniała realna groźba unieważnienia wyniku wyborów z 4 czerwca.

Z punktu widzenia czysto prawnego te wybory były nieważne. W pierwszej turze przepadła tzw. lista krajowa i nie można było wystawiać jej ponownie w drugiej turze. Druga tura dotyczyła tylko poszczególnych okręgów wyborczych, a nie listy krajowej. Wtedy jednak Sejm nie miałby przepisowych 460 posłów. Na tej liście krajowej było 35 kandydatów, przedstawicieli władz, ale 4 czerwca tylko dwóch z nich dostało wymagane ordynacją ponad 50 proc. głosów i weszło do Sejmu. Pozostali zostali skreśleni przez głosujących i był to jasny sygnał, co większość głosujących sądzi o rządzących. Wtedy doszło do drugiego Okrągłego Stołu: postanowiono szybko zmienić ordynację. Wymyślono, że te 33 mandaty z listy krajowej zostaną rozdysponowane między okręgi wyborcze, ale nie na miejsca do wolnego wyboru, lecz na miejsca przydzielone z góry PZPR i jej satelitom. Uczyniono tak między pierwszą i drugą turą! Przecież nie można zmieniać ordynacji w trakcie wyborów!

Czy to był moment, gdy strona rządowa mogła się jeszcze wycofać?

Teoretycznie mogła wykorzystać sytuację, która powstała 4 czerwca po odrzuceniu większości listy krajowej, unieważnić wybory i np. zarządzić następne. Ale co by się wtedy stało? Trudno powiedzieć. Te następne mogłaby jeszcze wyraźniej przegrać.

To był jeden ryzykowny moment. Były kolejne?

Drugi to wybór prezydenta. W lipcu Jaruzelski został wybrany przez Sejm i Senat na prezydenta PRL, przeszedł tylko jednym głosem. Jego wybór to także była próba utrzymania kontroli nad biegiem wydarzeń, zapewnienia, aby obóz władzy nie zaczął kontestować całego procesu

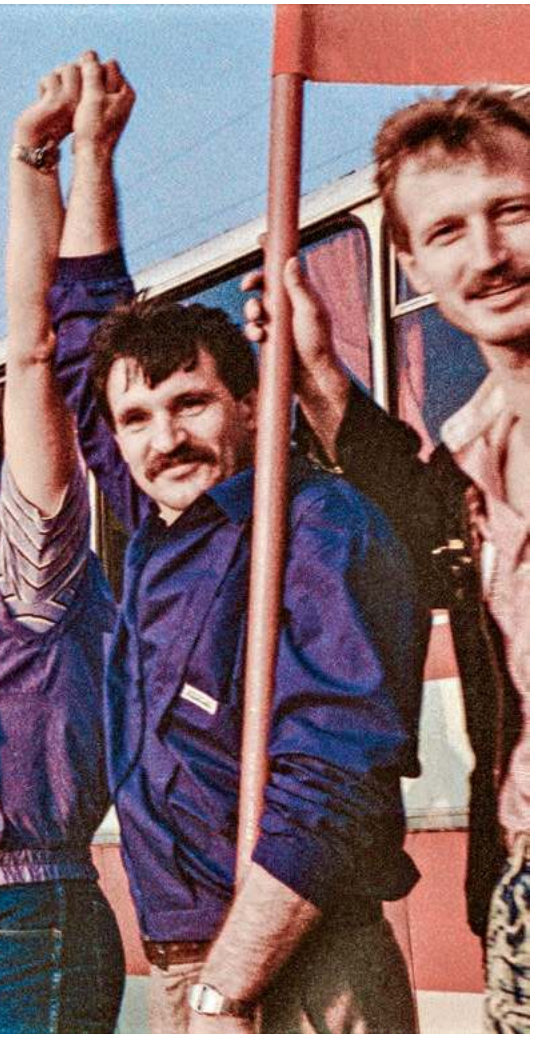

„Łańcuch bałtycki": gdzieś na Litwie, wtedy jeszcze sowieckiej republice. 23 sierpnia 1989 r.

zmian. Gdyby Jaruzelski nie został prezydentem, to jestem ciekaw, co by się działo!

No właśnie: co?

Nie mam pojęcia. Nie wiadomo, co zrobiłby sam Jaruzelski. I nic nie wiadomo na temat tego, czy oni mieli jakiś plan awaryjny. Opozycja takiego planu nie miała. Mogła oczywiście domagać się, aby Zgromadzenie Narodowe zebrało się ponownie i dokonało drugiej próby wyboru prezydenta, zgłaszając tym razem np. kandydaturę Lecha Wałęsy.

Sądzi Pan, że po stronie władz wchodziło wtedy w grę rozwiązanie siłowe?

Fizycznie było to możliwe, bo tzw. aparat bezpieczeństwa jeszcze się nie rozsypał. Także wojsko, przynajmniej gdy idzie o kadrę oficerską, było podporządkowane władzy i mogło zostać użyte. Gorzej z PZPR, ona była w kiepskiej kondycji. Ale do wprowadzenia stanu wojennego partia nie jest potrzebna. Można więc wyobrazić sobie ponowny stan wojenny: wojsko, Służba Bezpieczeństwa, milicja – i wystarczy. Nie wiem, czy taki plan istniał. Możliwość była.

Ale...?

Ale nie było ku temu politycznej motywacji. Taki krok zburzyłby nie tylko to, co zmieniało się w Polsce, lecz także to, co działo się w Związku Sowieckim. Miałoby to skutki na wielką skalę. Dlatego nie tylko ambasador USA John R. Davies, ale nawet prezydent George Bush namawiali Jaruzelskiego, żeby startował, a oni już resztę załatwią. Davies osobiście instruował parlamentarzystów Solidarności, co mają zrobić, aby – wobec niechęci do jego osoby, widocznej także wśród niektórych parlamentarzystów strony rządowej – Jaruzelski wygrał, np. poprzez zmniejszenie wymaganego kworum.

A potem, po lipcu 1989 r.?

Aż do sierpnia różne ważne osoby z PZPR próbowały jeszcze utrzymać pełnię władzy. W różny sposób. Przecież pomysł, by premierem został Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych odpowiedzialny wcześniej za represje, był zwykłą prowokacją. Jak to miało się udać? Dwaj główni autorzy stanu wojennego jako prezydent i premier? Nawet potem, gdy Wałęsa ogłosił już nową koalicję [z udziałem posłów Solidarności oraz ZSL i SD, partii dotąd zależnych od władz PRL – red.], to będący wciąż premierem Rakowski jeszcze próbował walczyć, napisał list otwarty do komórek partyjnych, że trzeba bronić socjalistycznej ojczyzny itd. Nawet Ceaușescu się włączył: w liście do kolegów, przywódców innych krajów bloku wschodniego, przedstawił propozycję pomocy dla zagrożonej socjalistycznej Polski... Ale od nikogo nie dostał odpowiedzi. To było 19 sierpnia. Do końca sierpnia sytuacja była napięta.

Tymczasem także po stronie opozycji kipiało. Szczególnie młodzi ludzie po wyborczym sukcesie z 4 czerwca chcieli więcej i nie widzieli powodu, by trzymać się kompromisowych porozumień.

Było jednak sporo różnych wydarzeń, skłaniających do kontynuacji porozumienia, a także sporo głosów z Zachodu. Mam na myśli nie tylko Chiny i masakrę na placu Tiananmen, ale też stanowisko Amerykanów, którzy drżeli o sytuację w Polsce. Bali się, że jeśli u nas coś strzeli, to nastąpi destabilizacja w całym regionie. Nawet los Gorbaczowa byłby wtedy niepewny. W przypadku nowego stanu wojennego w Polsce Gorbaczow by poleciał – jego przeciwnicy w Moskwie, liczni w aparacie partyjnym i w instytucjach państwa sowieckiego, tylko czekali na jego klęskę.

Jaki scenariusz byłby prawdopodobny w przypadku takiego załamania w Polsce?

Nie sądzę, by doszło do rewolty betonu partyjnego, który zmiata Jaruzelskiego i wprowadza twardą dyktaturę. Bardziej prawdopodobne byłoby cofnięcie się władzy, tak o półtora kroku, by na nowo podjąć próbę opanowania sytuacji przez system konsultacji, od czego Jaruzelski zaczął w 1986 r. Kontynuowano by też pewnie próbę przeprowadzenia ostrej reformy gospodarczej Rakowskiego. W odróżnieniu od Chińczyków nie pod ochroną czołgów, lecz sił umiarkowanych, właśnie poprzez konsultacje. Na pierwszym miejscu taką siłą byłby Kościół.

A czy była możliwa rewolta Solidarności?

Nie wykluczam tego, ale uważam, że przejęcie kontroli nad sytuacją przez obóz władzy byłoby wtedy bardziej prawdopodobne. Najmniej prawdopodobne było przybycie Ceaușescu z „bratnią pomocą" (*śmiech*).

Gdy dziś analizujemy wydarzenia, krok po kroku, mamy wiedzę o sytuacji międzynarodowej, jakiej wtedy nie mieliśmy. Widzimy, ile determinacji, ale też szczęścia wymagało spokojne przeprowadzenie Polski przez rok 1989.

Ale jednocześnie trudno odtworzyć, które z tych wydarzeń były ważne, a które ważniejsze. Np. słynny „bałtycki łańcuch": 23 sierpnia 1989 r., w 50. rocznicę paktu Hitler–Stalin, dwa miliony Litwinów, Łotyszy i Estończyków – ciągle obywateli Związku Sowieckiego – ustawiły się w jednej linii, trzymając się za ręce, od Wilna po Tallin. Dwa miliony! To jednak coś znaczy, gdy dwa miliony ludzi wychodzi na ulice miast i polne drogi! I choć nic od tego „bałtyckiego łańcucha" się natychmiast nie zmieniło, było to ostrzeżenie – dla Jaruzelskiego, dla Gorbaczowa – że system naprawdę się rozsypuje. I była to także zachęta dla młodych gniewnych. ↦

Ale nikt nie wiedział, jak daleko można się posunąć. „Łańcuch bałtycki" przebiegł spokojnie. Tymczasem w kwietniu 1989 r. podczas demonstracji w Tbilisi armia sowiecka zabiła kilkudziesięciu Gruzinów.

Rok 1989 był bogaty w wydarzenia nie tylko w Polsce...

...i dynamiczny. Tymczasem dziś można usłyszeć zarzuty, że trzeba było u nas zrobić więcej, szybciej. Można było?

Ta krytyka wynika z nieznajomości istoty ówczesnych wydarzeń. Owszem, w grudniu 1989 r., po „aksamitnej rewolucji", Václav Havel został prezydentem Czechosłowacji. Ale kto wybrał Havla na prezydenta? Parlament wybrany za komuny! A kto był wtedy premierem w Pradze? Marián Čalfa, członek Biura Politycznego partii komunistycznej. Pod koniec roku 1989 Tadeusz Mazowiecki był jedynym niekomunistycznym premierem, szefem władzy wykonawczej.

Na chłodny stosunek wielu Polaków do wyborów z 4 czerwca wpływa też chyba fakt, że patrzymy nie tylko na tych kilka miesięcy, lecz także na kolejne lata transformacji.

Każde wydarzenia są z czasem analizowane także pod kątem tego, co zdarzyło się później. Na rewolucję francuską też patrzymy nie przez pryzmat dnia, w którym zdobyto Bastylię, ale okresu późniejszego, gdy ruszyła gilotyna. Tak samo tutaj: z punktu widzenia dzisiejszej polityki, dzisiejszych emocji, ówczesny punkt startu przestaje być ważny. Ważne jest to, co stało się później. Dlatego tak trudno nam uczynić z tamtych wydarzeń przedmiot dumy, satysfakcji. No i minęło tylko 30 lat: to tyle, co między powstaniem listopadowym a powstaniem styczniowym.

Może różnice w ocenie wydarzeń roku 1989 w Polsce są nieuniknione? Choć są też rzeczy, które oburzają także zwolenników Okrągłego Stołu. Jak można było pozwolić, by Kiszczak aż do wiosny 1990 r. kontrolował tajne służby i palił archiwa?

To był, z jego punktu widzenia, element próby stabilizowania sytuacji. Stabilizacja musiała nastąpić po obu stronach – i po stronie do niedawna opozycyjnej, a od 12 września 1989 r. już koalicyjno-rządzącej, i po drugiej stronie. Skoro prezydent Jaruzelski odpowiada, według prawa, za bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne, to powinni mu podlegać ci członkowie władzy wykonawczej, którzy za to bezpieczeństwo odpowiadają. Ministrowie spraw wewnętrznych, obrony i spraw zagranicznych. Można więc powiedzieć, że i tak Jaruzelski oddał MSZ, ministrem został Krzysztof Skubiszewski. To były „bezpieczniki", które miały zapewnić stabilność zmian. Z tego punktu widzenia – udało się, była stabilność. Ale czy ta stabilność wpłynęła pozytywnie, czy negatywnie na zmiany, to odmienna sprawa. Wtedy jednak, w roku 1989, świat oczekiwał od Polaków, że dokonają zmian stabilnie, w sposób kontrolowany, dający się przewidzieć. Pamiętajmy, że to wszystko dzieje się przed spotkaniem Bush–Gorbaczow na Malcie w grudniu 1989 r., które zostało uznane za zakończenie zimnej wojny Wschód–Zachód.

To prawda, ale także dlatego nie mamy w Polsce konsensu wobec 4 czerwca: dla jednych to święto i powód do dumy, a dla innych dzień hańbiącego kompromisu z komuną.

Proszę pojechać za naszą zachodnią granicę. Owszem, po tym, jak w listopadzie 1989 r. w NRD upadł mur berliński, w pełni wolne wybory odbyły się tam już w marcu 1990 r., podczas gdy u nas dopiero we wrześniu 1991 r. Ale gdy spojrzymy na obecną sytuację, to okaże się, że we wschodniej części Niemiec nadal jest wielka nostalgia za komunistyczną NRD. I to tam postkomuniści – prawdziwi ideologiczni postkomuniści, nieporównywalni zupełnie z naszymi – mają nadal spory i wierny elektorat. To są sprawy trudne do przedstawienia w sposób zero-jedynkowy, biało-czarny.

Gdy w 2009 r. pytaliśmy, jak może zmienić się ocena Okrągłego Stołu za dziesięć lat, odparł Pan: „Bardzo często jest tak, że historycy czy niehistorycy oglądają przeszłość z miejsca, w którym tkwią w danym momencie. Jeśli za 10 lat Polska będzie krajem stabilnym i rozwijającym się, otoczenie będzie nieagresywne, a my nie będziemy czuli zagrożenia, to wtedy Okrągły Stół nabierze kształtów powabnych, jako dobry początek drogi. Ale jeżeli Polska będzie przypominała dzisiejszą Ukrainę, to znajdzie się wielu takich, którzy będą mówić, że winny jest temu Okrągły Stół, bo nie było prawdziwej rewolucji". Czy zapytany o to samo dziś, nadal uzależniłby Pan przyszłą ocenę wydarzeń czerwcowych od aktualnej sytuacji Polski?

Ocena dokonywana w sferze publicznej zawsze będzie zróżnicowana. Natomiast jaki będzie charakter i temperatura debaty wokół tej oceny, to będzie zależało od aktualnych wydarzeń. Tak czy inaczej jestem przekonany, że taka dyskusja będzie trwała nadal, i że za kolejnych 10 lat nadal będziemy dyskutowali o Okrągłym Stole oraz o wyborach z 4 czerwca.

A jak Pan osobiście zapamiętał dzień 4 czerwca 1989 r.?

Byłem wtedy w Londynie. Zostałem mężem zaufania Andrzeja Łapickiego [kandydata do Sejmu z listy Solidarności w Warszawie; na kandydatów w tym okręgu mogli głosować Polacy za granicą – red.] w komisji wyborczej w ambasadzie i od siódmej czy szóstej rano byłem na posterunku. Obserwowałem wszystko, co się działo, łącznie z liczeniem głosów. Frekwencja była raczej marna, przyszło w sumie może półtora tysiąca ludzi. Jakoś w południe wyszedłem na zewnątrz na papierosa. Przed budynkiem stało kilkadziesiąt osób. Jedni już zagłosowali, inni szli głosować, była też pikieta Solidarności Walczącej. Ludzie stoją, gadają, ładna pogoda, atmosfera rozluźniona. I nagle widzimy, jak ulicą idzie pochód. Całą szerokością jezdni, kilkaset osób. Tutejsi Chińczycy. Czoła mieli przepasane czarnymi opaskami, nieśli też kilka prowizorycznie skleconych tekturowych trumien. Różnica czasu między Europą a Pekinem była taka, że było to już po masakrze protestujących na placu Tiananmen. Zrobiła się cisza, jak makiem zasiał. Podnieśliśmy palce ze znakiem zwycięstwa. Taki znak solidarności z Chińczykami. Tyle mogliśmy dla nich zrobić.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

PROF. ANDRZEJ PACZKOWSKI (ur. 1938) jest historykiem. W PRL działał w opozycji demokratycznej, m.in. redagował podziemne Archiwum Solidarności. W latach 1999–2011 członek Kolegium IPN, potem do 2016 r. członek Rady IPN. Alpinista, w latach 1974-95 prezes Polskiego Związku Alpinizmu. Autor wielu książek, m.in. „Droga do »mniejszego zła«. Strategia i taktyka obozu władzy, lipiec 1980 – styczeń 1982", „Wojna polsko-jaruzelska", „Trzy twarze Józefa Światły".

CHRIS NIEDENTHAL / GETTY IMAGES

Wojciech Jaruzelski wkrótce po tym, jak Zgromadzenie Narodowe wybrało go na prezydenta PRL. Warszawa, sala sejmowa, 19 lipca 1989 r.

Widziane z drugiej strony

ANTONI DUDEK

Z jakimi nadziejami i oczekiwaniami obóz rządzący w PRL podjął rozmowy z Solidarnością? I co z tego na koniec wyszło?

Jesienią 1989 r. w „Tygodniku Solidarność" ukazał się głośny artykuł Jadwigi Staniszkis, sugerujący, że za zmianami w Polsce i innych krajach bloku sowieckiego stoi antykryzysowe centrum powołane przez KGB.

Od tego też czasu datuje się trwający po dziś dzień i raczej niemożliwy do ostatecznego rozstrzygnięcia spór: w jakim stopniu to, co wydarzyło się w Polsce w roku 1989, pomiędzy lutym (początek obrad Okrągłego Stołu w Polsce) a wrześniem (powstanie rządu Tadeusza Mazowieckiego), było procesem spontanicznym, a w jakim zostało wyreżyserowane przez ludzi z komunistycznego obozu władzy.

Memoriały i sondowania

Dokumenty, ujawniane stopniowo po upadku rządów komunistycznych, dostarczyły szeregu argumentów zwolennikom tezy, że przełom ustrojowy, jakiego byliśmy świadkami w 1989 r., został wcześniej – przynajmniej do pewnego stopnia – nie tylko przemyślany, ale i zwerbalizowany w formie pisemnej. Oto kilka przykładów.

Wiosną 1988 r. – już po wygaśnięciu słabej wiosennej fali strajków (w czym decydującą rolę odegrała brutalna pacyfikacja protestu w Hucie im. Lenina), które to strajki zostały uznane za dowód słabości opozycji i siły ekipy Jaruzelskiego – jej eksponowany reprezentant Stanisław Ciosek zaczął formułować daleko idące propozycje reform politycznych. 3 czerwca 1988 r., w rozmowie z dyrektorem Biura Prasowego Episkopatu ks. Alojzym Orszulikiem, w następujący sposób charakteryzował zamierzenia władz: „Jest rozważana idea powołania Senatu lub izby wyższej parlamentu. W Sejmie koalicja rządząca zachowałaby 60-65 proc. miejsc. Natomiast w Senacie byłoby odwrotnie. Senat miałby prawo wnioskowania, aby kontrowersyjne decyzje Sejmu ponownie poddać pod głosowanie, przy czym powinny one wtedy uzyskać większość 2/3 głosów. (...) Ciosek powiedział, że sytuacja wymaga rozważenia możliwości powołania rządu koalicyjnego z udziałem opozycji. Obecny skład rządu nie rokuje wyprowadzenia kraju z kryzysu".

Sześć tygodni później – podczas spotkania 21 lipca 1988 r. – Ciosek zaproponował z kolei Andrzejowi Stelmachowskiemu, doradcy Wałęsy związanemu z Episkopatem, „powstanie partii chrześcijańskiej, która mogłaby otrzymać nawet 40 proc. mandatów" oraz „rzucił w rozmowie ↦

↦ projekt powołania Wałęsy na przewodniczącego Senatu".

Ten sam Ciosek, wraz z Jerzym Urbanem i wiceministrem spraw wewnętrznych Władysławem Pożogą, pisał w memoriale dla gen. Jaruzelskiego na początku sierpnia 1988 r., tuż przed drugą w tym roku falą strajków: „proponujemy powierzyć fotel premiera bezpartyjnemu przedstawicielowi umiarkowanej opozycji (...). Nasuwający się kandydat: Witold Trzeciakowski. Proponujemy powołać dwóch tylko wicepremierów, obu z PZPR (...). Sądzimy, że w tym rządzie cztery teki można powierzyć umiarkowanej opozycji: pracy i polityki społecznej, budownictwa, rynku wewnętrznego i zdrowia".

A zatem na rok przed powstaniem rządu Mazowieckiego ludzie z najbliższego otoczenia Jaruzelskiego kreślili scenariusze pozornie zbliżone do rzeczywistego biegu późniejszych wydarzeń. Zresztą nie tylko oni, bowiem 22 sierpnia 1988 r. Jacek Kuroń przedstawił płk. Janowi Lesiakowi z Departamentu III MSW trzyetapowy projekt reform politycznych. Rozpocząć je miała zgoda ekipy Jaruzelskiego na legalizację Solidarności – w zamian za wygaszenie przez Wałęsę drugiej fali strajków – po czym miały nastąpić rozmowy między przedstawicielami władzy i opozycji w sprawie „autentycznej reformy ekonomicznej", prowadzące z kolei do „powstania rządu fachowców".

Generał szuka rozwiązania

Czy jednak powyższe cytaty rzeczywiście dowodzą, że latem 1988 r. scenariusz transformacji był już gotowy, a role, jakie mieli w nim do odegrania poszczególni aktorzy, rozdzielone przez tajemniczego reżysera? I kto właściwie miałby być owym reżyserem: sowiecki przywódca Michaił Gorbaczow, KGB, a może Jaruzelski, w którego ręku skupiona była aż do czerwca 1989 r. większość realnej władzy w Polsce?

Problem w tym, że Gorbaczow i uznające (przynajmniej częściowo) jego zwierzchnictwo KGB w tym czasie nie panowali już do końca nad sytuacją w samym Związku Sowieckim, gdzie po trzech latach pierestrojki i *głasnosti* zaczęły się ujawniać – zwłaszcza na Kaukazie i w krajach bałtyckich – silne ruchy niepodległościowe.

Nie znaczy to, że Moskwa nie była w stanie wpływać na to, co dzieje się nad Wisłą. Ale dokumenty z prywatnego archiwum Gorbaczowa wskazują, że Kreml był zainteresowany głównie zmianą zasad wymiany handlowej z PRL (przejście na rozliczenia w dolarach) oraz reformami gospodarczymi, a w sferze politycznej utrzymaniem spokoju społecznego. W tej perspektywie większy problem stanowili dla Gorbaczowa komunistyczni dogmatycy, kwestionujący sens pierestrojki, a rządzący wówczas Czechosłowacją czy NRD, niż ekipa Jaruzelskiego. Szczególnie od momentu, gdy ostatecznie zdecydowała się ona na rozpoczęcie rekomendowanych przez Kreml reform.

Jaruzelski – jak wynika z jego licznych wypowiedzi – od lata 1988 r. miotał się między wyrażeniem zgody na rozmowy Okrągłego Stołu a gorączkowymi poszukiwaniami innego rozwiązania, które powstrzymać mogło pogarszanie się nastrojów społecznych, potwierdzane przez kolejne sondaże (i strajki).

Pokusa chińskiej drogi

Wśród tych rozwiązań najważniejsze stało się utworzenie rządu Mieczysława Rakowskiego, który jesienią 1988 r. otrzymał od Jaruzelskiego zielone światło dla – pierwszych w dziejach PRL – radykalnych reform gospodarczych.

„Jednym słowem, towarzysze, powtórzmy za naszym chińskim przyjacielem: kot biały czy czarny, ważne, żeby łowił myszy. Chodzi o to, żebyśmy mogli te myszy łowić, i żeby sprawy szły do przodu bez naruszenia podstawowych zasad, które nie mogą zostać zniweczone" – mówił Jaruzelski wiosną 1988 r. członkom kierownictwa PZPR.

Problem tkwił w tym, że w przeciwieństwie do Deng Xiaopinga, na którego powoływał się Jaruzelski, jego pole manewru było znacznie skromniejsze. O ile bowiem chiński przywódca mógł sobie pozwolić – co pokazała masakra na placu Tiananmen, dokonana 4 czerwca 1989 r. [patrz tekst w tym dodatku – red.] – na połączenie liberalnych reform gospodarczych z utrzymaniem polityki terroru na dużą skalę, o tyle Jaruzelski nie był już do tego zdolny. I to zarówno z uwagi na negatywny odbiór tego rodzaju działań przez Gorbaczowa i Zachód, o którego względy generał intensywnie zabiegał od czasu zwolnienia większości więźniów politycznych w 1986 r., jak też ze względu na fatalny stan aparatu państwowego, ze służbami specjalnymi na czele.

Wprawdzie wiosną 1988 r. szef MSW gen. Czesław Kiszczak wydał polecenie rozpoczęcia przygotowań do wprowadzenia stanu wyjątkowego, ale już jesienią prace te – prowadzone w ścisłej tajemnicy nawet w ramach samego MSW – zostały zahamowane. Nie wydaje się, by jedyną przyczyną tej decyzji były rozmowy przygotowawcze do Okrągłego Stołu, toczone ze zmiennym szczęściem od września 1988 r. do stycznia 1989 r. Równie ważny był bowiem stan nastrojów w bezpiece, milicji i wojsku, w których mało kto garnął się do powtarzania operacji z 13 grudnia 1981 r.

Propozycja Kwaśniewskiego

Jaruzelski nie był reżyserem żywiołowego procesu, który przed laty nazwałem przewrotnie „reglamentowaną rewolucją", ale do połowy 1989 r. pozostawał w nim głównym aktorem. A jego podwładni kreślili rozmaite projekty polityczne, z których część doczekała się realizacji.

„Okrągły stół jest ideą władzy (...) widzę różnicę między »okrągłym stołem« tutaj, na Krakowskim Przedmieściu, dyskusją, która tu się toczy, a okrągłym stołem, który stał w sali BHP w Stoczni Gdańskiej w roku 1980. To są zupełnie inne jakości polityczne" – mówił w lutym 1989 r. na posiedzeniu Biura Politycznego PZPR Aleksander Kwaśniewski, trafnie zwracając uwagę, że w rozpoczynającym się wtedy negocjacyjnym maratonie to władze PRL pozostają silniejszą stroną.

Jednak to właśnie Kwaśniewski kilkanaście dni później zaproponował coś, co doprowadziło do zmiany układu sił i pozbawiło Jaruzelskiego głównej roli.

Z punktu widzenia władz PRL najważniejszym celem Okrągłego Stołu było uzyskanie akceptacji liderów Solidarności i hierarchii kościelnej (a za ich pośrednictwem większości społeczeństwa) dla przesunięcia rzeczywistego centrum dyspozycji politycznej z Komitetu Centralnego PZPR do urzędu prezydenta, którym zostać miał Jaruzelski. Aby przełamać impas, wywołany sprzeciwem strony solidarnościowej wobec nadmiernej rozbudowy kompetencji prezydenta, Kwaśniewski wystąpił z propozycją, by wybory do mającego powstać Senatu były całkowicie wolne.

Taki układ, przewidujący wolne wybory do Senatu w zamian za silną prezydenturę dla Jaruzelskiego, stanowił istotę okrągłostołowego kontraktu – choć formalnie w żadnym dokumencie nie zapisano, że to generał zostanie prezydentem PRL. Dla

układających się stron było jednak oczywiste, że tak się stanie. Podobnie jak oczywistym wydawało się, że przez kilka następnych lat Polską będzie rządziła ekipa Jaruzelskiego.

Optymizm obozu władzy

Wychodząc z inicjatywą wolnych wyborów do Senatu, Kwaśniewski zakładał, że obóz rządzący może w nich zdobyć połowę mandatów. Tak typował rezultat wyborów w prywatnym zakładzie, który zawarł w połowie marca z Urbanem i Rakowskim; zresztą oni dwaj byli jeszcze większymi optymistami. Jednak wszystkich ich przebił Jaruzelski, oceniając na zaledwie pięć dni przed wyborami, że każdy wynik, w którym kandydaci PZPR i jej sojuszników zdobędą poniżej 40 proc. mandatów senatorskich, będzie „bardzo zły".

Niemal do dnia wyborów generał zdawał się wierzyć, że krótka kampania wyborcza, której miała towarzyszyć neutralizacja Kościoła (w tym celu pośpiesznie uchwalono w maju korzystną dla duchowieństwa ustawę), uniemożliwi opozycji odbudowę struktur i skuteczną kampanię w większości mniejszych województw.

Umacniały go w tym niektóre wyniki badań opinii publicznej. Wedle danych, które analizowano 23 maja na posiedzeniu Biura Politycznego, niezdecydowanych miało być aż 45 proc. wyborców, przy 40 proc. zorientowanych prosolidarnościowo i 15 proc. prorządowo. „Najbardziej ze wszystkich grup środowiskowych waha się wieś. 53 proc. wyborców na wsi nie wie, jak postąpić. »Solidarność« ma tam najmniejszy »zwarty elektorat« (tylko 35 proc.)" – oceniał zespół analityków z Sekretariatu KC PZPR.

Szok 4 czerwca

Dopiero w zestawieniu z tego rodzaju ocenami i analizami widać wyraźnie, jak szokujące musiały być dla obozu władzy rezultaty głosowania z 4 czerwca. Sukces Solidarności, spotęgowany w przypadku Senatu przez przyjętą na wniosek kierownictwa PZPR większościową ordynację wyborczą, a także upadek listy krajowej do Sejmu, wywołały w aparacie władzy trzęsienie ziemi.

Jego konsekwencją była też myśl o nowym podziale władzy („Nasz prezydent, wasz premier"), którą w kilka dni po 4 czerwca członek Biura Politycznego prof. Janusz Reykowski przedstawił Adamowi Michnikowi. Ten ostatni był wówczas jednym z nielicznych liderów Solidarności rozumiejących, że skala wyborczego zwycięstwa pozwala opozycji na realny udział we władzy. Choć nawet on nie wierzył w możliwość przejęcia jej w całości.

Dobrze ilustruje to jedyna publiczna wypowiedź Michnika na temat rozmów, jakie w połowie lipca 1989 r. przeprowadził w Moskwie, w Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, dokąd udał się, aby poznać stosunek Kremla do oferty, jaką publicznie ogłosił w słynnym artykule „Wasz prezydent, nasz premier".

W dziesięć lat później, podczas konferencji na temat Okrągłego Stołu w Ann Arbor, tak mówił na temat reakcji Rosjan: „Oni byli sobą zajęci, mówili »Róbcie, co chcecie«, a skoro tak, no to ja wróciłem z Moskwy i powiedziałem »chłopaki, skok na kasę trzeba robić«, ale nawet wtedy Jaruzelski był bezpiecznikiem. Pamiętajmy, przecież cały ten aparat, bezpieczniacki, wojskowy, partyjny, administracyjny, przecież oni by dostali szału. Im się nagle ziemia pod nogami zaczęła palić. Jaruzelski był tu bezpiecznikiem, dla nich gwarantem, żeby siedzieli cicho, najwyżej zmienią posady, ale nikt [im] nie urwie głowy".

„Wybraliśmy mniejsze zło"

Skutków wstrząsu z 4 czerwca nie był już w stanie odwrócić ostatni sukces ekipy Jaruzelskiego, czyli wybór jej lidera na prezydenta PRL. Okoliczności, w jakich to nastąpiło – wybór jednym tylko głosem, przy pośrednim wsparciu grupy parlamentarzystów z Solidarności – skutecznie zniwelowały olbrzymie konstytucyjne uprawnienia, przypisane przy Okrągłym Stole temu nowemu urzędowi, i sprawiły, że w sierpniu 1989 r. Jaruzelski znalazł się w defensywie.

Oczywiście, do końca starał się zachowywać pozory – nawet wtedy, gdy Wałęsa doprowadził do powstania koalicji Solidarności z ZSL i SD, co w praktyce pozbawiało PZPR legitymacji do dalszego sprawowania władzy.

Wedle relacji Józefa Czyrka, przekazanej w końcu sierpnia zaniepokojonym towarzyszom z NRD, Jaruzelski miał zgodzić się na powstanie rządu Mazowieckiego pod trzema warunkami: 1) zachowania „socjalistycznego porządku społecznego w Polsce"; 2) utrzymania „przyjaźni i sojuszu z ZSRR" oraz członkostwa PRL w Układzie Warszawskim; 3) „rząd musi się składać proporcjonalnie ze wszystkich reprezentowanych w Sejmie sił", czyli również z PZPR, dysponującej 38 proc. mandatów poselskich.

Komentując samą decyzję o powierzeniu działaczowi Solidarności misji tworzenia rządu, Czyrek ocenił, że zaważyła na tym katastrofalna sytuacja gospodarcza: „Gdybyśmy byli w stanie szybko poprawić położenie gospodarcze, utrzymalibyśmy kierownictwo rządu przy użyciu wszelkich środków". Dodał, że w istniejącym stanie nastrojów społecznych dalszy opór w tej sprawie doprowadziłby do sytuacji, w której „PZPR zostałaby ostatecznie wyparta jako władza państwowa, co umożliwiłoby samodzielne rządy opozycji. Wybraliśmy mniejsze zło".

Złudzenie Jaruzelskiego

Wprawdzie Jaruzelski skutecznie obronił liczne aktywa starego reżimu – w wojsku, służbach specjalnych czy w dyplomacji – ale bardziej wynikało to ze strachu jego obozu (niedawnej władzy), że strona do niedawna opozycyjna wchodzi w – zwolnioną 4 czerwca – rolę głównego aktora, niż z realnych możliwości powstrzymania procesu demokratyzacji. Szczególnie od momentu, gdy jesienią 1989 r. runęły reżimy komunistyczne w NRD i Czechosłowacji.

Naturalnie takie wydarzenia jak fakt, że pierwszym zagranicznym gościem przyjętym przez premiera Mazowieckiego był szef KGB, zawsze będą stanowiły pożywkę dla najbardziej fantastycznych scenariuszy. Ale na gruncie znanych dziś dokumentów można stwierdzić, że Jaruzelski mylił się, gdy na początku listopada 1989 r. zapewniał nowego przywódcę NRD Egona Krenza: „Wprawdzie oddaliśmy przedsiębiorstwo, ale zapewniliśmy sobie kontrolny pakiet akcji".

W rzeczywistości był już tylko mniejszościowym udziałowcem, który wykorzystał fakt, że nowi kierownicy przedsiębiorstwa woleli nie sprawdzać, ile kto faktycznie ma akcji. © ANTONI DUDEK

PROF. ANTONI DUDEK (ur. 1966) jest historykiem i politologiem, w latach 2010-16 był członkiem Rady IPN. Autor kilkunastu książek, m.in. „Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990", „Pierwsze lata III Rzeczypospolitej 1989–2001", „Instytut. Osobna historia IPN", „Historia polityczna Polski 1989–2015".

GERARD MALIE / EAST NEWS

Tłumy na moście Glienicke, łączącym wschodnią i zachodnią część Berlina, w dwa dni po upadku muru. 11 listopada 1989 r.

Wieloskładnikowa mieszanka wybuchowa

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Przewrót pałacowy pod kontrolą Kremla, demonstracje, rokowania: dynamika, z jaką w 1989 r. komunizm upadał w Europie Środkowej, była bardzo różna. Porównajmy te procesy.

Na kraje dawnego bloku sowieckiego patrzymy zwykle jak na monolit, którego części zbytnio nie różniły się od siebie. Niemal jednoczesny upadek systemu komunistycznego w Europie Środkowo-Wschodniej w 1989 r. umacnia ten punkt widzenia.

Nie ma oczywiście wątpliwości, że narzucony naszej części kontynentu ustrój wymusił znaczną unifikację. Jednak z czasem zaczęły narastać różnice, a odmienne doświadczenia miały wpływ również na przebieg roku 1989 w poszczególnych państwach.

WĘGRY: długi koniec „gulaszowego komunizmu”

Węgierski przywódca János Kádár został wyniesiony do władzy dosłownie na sowieckich czołgach, które krwawo stłumiły rewolucję 1956 r. Pierwsze lata jego rządów były czasem odwetu. Dziesiątki osób zginęły w czasie pacyfikacji demonstracji, 228 stracono (w tym premiera Imre Nagya), 26 tys. skazano na więzienie, 13 tys. internowano.

Po kilku latach Kádár ogłosił jednak politykę „konsolidacji”, opartą na zasadzie „kto nie jest przeciwko nam, jest z nami”. Stopniowo zwalniano więźniów politycznych, choć część z nich odbywała karę jeszcze w latach 70. Liberalizacja odczuwalna była wyraźnie w życiu kulturalnym i nauce.

Ale fundamentem „gulaszowego komunizmu”, jak ochrzczono ten fenomen, była reforma gospodarcza. W 1968 r. w życie wszedł „nowy model ekonomiczny”: zdecentralizowano zarządzanie, podzielono większe kombinaty, wprowadzono elementy wolnego rynku, zwłaszcza w relacjach między przedsiębiorstwami, czę-

ściowo uwolniono ceny. Choć odejście od pryncypiów marksizmu-leninizmu przynosiło wyraźne efekty, partyjny „beton" po kilku latach wymusił częściowy odwrót od reform. Ich kolejna faza, obejmująca m.in. ułatwienia dla inwestycji zagranicznych, nastąpiła na przełomie lat 70. i 80.

Niezależnie od zmiennych losów polityki gospodarczej, kurs Kádára przynosił efekty. Nastroje ustabilizowały się, zapomniano o nadziejach z 1956 r. Do nielicznych przejawów oporu należały demonstracje uczniów i studentów w rocznicę rewolucji 1848 r. (największe w 1973 r.). Pewne ożywienie działalności opozycyjnej przyniosło dopiero powstanie Karty 77 w Czechosłowacji (i represje przeciw jej uczestnikom), a zwłaszcza wydarzenia w Polsce począwszy od lata 1980 r. Rok później zaczęło się ukazywać czołowe pismo węgierskiego drugiego obiegu: „Beszélő".

Z polskiej perspektywy Węgry w połowie lat 80. mogły się zdawać krajem miodem i mlekiem płynącym. Ale realia były inne. Mimo kolejnych reform, w tym ułatwień dla sektora prywatnego, spadały poziom inwestycji, produkcja i konsumpcja. Zadłużenie zagraniczne sięgnęło 70 proc. PKB (ponad 19 mld dolarów). Kraj był na krawędzi bankructwa. Drugim zaś, obok kryzysu, czynnikiem wspierającym krystalizację opozycji była kwestia losów Węgrów w ościennych państwach, zwłaszcza w Rumunii. Doprowadziła do pierwszych od 30 lat masowych protestów.

Począwszy od 1987 r. powstawały już liczne grupy opozycyjne. Największe znaczenie zyskały Węgierskie Forum Demokratyczne (MDF), Związek Młodych Demokratów (Fidesz) i Związek Wolnych Demokratów (SzDSz). W odpowiedzi władze wykonały szereg gestów symbolicznych i realnych. W czerwcu 1987 r. premierem został Károly Grósz; rok później zastąpił Kádára w roli szefa partii. Zaostrzono politykę wobec Rumunii, w bezprecedensowym ruchu przyznając grupie siedmiogrodzkich Węgrów obywatelstwo. Nowym premierem został młody reformator Miklós Németh. Równouprawniono prywatny sektor w gospodarce, większość cen uwolniono. Już na przełomie lat 1988/89 wprowadzono wolność zrzeszania się, w tym tworzenia partii politycznych.

Ale wszystkie te kroki, które jeszcze niedawno miałyby rewolucyjny charakter, nie mogły zatrzymać wzrostu poparcia dla opozycji. Pod wpływem wydarzeń w Polsce, w marcu 1989 r. także w Budapeszcie zainicjowano obrady okrągłego stołu. Ale ponieważ władze chciały rozmawiać tylko z „konstruktywną" opozycją, ostatecznie stał się on platformą współpracy tej ostatniej. Rozmowy z komunistami przesunięto na później.

Walcząc o zatrzymanie spadku poparcia społecznego, reformatorskie skrzydło partii otworzyło dyskusję na temat oceny roku 1956. Jej kulminacją stał się uroczysty pogrzeb Nagya i jego towarzyszy (po egzekucjach pogrzebano ich w anonimowych dołach). 16 czerwca w Budapeszcie zgromadziło się ćwierć miliona ludzi. Przemawiał m.in. młody lider Fideszu, Viktor Orbán: wezwał do wycofania wojsk sowieckich, przekraczając w ten sposób kolejną barierę mentalną, swoiste samoograniczenie opozycji.

Tymczasem zaczęły się negocjacje, ostatecznie toczone przy „trójkątnym stole". Nazwa odnosiła się nie tylko do kształtu mebla, lecz też udziału w nich organizacji społecznych (głównie związanych z władzą). Obrady zakończono we wrześniu 1989 r., a podstawowym ich rozstrzygnięciem była zapowiedź wolnych wyborów parlamentarnych i prezydenckich. Kwestia daty tych ostatnich podzieliła opozycję; SzDSz i Fidesz zbojkotowały uroczystość podpisania porozumienia.

Podziały nie ominęły też komunistów, od października przemianowanych na socjalistów. Jednym z pól starcia między reformatorami i „betonem" stał się los powołanej po 1956 r. partyjnej bojówki – Straży Robotniczej. Symbolicznie rozwiązano ją 23 października 1989 r. (w rocznicę wybuchu powstania). Ale także ujawnienie dramatycznego stanu gospodarki niewiele mogło już pomóc. W przeprowadzonym w listopadzie referendum (dotyczyło m.in. kwestii kolejności wyborów parlamentarnych i prezydenckich), triumf odniosło radykalne skrzydło opozycji.

Postkomunistów ostatecznie pogrążyła afera „Dunagate", czyli ujawnienie skali inwigilacji ugrupowań opozycyjnych. W wyborach z przełomu marca i kwietnia 1990 r. otrzymali niewiele ponad 10 proc. głosów. Na czele nowego rządu stanął József Antall (lider MDF), a prezydentem wybrano Árpáda Göncza (SzDSz).

NRD: od Lipska do zjednoczenia

Jedyny masowy bunt społeczny w dziejach Niemieckiej Republiki Demokratycznej miał miejsce w czerwcu 1953 r.; system ocaliła wtedy interwencja armii sowieckiej. Liderzy Socjalistycznej Partii Jedności ↦

PATRICK ROBERT / CORBIS / GETTY IMAGES

Tajniacy z Securitate prowadzą zatrzymanego demonstranta. Podczas walk, które w grudniu 1989 r. towarzyszyły obaleniu dyktatury, w Rumunii zginęły setki ludzi.

↦ Niemiec (SED) wyciągnęli z tego doświadczenia wnioski. Z jednej strony systematycznie rozbudowywano system kontroli społeczeństwa, na czele z wszechwładną Stasi. Z drugiej – ostrożnie prowadzono politykę gospodarczą, dbając o to, by wierność ustrojowym pryncypiom nie była osiągana za cenę obniżenia poziomu życia.

Bardzo długo jedyną formą biernego oporu były masowe ucieczki na Zachód. Ale choć po budowie muru berlińskiego (sierpień 1961 r.) stały się bardzo trudne, co roku kilka tysięcy ludzi znajdowało sposób, by opuścić „państwo robotników i chłopów". Z czasem jednak liczba ucieczek spadała. Spowodowane było to lepszą kontrolą, represjami, ale też stabilizacją systemu i przystosowaniem mieszkańców NRD do znośnych warunków egzystencji.

Przejawy otwartego oporu były rzadkie (najwięcej w 1968 r., po stłumieniu Praskiej Wiosny). Jego ożywienie przyniosła banicja znanego pieśniarza Wolfa Biermanna, któremu w 1976 r. nie pozwolono wrócić z występów w RFN do NRD. Spektakularnym, acz odosobnionym przypadkiem było w tymże roku samospalenie pastora Oskara Brüsewitza (protestował przeciw ateizacji młodzieży).

Ale mimo braku opozycji, liczba więźniów politycznych pozostawała na stabilnym i całkiem wysokim poziomie. Źródłem tej sytuacji były... potrzeby gospodarcze. Republika Federalna płaciła bowiem żywą gotówką za kolejnych skazanych. Do 1989 r. „wyeksportowano" tak prawie 34 tys. więźniów, których łącznie wyceniono, z podziwu godną precyzją, na 3 340 900 755 marek i 12 fenigów (oczywiście marek zachodnich).

Relacje między dwoma państwami niemieckimi z czasem zyskiwały na znaczeniu. Rządzący od 1971 r. Erich Honecker dążył do ostrożnego zbliżenia z zachodnim sąsiadem, starając się utrzymać najwyższy w całym bloku wschodnim poziom życia ludności. Poprawie uległy relacje z Kościołem ewangelickim. Paradoksalnie, ta polityka uczyniła go jednym z najbardziej zagorzałych wrogów przemian w Polsce w latach 1980-81: obawiając się buntu własnego „betonu", lider SED optował za rozwiązaniem siłowym (napotykając na opór m.in. Kádára i Ceaușescu).

Potem, w drugiej połowie lat 80., w NRD stopniowo ożywiały się środowiska opozycyjne i niezależne. Pojawiły się grupy pacyfistyczne, ekologiczne i artystyczne, a także pisma bezdebitowe. Mimo nowej polityki wobec protestantyzmu (w tym przychylności wobec Roku Lutra w 1983 r.), wsparcia tym działaniom udzielały gminy protestanckie.

FAUSTO GIACCONE / ANZENBERGER / FORUM

Demonstranci w Pradze 27 listopada 1989 r. Był to przełomowy moment czechosłowackiej „aksamitnej rewolucji": strajk generalny w całym kraju zmusił komunistów do ustępstw.

Na ożywienie opozycji wpływ miały zarówno wydarzenia w Polsce, jak i proklamowana przez Gorbaczowa pierestrojka. Tę ostatnią Honecker uznał za zagrożenie, doszło nawet do nietypowej sytuacji: jesienią 1988 r. zakazano kolportażu w NRD sowieckiego pisma „Sputnik". W odróżnieniu od Polski i Węgier, w NRD nie myślano o żadnej kontrolowanej liberalizacji, mimo oznak narastającego kryzysu (także w gospodarce).

W maju 1989 r. w NRD zorganizowano „wybory" komunalne. Nie różniły się od poprzednich: ogłoszono niemal stuprocentowe poparcie dla kandydatów wystawionych przez władze. Ale tym razem opozycja – obserwująca konkurencyjne wybory w Związku Sowieckim (luty 1989) i zapowiedź częściowo wolnych wyborów w PRL – podważyła wyniki i otwarcie protestowała.

Sytuacja wyrwała się spod kontroli władz w początkach września. Węgry ogłosiły otwarcie granicy z Austrią dla tysięcy obywateli NRD, pragnących dostać się na Zachód i od tygodni oczekujących nad Dunajem na taką decyzję. Wschodni Niemcy zagłosowali nogami (a raczej kołami trabantów i wartburgów): przez tę „furtkę" w ciągu kilku tygodni na Zachód udały się dziesiątki tysięcy ludzi. Kolejne tysiące okupowały ambasady RFN w Pradze i Warszawie. Decyzja o zawieszeniu ruchu bezwizowego z krajami bloku przyszła zbyt późno.

Równocześnie z tygodnia na tydzień nasilały się demonstracje, organizowane od początku września w Lipsku. W każdy poniedziałek po nabożeństwie w kościele św. Mikołaja na ulice wychodziły najpierw setki, potem tysiące, a wkrótce dziesiątki tysięcy. Nie wołali już, że chcą opuścić NRD. Mottem Jesieni Ludów w NRD stało się lipskie hasło: „Wir sind das Volk!" (To my jesteśmy narodem!). W październiku manifestacje rozlały się na cały kraj, nawet na miasteczka i wioski. Powstały organizacje opozycyjne: Nowe Forum i Demokracja Teraz. Dymisja Honeckera (17 października) nie zmieniła sytuacji, podobnie jak późniejsze ustąpienie rządu i członków władz SED.

Puntem zwrotnym, oznaczającym definitywny początek końca reżimu, był upadek muru berlińskiego. 9 listopada członek kierownictwa SED Günter Schabowski zapowiedział na konferencji prasowej zniesienie ograniczeń w podróżowaniu. Zaskoczony pytaniem dziennikarza o termin wejścia tej decyzji w życie, odpowiedział, iż staje się to natychmiast. Kilka godzin później nikt już nie był w stanie powstrzymać tłumów, które ruszyły na granicę z Berlinem Zachodnim.

Skutkiem upadku muru stało się, już kilka tygodni później, wysunięcie na plan pierwszy – najpierw przez demonstrantów, którzy teraz wołali „Wir sind ein Volk!" (Jesteśmy jednym narodem) – nowego postulatu: zjednoczenia Niemiec. Jednak nie były tym zainteresowane obie strony, negocjujące od 7 grudnia przy okrągłym stole, w tym większość opozycji. Decyzja, by 18 marca 1990 r.

AFP / EAST NEWS

Uroczysty pogrzeb Imre Nagya i jego towarzyszy – straconych po powstaniu 1956 r. i pochowanych wtedy anonimowo – zgromadził w stolicy Węgier ćwierć miliona ludzi. Budapeszt, 16 czerwca 1989 r.

przeprowadzić wolne wybory, w efekcie przyspieszyła dynamikę zdarzeń: chadecja, głosząca hasło zjednoczenia i wsparta przez kanclerza Kohla, otrzymała ponad 40 proc. głosów i utworzyła pierwszy i ostatni w dziejach NRD rząd wybrany faktycznie przez obywateli. Nieco ponad pół roku później, na mocy uzgodnień międzynarodowych i umowy między oboma państwami, doszło do zjednoczenia. NRD przeszła do historii.

BUŁGARIA: przewrót pałacowy

Todor Żiwkow rządził niepodzielnie w Bułgarii od 1954 r. Opozycja nie istniała, dochodziło jedynie do odosobnionych protestów ekonomicznych. Jedyny głos krytyki docierał na falach Radia Wolna Europa. W 1978 r. dyktator otrzymał specyficzny „prezent" w dniu urodzin: w Londynie agent KGB zamordował pisarza Georgi Markowa, jednego z bułgarskich publicystów Wolnej Europy.

Nie mogąc rozwiązać rosnących problemów ekonomicznych, w połowie lat 80. bułgarscy komuniści sięgnęli po nacjonalizm. W toku tzw. „procesu odrodzenia" mniejszość turecką zmuszano do zmiany nazwisk i porzucenia swej kultury. W odpowiedzi na akty oporu nasilono represje, a ostatecznie w 1989 r. ponad 300 tys. osób wygnano z kraju.

Gospodarka Bułgarii uzależniona była od sowieckiego wsparcia, głównie dostaw taniej ropy. Nie dziwi więc, że stary dyktator nie polemizował z pomysłami Gorbaczowa, lecz przynajmniej formalnie zaczął je wdrażać. Pierestrojkę zastąpił „reorganizacją", kierownictwo partii potępiło „deformacje" systemu, dyskutowano o potrzebie demokratyzacji. W początkach 1989 r. przyjęto nawet ustawę dopuszczającą prywatną działalność gospodarczą i inwestycje zagraniczne.

Choć wszystko to byłą grą pozorów, wraz z informacjami o zmianach w polityce Moskwy doprowadziło do pojawienia się pierwszej od dekad organizacji opozycyjnej: Niezależnego Stowarzyszenia Obrony Praw Człowieka (1988 r.). Po kilkunastu miesiącach grupa ta została jednak przejęta przez osoby związane z władzą. Więcej szczęścia (pewnie nieprzypadkowo) miał powołany w listopadzie 1988 r. Klub Pierestrojki. Jeden z jego liderów, Żeliu Żelew, wkrótce stał się najbardziej znanym dysydentem. W początkach 1989 r. został zaproszony na spotkanie z prezydentem Francji François Mitterandem podczas jego wizyty w Sofii.

Zagadnieniem, które było w stanie mobilizować choćby część opinii publicznej w Bułgarii, była ochrona środowiska. Pierwsze publiczne protesty dotyczyły skażenia powietrza w przemysłowym mieście Ruse, gdzie problemem były zakłady po rumuńskiej stronie granicy. W kwietniu 1989 r. pojawiła się organizacja Ekogłasnost – odwołanie do jednego z haseł Gorbaczowa nie było przypadkowe.

Jednak rodząca się opozycja (powstał jeszcze m.in. niezależny związek zawodowy „Podkrepa") nie była w stanie doprowadzić do zmiany. Natomiast było to w zasięgu grupy młodszych o pokolenie od Żiwkowa działaczy partyjnych, na czele z Petyrem Mładenowem. Żiwkow próbował się bronić, w maju nastąpiły aresztowania członków opozycji, znów odwołano się do antytureckich sentymentów. Ale wymuszona emigracja setek tysięcy ludzi skompromitowała ostatecznie reżim na arenie międzynarodowej.

Na przełomie października i listopada w Sofii opozycja zorganizowała Ekoforum, poświęcone nie tylko ochronie środowiska, ale też kwestii zmian politycznych. Na jego zakończenie 3 listopada zorganizowano manifestację z udziałem 5 tys. osób. Te działania opozycji uaktywniły partyjnych rywali Żiwkowa, którzy cieszyli się wsparciem Moskwy. Dyktator odwołał się do plenum Komitetu Centralnego partii, jednak tuż przed posiedzeniem, planowanym na 10 listopada, został odwołany przez członków Biura Politycznego. Nowym gensekiem został Mładenow.

Gdyby cała historia zakończyła się w tym momencie, byłaby modelowym przykładem udanej operacji zmiany – pod nadzorem Moskwy – kierownictwa partii na proreformatorskie. Jednak, podobnie jak w innych państwach (i pod wpływem zachodzących w nich wydarzeń), dokonała się zbyt późno. Zamiast uspokoić nastroje, doszło do ich ożywienia. Powstawały nowe grupy opozycyjne, Bułgarzy śmielej wychodzili na ulice. W grudniu największe organizacje opozycyjne skupiły się w Związku Sił Demokratycznych.

W styczniu 1990 r. zaczęły się obrady bułgarskiego okrągłego stołu. W ich trakcie partia komunistyczna przemianowała się na socjalistyczną. Negocjacje zakończyły się maju 1990 r., a głównym postanowieniem były wolne wybory. Odbyły się w czerwcu i wygrali je postkomuniści, zdobywając 57 proc. głosów. Dla uspokojenia nastrojów i uwiarygodnienia przed Zachodem nowym prezydentem wybrano Żelewa. Wychodzenie z komunizmu miało potrwać jeszcze wiele lat.

CZECHOSŁOWACJA: „aksamitna rewolucja"

Był rok 1962, gdy na polecenie władz w Pradze wysadzono górujący nad miastem pomnik Stalina. Był to symbol spóźnionej destalinizacji, wymuszonej zresztą przez Moskwę. Sześć lat później zaczęła się Praska Wiosna: unikalny eksperyment odgórnych reform, prowadzonych przez partię komunistyczną na czele z Alexandrem Dubčekiem. Ale zniesienie cenzury czy osłabienie aparatu bezpieki były nie do zaakceptowania przez większość ↦

↦ liderów innych państw bloku, także sowieckiego – Leonida Breżniewa.

Interwencja wojsk Układu Warszawskiego 21 sierpnia 1968 r. wywołała masowy opór społeczny, z udziałem większości działaczy partyjnych. Ale sprzeciw systematycznie słabł, a w 1969 r. – już pod przywództwem nowego lidera Gustáva Husáka – proklamowano początek „normalizacji". Jej pierwszą oznaką były masowe represje, ale z czasem na plan pierwszy zaczęła wysuwać się niepisana umowa: w zamian za rezygnację z polityki społeczeństwo uzyskało stosunkowo dobry poziom życia.

Rozczarowanie po klęsce nadziei rozbudzonych w 1968 r. było tak silne, że dekadę później pod Kartą 77 początkowo podpisały się tylko 242 osoby (do listopada 1989 r. – mniej niż 1900). Za to rządową „anty-Kartę" sygnowało ponad 7 tys. czeskich i słowackich twórców kultury.

Mimo represji opozycja przetrwała, ale była na marginesie. Dopiero w drugiej połowie lat 80. pojawiły się nowe organizacje opozycyjne, aktywizował się też Kościół. W 1988 r. doszło do szeregu manifestacji, w tym w Bratysławie, na ogół spokojnej. Masowy charakter przybrały protesty w Pradze w styczniu 1989 r., związane z rocznicą samospalenia Jana Palacha. Ale większość społeczeństwa wciąż pozostawała nieufna, pamiętając o epilogu Praskiej Wiosny. Nawet zmiany w Polsce i na Węgrzech nie przekonały Czechów i Słowaków, że tym razem proces jest nieodwracalny.

Przełomem stał się dopiero upadek muru berlińskiego, a pacyfikacja manifestacji studentów 17 listopada zaczęła „aksamitną rewolucję". Strajki i demonstracje rozlały się na cały kraj, a koordynowały je nowo powstałe czeskie Forum Obywatelskie i słowackie Społeczeństwo Przeciw Przemocy.

Strajk generalny 27 listopada zmusił komunistów do ustępstw. Doszło do radykalnych zmian w kierownictwie partii, powołania nowego rządu z udziałem opozycji, a 10 grudnia Husák ustąpił z funkcji prezydenta. Kilka tygodni później na stanowisko to komunistyczny parlament wybrał Václava Havla.

Proces upadku systemu zakończyły wolne wybory z czerwca 1990 r., w których komuniści uzyskali niewiele ponad 13 proc. Za to nieplanowanym dzieckiem „aksamitnej rewolucji" miał stać się podział Czechosłowacji, dokonany 1 stycznia 1993 r.

RUMUNIA: krwawy koniec, jeszcze krwawszy początek

Nicolae Ceaușescu przeszedł do historii jako szalony dyktator komunistycznej Rumunii. Warto jednak pamiętać, że przejęciu przez niego władzy w 1965 r. towarzyszyły wielkie nadzieje. Ogłoszono amnestię, manifestowano niezależność od Moskwy. Jednocześnie trwał boom gospodarczy. 21 sierpnia 1968 r. Ceaușescu wygłosił do wielotysięcznego tłumu płomienne przemówienie, zapowiadając obronę kraju w razie interwencji sowieckiej. Z dnia na dzień stał się bohaterem, a także miłym gościem na zachodnich salonach.

Z czasem jednak „Geniusz Karpat" zaczął tracić kontakt z realiami. Natrętna propaganda, czyniąca zeń spadkobiercę liczącej 2500 lat rumuńskiej historii (licząc od starożytnych Daków), była jeszcze najmniej szkodliwym elementem jego polityki. W gospodarce promował autarkię, dążąc do szybkiej spłaty kredytów zagranicznych. W latach 80. zaczął ambitny projekt przebudowy centrum Bukaresztu, na czele z budową gigantycznego Domu Ludu. Koszty ponosiło żyjące w nędzy społeczeństwo. Brakowało podstawowych produktów, częste były przerwy w dostawie prądu i ciepła. Innym pomysłem była „systematyzacja wsi": polegała na przesiedlaniu chłopów do bloków. Miała uwolnić pod zasiew tereny zajmowane przez ich domy. W rzeczywistości przyniosła zniszczenie tradycyjnych społeczności, i tak dotkniętych kolektywizacją.

Wszystkie te działania nie napotykały na szerszy opór, co wynikało z braku opozycji i aktywności bezpieki – osławionej Securitate. Bunt ludności Braszowa w 1987 r. szybko stłumiono. Ceaușescu, który za największe zagrożenie uważał reformatorskie zapędy Gorbaczowa, przez pewien czas skutecznie eliminował zwolenników pierestrojki. Niepokoiły go też wydarzenia w innych państwach bloku. O ile w latach 1980-81 oponował przeciw interwencji w Polsce, latem 1989 r. sam zaczął to postulować.

W grudniu 1989 r. władze usunęły z parafii w Timișoarze węgierskiego pastora László Tőkésa, sprawiającego im od dawna problemy. Wystąpienie ludności w jego obronie krwawo spacyfikowało wojsko. Mimo dziesiątków zabitych kontynuowano strajk, a 20 grudnia powstał Rumuński Front Demokratyczny. Tego dnia Ceaușescu wrócił z wizyty w Iranie – i postanowił odwołać się do triumfu z 1968 r. Nakazał na 21 grudnia zwołać wielki wiec przed Komitetem Centralnym. Szybko jednak stracił kontrolę nad tłumem. Wybuchły walki, zginęły dziesiątki osób.

Następnego dnia Ceaușescu uciekł ze stolicy. Nie zakończyło to jednak tragedii. Wieczorem 22 grudnia powołano Front Ocalenia Narodowego, na czele z odsuniętym wcześniej na boczny tor działaczem partyjnym Ionem Iliescu. Ale mimo aresztowania i rozstrzelania Ceaușescu oraz jego żony Eleny, starcia trwały dalej; zginęły setki osób.

Przez wiele lat historycy i dziennikarze wysuwali hipotezę, że walki te były potrzebne ekipie Iliescu dla uwiarygodnienia się przed społeczeństwem. Kilka tygodni temu przekonanie to potwierdziła rumuńska prokuratura, oskarżając Iliescu i jego współpracowników o popełnienie w grudniu 1989 r. zbrodni przeciw ludzkości.

Wtedy natomiast ten brutalny plan przyniósł ekipie Iliescu wymierne korzyści. W maju 1990 r. postkomuniści pewnie wygrali wybory parlamentarne i prezydenckie (Iliescu otrzymał 85 proc. głosów). Z opozycją rozprawiano się przy pomocy górników uzbrojonych w pałki (tzw. mineriady). Odsunięcie dawnych komunistów od władzy miało zająć jeszcze wiele lat.

Wiele czynników, jeden efekt

Na proces upadku systemu komunistycznego w poszczególnych państwach składało się, jak widzimy, wiele czynników. Odnajdujemy wśród nich kryzys gospodarczy (przybierający różne formy), działalność opozycji, naciski Moskwy na zmiany, a także jej bezpośrednie ingerencje. Nie bez znaczenia była też polityka Waszyngtonu, nauczanie Jana Pawła II czy wpływ wydarzeń w Polsce, począwszy od Sierpnia '80.

Wszystkie te składniki utworzyły mieszankę wybuchową, która ostatecznie wysadziła fundamenty świata tzw. realnego socjalizmu. W ostatecznym rozrachunku nie miało już znaczenia, czy lokalni liderzy partyjni sami próbowali iść drogą reform, czy też ich powstrzymywania. Komunizm zniknął z mapy Europy. Oby na zawsze. © ŁUKASZ KAMIŃSKI

DR ŁUKASZ KAMIŃSKI (ur. 1973) jest historykiem, pracownikiem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 2009-11 dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, 2011-16 prezes IPN.

Pobojowisko po masakrze: okolice placu Tiananmen w Pekinie, 4 czerwca 1989 r.

PETER CHARLESWORTH / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

Czerwcowa amnezja

MARCIN KACZMARSKI

Technologie informatyczne pozwalają władzom Chin wychwytywać słowa i frazy, które mogą przywołać skojarzenia ze skazaną na zapomnienie datą 4 czerwca 1989 r.

Tajemnicza mgła pozbawia pamięci mieszkańców wysp brytyjskich w VI wieku – Celtów i Saksonów. Wywołana przez czarnoksiężnika Merlina, jest podtrzymywana przez smoka imieniem Querig i broniona przez Sir Gawaina, ostatniego rycerza okrągłego stołu, dawnego towarzysza króla Artura. W powieści Kazuo Ishiguro „Pogrzebany olbrzym" amnezja ta jest sposobem na społeczny pokój i przerwanie kręgu zemsty – po tym, jak Celtowie wymordowali Saksonów mimo zawartego rozejmu.

Taka amnezja, tylko bardziej wybiórcza, panuje dziś w Chinach wobec wydarzeń sprzed 30 lat na głównym placu w Pekinie: placu Tiananmen (Bramy Niebiańskiego Pokoju). Jej intencje są jednak mniej szlachetne – służą utrzymaniu przy władzy Komunistycznej Partii Chin (KPCh) i kontroli nad społeczną pamięcią.

Amnezja obejmuje wiele aspektów. W jej cieniu są studenci i ich protest, ich ofiara i postulaty, ale też figury z wierzchołka establishmentu: byli sekretarze generalni KPCh, Hu Yaobang i Zhao Ziyang. Zaawansowane technologie informatyczne przydają się do tego celu. Pozwalają wychwycić takie hasła jak „szósty czwarty", a także inne słowa i frazy, które mogą przywołać skojarzenia z datą 4 czerwca 1989 r.

Protesty na placu Tiananmen trwały niecałe dwa miesiące, a mimo to stały się symbolem aspiracji społeczeństwa Chin do innego modelu politycznego niż ten wprowadzany od 1949 r. Ukazały też stopień determinacji partii komunistycznej w utrzymaniu władzy.

Podzielona partia

Przez ostatnie kilka lat, śledząc wieści z Chin, przywykliśmy do obrazu dominującego lidera. Xi Jinping, sprawujący władzę od 2012 r., łączy funkcje sekretarza generalnego KPCh, przewodniczącego (prezydenta) ChRL i przewodniczącego Centralnej Komisji Wojskowej. Najważniejsza jest ta pierwsza: daje mu kontrolę nad partią, liczącą 89 mln członków. Xi jest twarzą partii – w kraju i świecie.

Ale nie zawsze tak było. Przez dekady funkcja sekretarza generalnego KPCh nie gwarantowała pełni władzy, a momentami była wręcz niebezpieczna.

Spór o kierunek rozwoju Chin toczył się między „twardogłowymi" a „reformatorami" od śmierci twórcy państwa Mao Zedonga w 1976 r. W latach 80. na czele KPCh stało dwóch reformatorów, którzy okazali się jednak zbyt radykalni dla większości partyjnej i nieoficjalnego lidera Deng Xiaopinga, formalnie pełniącego drugoplanowe role. Hu Yaobang pełnił funkcję sekretarza generalnego do 1987 r., gdy pierwsza fala studenckich protestów została wykorzystana przez jego oponentów do odsunięcia go od władzy. Zastąpił go Zhao Ziyang, który w krytycznym momencie nie zdołał przekonać swych towarzyszy, że kolejne protesty studenckie – na placu Tiananmen, wiosną 1989 r. – nie zagrażają politycznemu monopolowi KPCh (po ich stłumieniu Zhao trafił do aresztu domowego i przebywał w nim do śmierci w 2005 r.).

Chiny po śmierci Mao

Protesty na placu Tiananmen zaczęły się w przełomowym momencie historycznym.

Z jednej strony jeszcze nic nie było przesądzone. W Polsce dopiero kończył się Okrągły Stół. Mur berliński wciąż stał. Prezydent USA George Bush nie ufał Michaiłowi Gorbaczowowi i wyhamował tempo współpracy, zainicjowanej w ostatnich latach rządów Ronalda Reagana. Związek Sowiecki wciąż istniał i mało kto wierzył w jego rychły upadek. ↦

↦ Jednocześnie przemiany zapoczątkowane przez Gorbaczowa nabierały rozmachu i znaczenia międzynarodowego. Zimna wojna odchodziła w przeszłość. Sowiecki przywódca zrezygnował z leninowskiej tezy o nieuchronności konfliktu świata kapitalistycznego i sowieckiego. Seria umów o kontroli zbrojeń przyczyniła się do budowy zaufania między supermocarstwami. Co więcej, Gorbaczow dawał do zrozumienia, że także kraje Europy Środkowej powinny podejmować reformy (choć jego celem nie była rzecz jasna likwidacja systemu, lecz jego zreformowanie).

Tymczasem chińskie reformy wyprzedzały pierestrojkę niemal o dekadę. Oficjalnie zapoczątkowane w 1978 r., zaczęły się tuż po śmierci Mao. Choć skoncentrowane na gospodarce, pociągały konsekwencje polityczne. Większa wolność działalności ekonomicznej oznaczała wzrost wolności w ogóle. Pojawiały się pytania o *finalité*: dokąd mają prowadzić? Jaki kształt systemu polityczno-ekonomicznego ma zastąpić dotychczasowy model?

Ale choć pierwsze reformy gospodarcze przyniosły duże efekty, końcówka lat 80. zaowocowała z jednej strony stagnacją, z drugiej rosnącymi aspiracjami i przekonaniem, że system może ewoluować w kierunku większej wolności.

Protest

Zapłonem dla nowej fali protestów stała się śmierć Hu Yaobanga w kwietniu 1989 r. Dzień przed pogrzebem 100 tys. studentów zjawiło się na placu Tiananmen. Postulaty protestujących były w większej mierze skierowane przeciw sytuacji w partii niż przeciw partii jako takiej. W tym sensie był to protest raczej przeciw „wypaczeniom socjalizmu" niż „za demokracją". Jednym z głównych problemów była wtedy korupcja. Reformy realizowano zgodnie z maksymą Denga, że najpierw trzeba pozwolić bogacić się nielicznym. Poprawa sytuacji ekonomicznej wiązała się ze wzrostem nierówności i napięć społecznych.

Jak to w przypadku rewolucji bywa, reakcje władz przyczyniły się do zwielokrotnienia protestu. Komentarz organu partii „Dziennika Ludowego" z 26 kwietnia oskarżał studentów o napędzanie chaosu i uznał ich za antypartyjną rewoltę. Takie podejście jedynie zradykalizowało ruch studencki. Do postulatów dołączyły żądania wycofania komentarza i odrzucenia jego tez przez władze partyjne. W maju część studentów ogłosiła strajk głodowy, swego rodzaju moralny apel do współobywateli.

Wizyta Gorbaczowa w Pekinie, w połowie maja, pokazała skalę poparcia dla żądań reform w ChRL. Gorbaczow był fetowany jak żaden inny lider Związku Sowieckiego – kraju, z którym Chiny pozostawały w stanie zimnej wojny od dwóch dekad. 17 maja ponad milion ludzi maszerowało w Pekinie. Z protestującymi studentami spotykali się zarówno przedstawiciele skrzydła „twardogłowych" (np. premier Li Peng), jak i „reformatorzy", w tym sekretarz generalny KPCh Zhao Ziyang. Jednocześnie od połowy maja władze przygotowywały stan wojenny, sprowadzając do Pekinu jednostki wojskowe.

Formalnie stan wojenny ogłoszono 20 maja, ale na razie nie sięgnięto po siłę. Tymczasem, wobec narastającej presji, protestujący byli podzieleni w kwestii dalszej taktyki. 27 maja zapadła decyzja, by skończyć protest, ale szybko została odwołana. W obozie studenckim rosło przekonanie, że kontynuacja protestu nie jest tylko problemem politycznym, lecz nabiera charakteru moralnego. Dla wielu protestujących partia utraciła „mandat nieba": legitymację do sprawowania władzy. Nastroje się radykalizowały. Mieszkańcy Pekinu, robotnicy, nauczyciele i przedstawiciele innych profesji dołączali do demonstrantów.

Także charakter postulatów się zmieniał. Protest przeciw korupcji i niesprawiedliwości ewoluował w kierunku żądań demokratyzacji i ograniczenia władzy KPCh. Jednym z kluczowych postulatów stała się legalizacja samorządnego związku studenckiego. Tym samym studenci podważali monopol partii na kontrolę całości życia społeczno-politycznego.

Ofiary

Armia zaatakowała nocą z 3 na 4 czerwca. Użycie wojska przeciw własnemu społeczeństwu (nieuzbrojonym ludziom) w pewnym sensie nie powinno zaskakiwać. Chiny są tym wyjątkowym dziś krajem, w którym siły zbrojne są podporządkowane partii, stanowią jej zbrojne ramię. Wojsko nie służy społeczeństwu ani państwu – jego zadaniem jest w pierwszym rzędzie obrona partii komunistycznej.

Liczba ofiar do dziś jest nieznana. Prawdopodobnie sięgnęła kilku tysięcy zabitych, choć depesze ambasady brytyjskiej, ujawnione w 2017 r., mówiły o 10 tys. zabitych. Najsłynniejszym symbolem jest dziś zrobione 5 czerwca zdjęcie anonimowego mężczyzny z zakupami, który stając przed czołgiem, zatrzymuje pancerną kolumnę [patrz też tekst w dziale kultury – red.]. Nikt nie wie, jaki był jego los. Protesty solidarnościowe, które miały miejsce w innych częściach Chin, szybko stłumiono.

Dla świata masakra na placu Tiananmen stała się symbolem totalitarnej polityki KPCh. Zarazem, wbrew oczekiwaniom, chiński system – w przeciwieństwie do Sowietów i Europy Środkowej – nie załamał się. Po kilku latach niepewności Deng Xiaoping nadał kolejny impuls do zmian podczas tzw. podróży na południe, w wyniku której Chiny otworzyły się na zagraniczne inwestycje i powiększyły pole dla aktywności ekonomicznej. Wzrost zamożności społeczeństwa miał stać się sposobem na odzyskanie nadwerężonej legitymacji.

Mgła

Rodziny ofiar zwykle nadal nie wiedzą, gdzie pochowano ich bliskich. A ci, którzy wiedzą, nie mogą odwiedzać ich grobów w okolicach kolejnych rocznic. Aktywiści, którzy próbują przypominać o Tiananmen lub apelują do władz o zmianę polityki, w okolicy 4 czerwca są odwiedzani i śledzeni przez policję, trafiają do aresztu domowego albo (ci znaczący) na przymusowe wakacje, wywożeni z dala od Pekinu i od zachodnich dziennikarzy.

Oficjalną interpretację wydarzeń narzucił Deng Xiaoping, występując 9 czerwca 1989 r.: stwierdził, że władze stłumiły kontrrewolucyjną rebelię. Ale już po kilku latach władze KPCh zaczęły rezygnować ze wspominania Tiananmen nawet jako owej „kontrrewolucji". Uznano, że lepiej, aby protest w ogóle zniknął ze świadomości społecznej. Temat przestał istnieć w podręcznikach i mediach drukowanych.

Obecnie „wielki mur chiński", przy pomocy którego władze odcinają obywateli od globalnego internetu, stał się najważniejszym narzędziem podtrzymywania tej amnezji. Wszelkie odniesienia są kasowane przez cenzorów. W dniu 4 czerwca nawet słowo „dzisiaj" może trafić na listę słów zakazanych.

Amnezja okazuje się wszechogarniająca. A wraz z aspiracjami mocarstwowymi Pekinu, władze chińskie starają się ograniczać pamięć o 4 czerwca także poza granicami Chin. Zachodni badacze pracujący z chińskimi studentami wskazują, że niewielu z nich potrafi dziś rozpoznać zdjęcia z 1989 r. i mało kto z nich wie, co się stało 30 lat temu. © MARCIN KACZMARSKI

Pogrzeb stulecia

WOJCIECH JAGIELSKI

4 czerwca 1989 roku, już po masakrze na placu Tiananmen, a przed wyborami w Polsce, w Teheranie pochowano Chomejniego, przywódcę jednej z ważniejszych rewolucji, w jakie obrodził wiek XX.

CHRISTOPHE SIMON / AFP / EAST NEWS

Tłumy usiłują dotknąć sarkofagu, w którym spoczął ajatollah Chomejni. Teheran, 7 czerwca 1989 r.

Ruhollah Chomejni umarł dzień wcześniej. Miał prawie 90 lat i od dawna niedomagał, ale jego choroby skrzętnie skrywano przed Irańczykami i światem. W końcu serce ajatollaha nie wytrzymało kolejnych zawałów. Wraz z nim umarła irańska rewolucja.

Niewiele ponad dziesięć lat wcześniej, 1 lutego 1979 r., wrócił z wygnania, by stanąć na czele rewolty, która zmusiła szacha Mohammeda Rezę Pahlaviego do ucieczki z kraju i ustąpienia z Pawiego Tronu. Irańczycy witali Chomejniego jak zbawcę. Przed nim był tylko jeden przywódca, którego darzyli podobnym uwielbieniem: Mohammed Mossadegh, którego wybrali sobie na premiera w jedynej w historii wolnej i uczciwej elekcji. Jako szef rządu chciał wprowadzić demokratyczne swobody, ale też odebrać zagranicznym koncernom zawłaszczone przez nie pola naftowe. Po niespełna dwóch latach został obalony w wyniku przewrotu, przeprowadzonego pod nadzorem amerykańskiej CIA. W jego miejsce Amerykanie wynieśli do władzy szacha.

Republika islamska

Chomejni jako pierwszy wystąpił przeciwko szachowi. Potępiał go jako bezbożnika oraz „sługusa USA i Izraela".

Obawiając się kazań ajatollaha, szach wygnał go z kraju. Przez kolejnych 30 lat, z Turcji, Iraku i Francji, Chomejni podburzał rodaków przeciw szachowi i wzywał do rewolucji, która obali tyrana i zaprowadzi w Iranie szariat, Boże prawo.

W końcu w lutym 1979 r. szacha rzeczywiście obalili studenci i teherańska biedota, a także przymierze meczetu z bazarem. Ale irańska rewolucja od początku miała surową twarz Chomejniego.

Zgoda, która panowała, dopóki był szach – wspólny wróg – rozpadła się zaraz po tym, jak uciekł. Z ulic nie usunięto nawet barykad, gdy wybuchły na nich nowe walki, tym razem o rewolucyjne łupy, na które rzucili się ajatollahowie, republikanie, komuniści i wszyscy, którzy po zwycięstwie czuli, że mają do nich prawo. Wybuchały bomby, dochodziło do politycznych mordów i porwań, z każdym tygodniem narastał terror ajatollahów, którzy w końcu przechwycili władzę. Ogłosili oni Iran republiką muzułmańską, w której zgodności praw z Koranem pilnować mieli ajatollahowie z Rady Strażników Rewolucji. Iran, dziedzic starożytnej Persji, stał się jedynym na świecie państwem teokratycznym.

Chomejni nie zamierzał poprzestać na rewolucji w Iranie. Wezwał do zburzenia postkolonialnych, narzuconych przez Zachód porządków na całym Bliskim Wschodzie. Zwrócił się przede wszystkim przeciw Stanom, które obwiniał za wszystkie krzywdy i upokorzenia muzułmanów. Podburzał do buntu przeciw Zachodowi i ustanowionym przez niego przywódcom Bliskiego Wschodu. Amerykanie uznali go za śmiertelnego wroga i aby powstrzymać eksport rewolucji, namówili tyrana z Bagdadu, Saddama Husajna (tak, tego samego), by najechał osłabiony rewolucją Iran i obalił Chomejniego.

Saddam napadł na Iran w 1980 r., w drugim roku rewolucji, ale mimo wsparcia (nie tylko z Zachodu; armia iracka oparta była na sprzęcie sowieckim) przegrał ośmioletnią wojnę, w której zginęło milion ludzi, a kolejne miliony zostały kalekami. Wykrwawione Iran i Irak pogrążyły się w ruinie i tyranii. W rok po zakończeniu wojny umarł zaś Chomejni, a wraz z nim rewolucja. Jego następcy byli już wyznawcami władzy, nie rewolucji.

Pogrzeb rewolucji

Ceremonia pogrzebowa Chomejniego stała się jednym z największych zgromadzeń współczesności. Aby pożegnać ajatollaha, do Teheranu przybyło kilkanaście milionów żałobników, jedna szósta ludności kraju.

Gdy kondukt z trumną ruszył w kierunku cmentarza, w mieście wybuchło pandemonium. Policja nie była w stanie zapanować nad tłumem. Kilkanaście osób zadeptano na śmierć, kilka tysięcy trafiło do szpitali.

W pewnej chwili rozszalały tłum rzucił się na samochód wiozący ciało. Trumna runęła na ziemię, odsłaniając trupa. W mgnieniu oka żałobnicy zdarli z niego całun i walcząc między sobą porwali go na kawałki, traktując jak relikwie. Dopiero żołnierze, strzelając w powietrze, rozpędzili tłum i odzyskali ciało.

Śmigłowcem przewieziono je z powrotem do północnej części miasta, aby jeszcze raz przygotować do pogrzebu i złożyć w nowej trumnie. Tym razem wykonanej nie z drewna, lecz ze stali. ©℗

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Znamy już nominacje do tegorocznej Nagrody Literackiej Gdynia. Kto tym razem otrzyma metalowe kostki w kategorii Esej, Proza, Poezja i Przekład na język polski? Dowiemy się 30 sierpnia podczas festiwalu Miasto Słowa w Gdyni.

Nagroda Literacka Gdynia została powołana do życia w 2006 r. przez prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka w celu uhonorowania wyjątkowych osiągnięć żyjących polskich twórców. Jest przyznawana rokrocznie autorom najlepszych książek wydanych w poprzednim roku. Nagroda – Gdyńska Kostka Literacka i 50 tys. złotych – przyznawana jest w czterech kategoriach: Esej, Poezja, Proza, Przekład na język polski. NLG jest inicjatywą władz miasta, skierowaną zarówno do polskich pisarzy, jak i szerokiego grona odbiorców współczesnej literatury.

W skład kapituły Nagrody wchodzą: Agata Bielik-Robson (przewodnicząca), Eliza Kącka, Adam Lipszyc, Jerzy Jarniewicz, Zbigniew Kruszyński, Tomasz Swoboda, Aleksander Nawarecki, Natalia Gromow (sekretarz Nagrody).

Nagrodzie Literackiej Gdynia już po raz drugi towarzyszy festiwal Miasto Słowa: spotkania z nominowanymi, laureatami, panele dyskusyjne nawiązujące do wątków pojawiających się w tytułach walczących o Kostki Literackie, gościć też będziemy znamienitych polskich prozaików.

Więcej informacji: **www.nagrodaliterackagdynia.pl**.

WOJTEK ROJEK

NOMINACJE DO NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA 2019:

ESEJ

TOMASZ BOCHEŃSKI – literaturoznawca, krytyk literacki i eseista. Znawca twórczości Witkacego, profesor na Uniwersytecie Łódzkm. W pracy naukowej zajmuje się także Leśmianem, Schulzem, Gombrowiczem, Herbertem oraz improwizacją i humorem w literaturze.

▪ **Tango bez Edka. Eseje o literaturze współczesnej**, Kusiński, Łódź 2018.

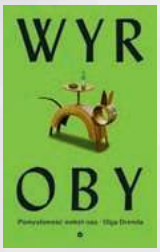

OLGA DRENDA – pisarka, dziennikarka i tłumaczka. Absolwentka Etnologii i Antropologii Kultury UJ. Autorka książek „Duchologia polska", „Wyroby" i „Czyje jest nasze życie" (wraz z Bartłomiejem Dobroczyńskim). W 2018 r. nominowana do Paszportu „Polityki".

▪ **Wyroby. Pomysłowość wokół nas**, Karakter, Kraków 2018.

MIKOŁAJ WIŚNIEWSKI – literaturoznawca. Ukończył anglistykę i filozofię na UW. Wykłada literaturę angielską i amerykańską na Uniwersytecie SWPS. Stały współpracownik „Literatury na Świecie", gdzie publikuje szkice krytyczno-literackie i przekładoznawcze.

▪ **Nowy Jork i okolice. O twórczości Jamesa Schuylera**, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 2018.

BEATA CHOMĄTOWSKA – pisarka, dziennikarka i działaczka społeczna. Prezeska Stowarzyszenia Inicjatyw Społeczno-Kulturalnych Stacja Muranów. Autorka m.in. książek „Stacja Muranów", „Pałac. Biografia intymna", „Lachert i Szanajca. Architekci awangardy".

▪ **Betonia. Dom dla każdego**, Czarne, Wołowiec 2018.

RAFAŁ KSIĘŻYK – dziennikarz i krytyk muzyczny, redaktor. Współautor autobiografii Tomasza Stańki, Roberta Brylewskiego, Tymona Tymańskiego, Kazika Staszewskiego i Marcina Świetlickiego; autor eseju „23 cięcia dla Williama S. Burroughsa".

▪ **Wywracanie kultury. O dandysach, hipsterach i mutantach**, Czarne, Wołowiec 2018 (współwydawca: dwutygodnik.com).

POEZJA

TOMASZ BĄK – autor książek poetyckich „Kanada" (2011) i „[beep] generation" (2016). Laureat m.in. Nagrody Poetyckiej „Silesius" 2012 w kategorii debiut oraz Poznańskiej Nagrody Literackiej – Stypendium im. S. Barańczaka (2019).

▪ **Utylizacja. Pęta miast,** WBPiCAK, Poznań 2018.

ADAM KACZANOWSKI – poeta i prozaik, a także happener i fotograf. Ostatnio wydał książkę poetycką „Co jest nie tak z tymi ludźmi?" oraz powieść „Topless". Za „Cele" otrzymał Nagrodę Poetycką „Silesius" 2019.

▪ **Cele**, WBPiCAK, Poznań 2018.

MAŁGORZATA LEBDA – poetka, fotograficzka, doktor nauk humanistycznych. Autorka kilku tomów poetyckich, m.in. „Granicy lasu" i „Matecznika". Jej poezja była tłumaczona na angielski, czeski, serbski, słoweński i rumuński.

▪ **Sny uckermärkerów**, WBPiCAK, Poznań 2018.

JAN ROJEWSKI – dziennikarz i poeta, współpracownik tygodnika „Polityka". „Ikonoklazm" jest jego debiutem książkowym, wcześniej swoją twórczość publikował m.in. w „Arteriach", „Odrze" i „Nowych Peryferiach".

▪ **Ikonoklazm**, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2018.

JULIA SZYCHOWIAK – poetka, za debiutancki tom „Po sobie" otrzymała m.in. Nagrodę Poetycką „Silesius" 2008 oraz nagrodę „Gazety Wyborczej" wARTo. Wydała także „Poprawiny", „Wspólny język", „Intro", „Naraz" i książkę prozatorską „Całe życie z moim ojcem".

▪ **Dni powszednie i święta**, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2018.

PROZA

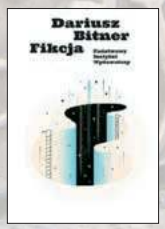

DARIUSZ BITNER – prozaik i krytyk literacki, a także autor książek dla dzieci. Laureat wielu nagród literackich. Ostatnio wydał powieści „Jesień w Szczecinie", „Wciąż jesień" i „Ostatnia jesień przed zimą".

▪ **Fikcja**, PIW, Warszawa 2018.

OLGA HUND – ukrywająca się za tym pseudonimem autorka „Psów ras drobnych" powiedziała w wywiadzie dla Małego Formatu: „Olga Hund to jedna z milionów, serio, milionów polskich kobiet cierpiących z powodu chorób duszy".

▪ **Psy ras drobnych**, Korporacja Ha!art, Kraków 2018.

ZYTA RUDZKA – pisarka, poetka, autorka scenariuszy filmowych i dramatów teatralnych, z zawodu psycholog. Debiutowała jako poetka, kilka lat później wydała pierwszą powieść „Białe klisze". Jej twórczość tłumaczono na osiem języków.

▪ **Krótka wymiana ognia**, W.A.B., Warszawa 2018.

JULIUSZ STRACHOTA – pisarz, autor zbiorów opowiadań „Oprócz marzeń warto mieć papierosy" i „Cień pod blokiem Mirona Białoszewskiego" oraz powieści „Zakłady nowego człowieka" i opartego na motywach autobiograficznych „Relaksu amerykańskiego".

▪ **Turysta polski w ZSRR**, Korporacja Ha!art, Kraków 2018.

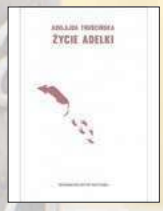

ADELAJDA TRUŚCIŃSKA – znana także pod pseudonimem Adelka Cośtam, uważana za kultową twórczynię polskiego Facebooka. W 2015 r. wydała książkę prozatorską „Czy Facebook jest fajny, czy nie?".

▪ **Życie Adelki**, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2018.

PRZEKŁAD NA JĘZYK POLSKI

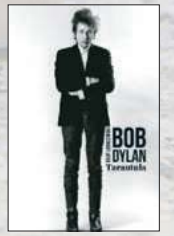

FILIP ŁOBODZIŃSKI – muzyk, dziennikarz i tłumacz, autor piosenek. Członek grupy muzycznej Zespół Reprezentacyjny. Tłumaczy z języka hiszpańskiego oraz angielskiego. Współautor książki „Sto płyt, które wstrząsnęły światem", znawca twórczości Boba Dylana.

▪ Bob Dylan, **Tarantula**, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2018.

MAGDALENA PYTLAK – bułgarystka i slawistka, tłumaczka. Doktor literaturoznawstwa, pracuje w Instytucie Filologii Słowiańskiej UJ. Autorka książki naukowej „Polifoniczność w przekładzie", przekładała z bułgarskiego m.in. G. Gospodinowa, M. Ruskowa i E. Andreewa.

▪ Georgi Gospodinow, **Fizyka smutku**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.

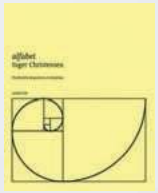

BOGUSŁAWA SOCHAŃSKA – tłumaczka z języka duńskiego, eseistka. Od 1999 roku dyrektorka Duńskiego Instytutu Kultury w Warszawie. Jako pierwsza przełożyła na język polski całość „Baśni i opowieści" Hansa Christiana Andersena.

▪ Inger Christensen, **Alfabet**, Lokator, Kraków 2018.

MARCIN SZUSTER – filozof i amerykanista. Od 2006 r. sekretarz redakcji „Literatury na Świecie". Przekładał m.in. Harolda Blooma, Jamesa Schuylera, Williama S. Burroughsa, Johna Keatsa i Paula de Mana. Pisze na tematy związane z przekładem.

▪ Djuna Barnes, **Ostępy nocy**, Ossolineum, Wrocław 2018.

MACIEJ ŚWIERKOCKI – tłumacz literatury anglojęzycznej, scenarzysta, pisarz i krytyk. Autor powieści, esejów, monografii, doktor nauk humanistycznych. Przełożył m.in. dzieła takich pisarzy jak Richard Flanagan, Michel Faber, Jack Kerouac czy Cormac McCarthy.

▪ Joseph Conrad, **Tajny agent**. **Prosta historia**, Officyna, Łódź 2018.

©℗ Opracował MICHAŁ SOWIŃSKI

JAZDA Z MICKIEWICZEM

Ze wspomnień, listów i wierszy Rymkiewicz nie potrafi już wyczytać niczego nowego. Teraz Mickiewicz służy mu do kontemplacji nicości. I Polski świętej, lecz podszytej zgnilizną.

ELIZA KĄCKA

W felietonie z cyklu „Załatwione odmownie" Antoni Słonimski wspominał londyńską rozmowę z sekretarką premiera Władysława Sikorskiego, która miała mu za złe, że przyjeżdża na audiencję rowerem. „– Poeta polski na emigracji nie powinien jeździć na rowerze. Mickiewicz na rowerze nie jeździł. – Bo nie było rowerów – odpowiedziałem". To było pół wieku temu.

Dziś na złość Słonimskiemu i jemu podobnym Mickiewicz jeździ na rowerze w tytułowym szkicu najnowszego zbioru mickiewiczianów Jarosława Marka Rymkiewicza, szóstego już z cyklu i ponoć ostatniego.

Ma się rozumieć, jeździ (a ściślej: odjeżdża) we śnie autora; znamienne, że ów sen Rymkiewicz analizuje równie wnikliwie, jak inne świadectwa o życiu Mickiewicza. Gdyż sen o Mickiewiczu, wyśniony przez kogoś, kto się od lat czterdziestu Mickiewiczem zajmuje, jest jakimś świadectwem o życiu Mickiewicza, nieprawdaż? Jest też świadectwem o życiu Rymkiewicza, ale najprędzej jest takim świadectwem, w którym granice między życiem Mickiewicza (czego można się o nim dowiedzieć) a życiem Rymkiewicza (co chce nam o nim powiedzieć) uległy po trosze zatarciu. Książka „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze" to więc raport o życiu przyśnionym, spełnionym w sięganiu, gdzie wzrok nie sięga, a rozum nie złamie – a w tym sen bywa pomocnym narzędziem.

Kłąb/głąb

Jakby ktoś nie wiedział, to zwracam uwagę, że nie o poezji czy życiu literackim tu mowa, ale o życiu *per se* – i to nie życiu Mickiewicza, lecz życiu absolutnym. Z tej myśli wysnuł się (w roku 1986) pierwszy z cyklu Rymkiewiczowski „Żmut" – tytuł oznacza kłąb nitek, na którego rozsupływaniu zeszło owe sześć tomów. „Pełne tajemnic życie Mickiewicza – czytamy na jednej z pierwszych stronic „Żmuta" – jest wzorem, archetypem życia polskiego. Dotykając tych tajemnic, starając się je przeniknąć i nazwać, dotykamy tajemnic naszego tutaj, na tej ziemi życia. Każdy z nas jest nim i mówiąc coś takiego, dochowujemy mu wierności, ponieważ on chciał, abyśmy tak właśnie pojmowali, tak interpretowali przypadki jego życia (...). Kto opowiada o jego życiu, opowiada więc (...) o sobie samym".

Jak z tego wynika, także sen o Mickiewiczu na rowerze, jako sen o Mickie/Rymkie/wiczu, stanowi opowieść o życiu polskim jako takim. A skąd rower? O tym z kolei mówi Rymkiewicz w rozmowach z Adamem Poprawą „Mickiewicz, czyli wszystko" (rok 1994), gdy cykl liczył dopiero trzy części – także na jednej z pierwszych stron: „Wszystkie elementy tego losu muszą być traktowane na równych prawach. Wszystkie muszą być – i wszystkie są dla mnie – równie ważne. W tym porządku kolor surduta, kształt plastrona, rodzaj fajki, nazwa stacji pocztowej, maść koni oraz sposób wymawiania samogłosek (...) są równie ważne jak kształt wiersza". Ważny jest więc i rower, bo w życiu Mickiewicza nie zaistniał i zaistnieć nie mógł, gdyż go jeszcze nie było. A to w życiu Mickiewicza otwiera perspektywę na rolę rzeczy, których nie znał, nie zaznał i nie przewidział, która go egzystencjalnie ogranicza, a zatem określa.

ANDRZEJ WIKTOR / FORUM

By skończyć ze „Żmutem", kryjącym wśród nitek afekt inicjacyjny polskiego romantyzmu (wedle tych rewelacji Adam „miał romans z hrabiną i w dodatku zrobił jej dziecko", ona odpowiedziała zaś próbą samobójczą), dziś widać, jak gęsto rekwizyty w rodzaju świec i lamp gazowych, zapałek, kałamaszki bez resorów, surdutów, bruków, duchów i śmierci Wertera powracają w następnych częściach cyklu. Rymkiewicz układa z nich kolejne pasjanse, dorzucając z rękawa coraz to nową kartę.

Drugi tom, „Baket" (rok 1991) proceder ten komentuje instrukcją dla czytelnika książki: „Fragmenty, z których ją zlepiam, również mogą być czytane w dowolnej kolejności. Czytelnik jest sobowtórem autora, autor sobowtórem czytelnika. Chaos, który jest w głowie autora, powinien więc być odzwierciedleniem chaosu, który ma w głowie czytający. I odwrotnie".

Co oznacza między innymi, że wszystko jest równie ważne, bo wszystko tłumaczy wszystko i znaczy, ile znaczy. Tym sposobem z opowieści biograficznych wylęgają się ewokacje poddane anarchicznej swobodzie wyobraźni. Wolność od dyscypliny historyka literatury czy kultury materialnej i wolność do wczucia w uczucia swojego bohatera. „Zaskoczenie: skąd to się wzięło? dlaczego ja to napisałem? Było to gdzieś w głębi, w topieli, na dnie, i tak dobrze ukryte, że nic o tym nie wiedziałem. Albo było jeszcze głębiej, pode dnem, w nicości, gdzie nie ma już nic, nawet i tego, co tam jest" (w „Do Snowia i dalej...", rok 1996). Czyja to głąb? Czasów mickiewiczowskich czy Rymkiewicza? I czyja nicość?

Pieśń pomyj

Do czego to wiedzie, wskazuje dowodnie tom „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze". Nie jest to bowiem, jak dawniej, skłębiona zawrotnie gawęda, lecz zbiór 32 (nie licząc aneksów) rewizji podejmowanych już przez Rymkiewicza wątków. Ewidentne wyskrobki z dna wora. Lecz mniejsza o to. Chcę wskazać, jak realia przerastają w fantazje.

Oto przykład: śmieci na paryskiej ulicy Louis-le-Grand, gdzie Mickiewicz zamieszkał jesienią 1832. W tej ↦

↦ samej kamienicy mieszkała wcześniej z mężem Klementyna z Tańskich Hoffmannowa. I opisała, że pod domami zalegają stosy śmieci, a przez specjalne rynny kucharki spuszczają na ulicę pomyje i resztki. I zaraz apokaliptyczna imaginacja pisarza wystawia sobie „Mickiewicza, który, gdzieś w pierwszych dniach grudnia 1832 roku, odkłada gęsie pióro, którym pisze pierwszą księgę »Pana Tadeusza«, i zamyślony, zadumany, wsłuchuje się w łomot pomyj zlatujących rynną – gdzieś z piątego piętra; można by to nawet nazwać śpiewem pomyj, ich pieśnią – mroczną i niepojętą. Słucha, odłożywszy pióro, z głową opartą na dłoni, posępnej pieśni pomyj we francuskiej rynnie. A potem, wychodząc z domu, ślizga się przed bramą na zamarzniętych pomyjach".

Czymże są emblematyczne smyrneńskie kupy śmieci – przed którymi wieszcz będzie w przyszłości z rozczuleniem przystawać, bo przypomną mu Litwę – wobec tej ohydy? To ma być centrum cywilizacji zachodniej? „W tym uniwersalnym śmietniku, w tym ucywilizowanym smrodzie, w tym globalnym szambie" przyszło – podsuwa Rymkiewicz – żyć Mickiewiczowi całe lata.

Tymczasem jest z tym tak jak z historią, że w Moskwie na placu Czerwonym rozdają rowery. Rynien żadnych, prócz tych zwykłych, na zewnątrz ścian w Paryżu nie było, bywały natomiast na klatkach schodowych zsypy, zwykle do wysokości drugiego piętra, bo wyżej mieszkała służba lub ludzie ubożsi, nie gotujący w domu. Co tam wlewano, spływało do beczek, i to od podwórka. Śmieci pod wieczór istotnie wynoszono, by zajęli się nimi zbieracze szkła, kości, szmat i papieru; resztę o świcie usuwały służby miejskie. Brak mitycznych rynien do pomyj łatwo stwierdzić, obcując z ikonografią z epoki, a co do śmieciarzy, pomniejsza literatura francuska opisała ich ze sto razy. Albo i nie pomniejsza, by wymienić Baudelaire'a i Apollinaire'a.

W innym szkicu Rymkiewicz upiera się, że Mickiewicz pisał gęsim piórem i żałuje, że nie może wyobrazić sobie jego kałamarza. Ni śladu po kałamarzu! „To czysta nicość (...) – puste miejsce po czymś, co z tego miejsca wypadło; próżnia po czymś, co istniało; nicość (mówiąc trochę inaczej) połączona z istnieniem, wskazująca na nie, nawet – przypominająca sobie o nim; nicość, która pamięta". Tyle o kałamarzu, a co do pióra: „mam niemal siedemdziesiąt siedem lat, przeczytałem setki, nawet tysiące książek opowiadających o dziewiętnastowiecznej literaturze i dziewiętnastowiecznych obyczajach, i w żadnej z nich nie znalazłem jakiejkolwiek informacji na temat pochodzenia gęsich piór – skąd się one brały, co trzeba było zrobić, żeby wejść w posiadanie takiego przedmiotu".

> W miarę rozwoju mickiewiczowskiego cyklu **coraz bardziej zajmuje Rymkiewicza nicość.** To, co bezpowrotnie utracone, zatracone wśród sprzecznych relacji, przepadłe i niewyobrażalne.

Widać nie czytał Rymkiewicz nigdy „Wspomnień niebieskiego mundurka" Wiktora Gomulickiego, gdzie sztuce temperowania piór gęsich poświęca się cały rozdział. Zastanawiając się, czemu pióra obcinano w połowie, Rymkiewicz nie domyśla się, że te z prawych skrzydeł (tańsze) właziły piszącym w oko. Część chorągiewki zostawiano, bo to chroniło przed sturlaniem się przyrządu pisarskiego ze stołu. Był to wyrób półprzemysłowy, odtłuszczany, utwardzany, a gęsi pochodziły głównie z Polski. Romantyzm europejski przeniosły na papier polskie gęsi.

Jednak nie w tym sedno. Wbrew kunsztownym wywodom Rymkiewicza wieszcz pisywał zapewne stalówką z szwedzkiej stali nierdzewnej. Upowszechniły się one w połowie lat 30., a w roku 1850 zakłady w Birmingham wyprodukowały już miliard, tak jest – miliard sztuk. Piszę to, mając przed sobą fotografię kryształowego kałamarza Adama Mickiewicza, oprawnego w stojak ze złoconego brązu. Na widełkach spoczywa emaliowana w kwiatki obsadka, zaopatrzona stalówką akuratnie taką, jak dzisiejsze. Żeby zobaczyć tę cenną pamiątkę, dość się pofatygować do warszawskiego Muzeum Literatury. Stanowczo: nicość lepiej Rymkiewiczowi wychodzi!

Czarna dziurka

I tak mniej więcej ze wszystkim. Bo też w miarę rozwoju mickiewiczowskiego cyklu coraz bardziej zajmuje Rymkiewicza nicość właśnie. To, co bezpowrotnie utracone, zatracone wśród sprzecznych relacji, przepadłe i niewyobrażalne. Ze wspomnień, listów i wierszy nie da się już wyczytać nic nowego, Mickiewicz więc jako temat przestaje służyć samemu sobie, służy kontemplacji nicości.

Na przykład opowieść o wrzuconym do wody pierścieniu hrabiego Maurycego Prozora stanowi pretekst do rozległych rozważań antynomii między nicością a mową: co istnieje, jest wypowiadalne, a co wypowiadalne, istnieje. Z okazji zaś mostka opisanego w balladzie „To lubię" powiada Rymkiewicz, konfrontując relacje świadków: „zdarza się, że coś takiego, całkiem nieźle istniejącego, znika z istnienia i traci istnienie, ponieważ jakoś źle się w istnieniu usytuowało, jakoś niekorzystnie było w nim usytuowane".

Przepraszam, ale muszę przytoczyć ciąg dalszy. „Albo było to coś takiego, co przez istnienie nie było lubiane – i akceptowane. Powstaje tu zaraz pytanie, czy da się powiedzieć, że coś, co znika z istnienia (bo źle się w nim usytuowało lub źle je w nim usytuowaliśmy – lub przez całość istnienia nie było akceptowane), traci też istnienie?".

Przepraszam, ale jeszcze to: „Wolno bowiem dopuścić taki domysł: to, co znika z istnienia, zmienia tym samym (zmienia tylko) swoją wcześniejszą (jedną z możliwych) sytuację istnieniową, a więc, nie tracąc istnienia, inaczej się wobec niego sytuuje – skrywa się przed nami i skrywa poza nim".

Czy cytować dalej? Bo to ledwie połowa „melodii mgieł nocnych nad Czarnym Stawem", jak rzekłby poeta... Mały traktat o istnieniu znicestwionym nieistnieniem to jedyna dziurka we flecie szczurołapa, którego melodia ma nas uwieść, a nawet niektórych uwiodła. Nie wiadomo czemu dotyka to tych, którzy egzaltują się polskim zaściankiem. Temat dla socjologa. I oczywiście: wolność Jarku w twoim zakamarku – co do mnie, jestem przekonana, że podłoże tego kompleksu jest czysto estetyczne.

Nosferatu jako wychowawca

Rymkiewicz wielce nie lubi klanu badaczy literatury. Zwłaszcza współczesnych, a najszczególniej kolegów. „Nikt nie powinien się wtrącać między mnie, czytającego, a Mickiewicza, który to dla mnie i o mnie napisał" – deklaruje w rozmowie

z Adamem Poprawą. Stąd to jego cykl mickiewiczowski zwie się „Jak bajeczne żurawie" – bo to jemu, Rymkiewiczowi, „oni, czyli Mickiewicz, Domeyko, Zaleski, Goszczyński, Towiański, Chodźkowie, Januszkiewiczowie, Jełowiccy" oraz panie „Ksawera, Celina, Łucja, Kunegunda" zrzucili, niczym chłopcu z „Epilogu Pana Tadeusza", pióra, by z nich ulepił skrzydła i do swoich wrócił.

W tym powrocie do swoich nadzwyczaj bruździ taka choćby badaczka romantyzmu – Maria Janion, energicznie wyrażająca kosmopolityczne poglądy (nieprzywoływana, nawet w bibliografii), albo Stanisław Rosiek, wybitny badacz okoliczności zgonu i kultu pośmiertnego Mickiewicza (konkurencja, przemilczany dla zasady). Skądinąd, co za namiętności i długoletnie animozje buzować muszą w skromnych pracowniach Instytutu Badań Literackich! Trzeba i temu poświęcić parę zdań.

Wszystkiemu winien upadek strukturalizmu, który miał być uniwersalny, ale do badań literackich nie nadawał się zupełnie. W braku metodologii pozostała duchologia: Pigoń i Kleiner *redivivus*. W plenarnej Sali Okrągłego Stolika zaczęto wywoływać ducha Polski. I czas był po temu: koniec lat 70., lata 80. Na tym tle wywiązała się kontrowersja, kto ma lepszy uchwyt do ducha. Czy wampiryzm Marii Janion lepiej obnaża gotyckie trzewia Nadwiślan? Czy też duch nasz zastygł między krwawą jatką a zaściankiem i odpoczywa po trudach wieszania?

Inaczej mówiąc, podejście uniwersalistyczne i perspektywa lokalna rozpoczęły współzawodnictwo o palmę sadyzmu. Do dziś nie wiem, czy bardziej bałam się międzynarodowego wampira Janion, który wysysa krew polską, czy też Wielkiego Księcia z „wąsatą kałmucką mordą", który Polaków tak lży i chłosta, że go bez pamięci pokochali. A wy kogo byście wybrali? Nosferatu czy Wielkiego Księcia Konstantego? Przypomnijcie sobie ich buźki.

Oto wynik testu: Janion nie wiąże okrucieństwa z upokorzeniem mającym walor wychowawczy. Wystarczy jej dreszcz metafizyczny. Natomiast Rymkiewicz uwielbia się pastwić. Z lubością szpera w trumnach, otwiera groby i brzuchy – w zestawieniu z tą preferencją frenezja romantyczna okazuje się... po prostu romantyczna, czyli literacka. Dodam, choć ze wstydem, że wampir profesor Janion ma

Do dziś nie wiem, czy bardziej bałam się międzynarodowego wampira Janion, który wysysa krew polską, czy też Rymkiewiczowego Wielkiego Księcia z „wąsatą kałmucką mordą", który **Polaków tak lży i chłosta**, że go bez pamięci pokochali.

pewien uwodzicielski wdzięk, natomiast Rymkiewiczowskie tchnienie grozy wyzbyte jest erotyzmu, jakby ten nigdy nie istniał.

Pasje Janion sięgają przez literaturę ku egzystencji; pasje Rymkiewicza – przez literaturę ku egzystencji, a przez egzystencję do nieegzystencji, czyli nieżycia. Do jakich to wiedzie ideowych kontrowersji, przekona się każdy, kto weźmie do ręki pokonferencyjny tom „Słowacki mistyczny" (rok 1981) i ujrzy, jak pani profesor Janion wciąż bezlitośnie gasi i wyszydza doktora Jarosława Marka Rymkiewicza. Nie dziwota, że dar bajecznych żurawi gęsto nasyca resentyment.

Choć pewnie Maria Janion przystałaby na tezę, że „co utraciło swe istnienie, chce znowu zaistnieć i posługuje się w tym celu nami, naszą pamięcią, czyli naszym istnieniem" (JMR „Głowa owinięta koszulą", rok 2012). Tyle że efektem jest dla Rymkiewicza „nasz Geisterwelt tutejszy – zapach gnoju, pluskiew, krwi i rękopisów". *Non sequitur*, brak zgody na taką syntezę. Dziękuję, to był przyczynek do archeologii badań literackich w Polsce.

Polska grobem Polski

Ten właśnie spór, z czasów końcówki stanu wojennego, podzielił trwale badaczy narodowych męczarni. Przy czym szkoła gotycka uznała w pewnej chwili, że męki dobiegły kresu, i zajęła się czymś innym. Natomiast rodzimowiercy doszli do wniosku, że teraz się dopiero zaczyna. Patrz „Popas w Upicie", ballada Mickiewicza z trzymaną w szafie mumią warchoła, który pierwszy zerwał obrady sejmu i w którego zapadłych oczodołach lśnią grobowo złote ruble. To trwa, to trwa! Szaf z taką zawartością nigdy pisarzom tego nurtu nie zabraknie. A arcymistrzem tej obediencji, tej masonerii zagrobowej, jest Jarosław Marek Rymkiewicz. Jego książki to nie tylko studia historycznoliterackie czy eseje, lecz także czarne msze narodowego masochizmu.

Rymkiewicz nie tylko kocha, ale i usiłuje narzucić swym czytelnikom taki obraz Polski, jaki go w Milanówku nawiedza.

To świętość podszyta zgnilizną, czystość podminowana zdradą, swojskość zakażona miazmatami (raz Wschodu, raz Zachodu), osobistość żywa, lecz i martwa zarazem. Kraj jedyny i niegodny miejsca na mapie, „naród święty i przeklęty". Ostatnie zdanie wskazuje, że egzorcyzmuję tę Rymkiewiczowską wizję za pomocą „Trans-Atlantyku" Gombrowicza. Ten autor bowiem to jego faktyczny przeciwnik. Wróg tak wielki, że bodaj nigdy na tysiącach zapisanych przez Rymkiewicza stron niewspomniany.

Żadnego spojrzenia na Polskę z zewnątrz Rymkiewicz nie uznaje z zasady. Nie byłby sobą, gdyby nie zerknął raz jeszcze do trumny Mickiewicza (rzucając, nie wiem, czy intencjonalnie, podejrzenie, że okradł ją łowca pamiątek) lub nie odtworzył śmierci Wertera ze szczególnym uwzględnieniem tego, co mu wypływało z dziury koło oka i jak się w tym długo i boleśnie tarzał.

Ma swoje preferencje. Ich sens historiozoficzny wykłada, wspominając zapałki chemiczne, których Mickiewicz nie lubił, czyli siarniczki. To był – powiada – „ostatni punkt oporu, taki punkt, w którym zwycięskiej cywilizacji rozumu mówiono – nie, tu cię nie chcemy; tu cię nie wpuścimy". Więc gdy już w końcu trzeba z nich korzystać, pozostaje choć rodzime słowo: język, „którego obca cywilizacja rozumu nie jest w stanie opanować i zniszczyć", który jest „tym zaściankowym miejscem, w którym cywilizacja zaścianka może, jeśli tylko zechce, przetrwać – i które może obronić przed obcą inwazją".

Co rzekłszy, Mickiewicz dosiada żółtego roweru i odjeżdża. Nim kur zapieje.

© ELIZA KĄCKA

Jarosław Marek Rymkiewicz, **ADAM MICKIEWICZ ODJEŻDŻA NA ŻÓŁTYM ROWERZE,** *Fundacja Evviva l'Arte, Warszawa 2018*

W czepku urodzony

PIOTR GÓRNY, CZYLI DONGURALESKO, RAPER:

Żeby się wyróżnić, zakosiłem bratu żółty czepek pływacki i uparcie w nim chodziłem. To był mój pomysł na odgrodzenie się od otaczającej mnie szarówki i prywatna wojna z systemem.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pana ojciec opowiadał o czerwcu '56?

PIOTR GÓRNY: Mało, nie jest typem kombatanta. Kiedy w Poznaniu w 2016 r. odbywały się obchody okrągłej rocznicy wydarzeń czerwcowych, po raz pierwszy namówiłem jego, moją żonę i dzieciaki, byśmy tam poszli. Przyjechali dwaj prezydenci – Lech Wałęsa i Andrzej Duda. Zgromadził się tłum wrogo do siebie nastawionych grup, panowała wyjątkowo negatywna energia, krzyki, gwizdy, obrażanie Wałęsy. Z całych tych obchodów wyszła hucpa – okazało się, że niemożliwe jest zjednoczenie się wokół historycznych rocznic. Moje dzieci – a jest ich trójka; najmłodsze ma lat siedem, najstarsze jedenaście – wystraszyły się, zaczęły płakać. Ich łzy są najlepszym komentarzem. Wtedy postanowiłem opowiedzieć o czerwcu '56 w domowym zaciszu i bez używania metawielkich słów.

Co Pan powiedział?

Że w 1956 r. ludzie zbuntowali się przeciwko brakowi podstawowych praw, ograniczeniu wolności również, ale przede wszystkim chodziło o kwestie materialne. Taka jest prawda tego rodzaju zrywów: ich fundamentem jest proza; nie ma z czego żyć i co do gara włożyć. A mój ojciec wziął udział w wydarzeniach poznańskich przez przypadek. Wyszedł na ulicę z kolegą, mama wysłała go do sklepu, a znalazł się nagle w środku historii, zdobywając z robotnikami Cegielskiego siedzibę radia, szturmując komendę na Kochanowskiego. Tego dnia w wyniku postrzału stracił oko, drugie na szczęście uratowano.

Pana ojciec, Andrzej Górny, jest pisarzem i współautorem scenariusza do filmu Filipa Bajona „Poznań 56".

A moi bracia byli zaangażowani w walkę – najstarszy działał w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, młodszy w Szkolnych Kołach Oporu Społecznego. Dla nich walka z systemem – bibuła, rewizje i pałowania – to był element codzienności i młodzieńczej przygody. W naszym mieszkaniu na ścianach wisiały zdjęcia Wałęsy i ks. Popiełuszki. Słuchało się Radia Wolna Europa i Kaczmarskiego. W takiej atmosferze wzrastałem.

Mój dziadek Teofil był powstańcem wielkopolskim. Ale już pradziadek, Stanisław Górny, dostał odznaczenie za to, że w I wojnie światowej pogonił kota Francuzom. Mam jego piękne zdjęcie w pikielhaubie. Walczył z tej samej ziemi, ale z zupełnie innego nadania. Jednak w naszym domu o tym wszystkim mówiło się mało, patriotyzm był czymś naturalnym. Ja w zasadzie jestem pierwszym od wieków Górnym, który dorastał już w wolnej Polsce, dlatego boli mnie, kiedy rządzący mówią, że to wszystko g..., a komunę obalił Kaczyński.

Natomiast spałem wśród książek – więc historia w moim życiu była czymś naturalnym i obecnym.

Wśród jakich książek Pan sypiał?

Być może dlatego zostałem raperem, że w wieku lat sześciu zaczytywałem się „Panem Tadeuszem", szczególnie podobała mi się księga IV, gdzie jest opis polowania. A największe wrażenie robiło, jak Wojski róg uchwycił i echo szło przez drzewa po nieboskłon... Proszę posłuchać! (*recytuje*)

Pan to teraz wyrapował!

Bo trzynastozgłoskowiec jest świetny do rapowania. Bezproblemowy. A wtedy uczyłem się go na pamięć i melodeklamowałem... Świetnie też się rapuje „Mochnackiego" Jana Lechonia, którego nagrałem kilka lat temu dla White House'ów.

A wtedy, gdy byłem chłopcem, podobały mi się związki między wyrazami, tempo, rytm, choć sensu zupełnie nie rozumiałem.

KAROL MAKURAT / REPORTER

Swoim dzieciom też Pan czyta „Pana Tadeusza" i „Mochnackiego"?

Teraz to już raczej same go czytają. Najstarsza córka czyta więcej i szybciej niż ja w jej wieku – w tej chwili połyka „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi". Ostatnio przekonałem najmłodszego syna, by pokochał czytanie – bo na początku bywa ono trudne, trzeba się nauczyć czerpać z niego przyjemność, ale widzę, że już się wkręcił, właśnie czyta „Felka i Tolę". Czytanie to najdoskonalszy sposób przekazywania wiedzy i emocji o rzeczywistości.

A Pan co czyta?

Teraz, już zawodowo, czytam Mieczysława Jastruna – próbuję go opracować muzycznie, nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie. Niedawno też nagrałem Iwaszkiewicza „Uranię", jego ostatni wiersz. Proszę posłuchać tego fragmentu: „Uranio, muzo dnia ostatecznego / Bogini końca, bogini trwałości / Zniszczeń bogini i wszystkiego złego / Stójże na straży domu i nicości".

donGURALesko, właściwie Piotr Górny (ur. 8 marca 1980 w Poznaniu), znany również jako Gural, DGE, DJ Dziadzior, Giovanni Dziadzia, Dziadzia Giovanni oraz Osieroconych Płyt Selektor, jest raperem i producentem muzycznym. Działa na polskiej scenie hip-hopowej od 1994 r. W czerwcu ukaże się jego nowa płyta „Latające ryby". Na zaproszenie Fundacji Malta przygotował utwór zatytułowany „20" na podstawie tekstów prof. Timothy'ego Snydera z jego rozprawy „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku". Nagrał także audiobook, którego premiera zbiegnie się z koncertem donGURALesko 2 czerwca na placu Wolności w Poznaniu. Podobne koncerty odbędą się w Warszawie, Łodzi i Gdańsku.

Na zdjęciu: w gdyńskim klubie „Galaktyka", 4 stycznia 2019 r.

Jestem pewien, że zarówno Jastrun, jak i Iwaszkiewicz chcieliby, by ich poezję rapowano, gdyby w ich czasach ten rodzaj muzyki istniał. Przecież to by rozpropagowało ich twórczość. Widzę tam wiele ciekawych formalnych rozwiązań. To do mnie trafia, to mnie inspiruje.

Wciąż próbuję sobie Pana wyobrazić jako chłopca rapującego Mickiewicza na ulicach Poznania.

Najchętniej to rapowałem w wannie, w czasie kąpieli... Dzieciństwo przypadło na lata 80. i 90., chowałem się na podwórku, do domu wpadałem wyłącznie na obiad i nocowanie. To miało swoje plusy i minusy. Na moim osiedlu dzień w dzień przetaczały się tłumy ludzi – dziewczyny grały w gumę, chłopaki w piłkę, inni siedzieli na ławeczkach i gadali.

Sporo było w tym patologii, biedy i braku perspektyw, natomiast moja pamięć ubarwia te czasy. Byłem jednym z wielu dzieciaków, które biegały z kijami dookoła bloków. Dziś utrzymuję kontakty z kumplami z podstawówki, z którymi zaczynałem rapować.

Skąd pomysł, by napisać piosenkę „20", inspirowaną esejem Timothy'ego Snydera „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku"?

Zadzwonił do mnie Michał Merczyński z propozycją, by coś razem zrobić. Książkę Snydera znałem już wcześniej, utwór powstał dosłownie w parę godzin; słowa Snydera próbowałem przełożyć na prosty, podwórkowy song. On pisze o sprawach oczywistych, o których wszyscy niby wiemy, tylko mamy umysły zmącone propagandą, mediami społecznościowymi, całym tym jarmarkiem powodującym w mózgu zmianę połączeń neuronalnych. Mam za sobą czas, kiedy również korzystałem z internetu i sam widziałem, jak trudno było mi się skupić na rzeczach wymagających dłuższej uwagi.

Poza tym internet uderza we mnie jako twórcę – dyktat koncernów amerykańskich, słuchanie w telefonach muzyki prawie za darmo z pominięciem artystów. To wszystko początkowo służyło wyzwoleniu, a stało się narzędziem jeszcze silniejszego zniewolenia artysty na rynku muzycznym. Amerykańskie koncerny przejmują nasz czas, nasze więzi społeczne, nawet naszą nudę w imię biznesu, który nie jest w żaden sposób regulowany.

Co z tym zrobić?

Lekcja czwarta Snydera brzmi: „Weź odpowiedzialność za oblicze świata". I jestem przekonany, że wyłącznie pracując nad sobą możemy mieć na coś wpływ. Choć w czasach śmierci wiary, tak wielu rozproszeń, pokus i dróg na skróty to niezmiernie trudne wyzwanie. W 2015 r. wydałem płytę „Magnum ignotum", co w języku łacińskim znaczy: wielka niewiadoma. Ta płyta powstała po burzliwej ewolucji w mojej wówczas ponadtrzydziestoletniej głowie – znokautowała mnie konstatacja, że nic nie wiadomo.

Czyli?

Zdałem sobie sprawę, że nic o niczym nie wiem. Ameryki nie odkryłem, ale to był dla mnie silny front atmosferyczny. Przedtem wszystko było dla mnie proste, z racji wieku miałem gotową odpowiedź na każde pytanie. Rzeczywistość jawiła się jakoś klarowniej. I nagle po prostu przestała. Gdybym teraz spotkał siebie z czasu „przed", pewno byśmy specjalnie nie pogadali. Ten tu teraz pomyślałby: „Co za głupek", a tamten z przeszłości: „Co za stary dziad". Jak w wierszu Szymborskiej – łączyłby nas wyłącznie element garderoby.

Co daje świadomość, że nic się nie wie?

Czyni dużo skromniejszym w osądach i ferowaniu wyroków, to też część pracy nad sobą. Świat w swojej złożoności wprawia mnie w zachwyt lub przynajmniej w zdumienie. Warto po prostu przypomnieć sobie czasem, co to znaczy się dziwić. I ta świadomość ma też przełożenie na muzykę.

W lekcji pierwszej rozprawy o tyranii Snyder nawołuje: „Nie bądź z góry posłuszny"...

Z posłuszeństwem u mnie było zawsze kiepsko. Należałem do tzw. trudnej młodzieży, w szkole średniej na świadectwie od góry do dołu miałem mierne, tróję z WF-u, a zachowanie – naganne. Gdy przez pewien czas studiowałem ↦

dziennikarstwo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, co nie trwało długo, bo szybko porwała mnie muzyka, prof. Zyborowicz kolegów i mnie nazywał „ławką defenderów" – broniliśmy się przed wiedzą rękami i nogami. Z perspektywy czasu cieszę się, że niektórych książek nie czytałem wtedy, a czytam teraz, choć z drugiej strony martwi mnie mój brak systematycznej wiedzy. Wciąż nadrabiam. Książki wołają mnie z półek.

Z pierwszą lekcją Snydera łączy się ósma: „Wyróżniaj się. Ktoś musi. Podążać za innymi jest łatwo. Robiąc lub mówiąc coś innego, możesz czuć się dziwnie, ale to uczucie niepokoju jest warunkiem wolności".

By się wyróżnić, zakosiłem bratu żółty czepek pływacki i uparcie w nim chodziłem.

No, nieźle.

To był mój pomysł na odgrodzenie się od otaczającej mnie szarówki i prywatna wojna z systemem. Odmawiałem zdejmowania czepka w obliczu godła polskiego, czy coś w tym stylu. Prowadziłem jakieś wojny z rzeczywistością, jak to w tym wieku. W liceum zamieniłem czepek na czapkę z daszkiem, tak dołączyłem do awangardy hip-hopu w Polsce. Lądowałem ciągle na dywaniku u dyrektora, sympatycznego zresztą człowieka, który kazał mi po prostu posiedzieć w gabinecie, niby że mnie obsztorcowuje, a potem odsyłał do klasy.

Jestem na bieżąco z trendami w modzie – prowadzę firmę odzieżową El Polako. Latami sprzedawały się papuzie ciuchy – zakładało się jakiś worek kolorowy przypominający foliowe torby z nadrukami reklam, które za komuny były towarem ekskluzywnym. Pamiętam sąsiada paradującego z zagraniczną siatką z nadrukiem golden americanów. Była mocno sfatygowana, ale niezmiennie przyciągała wzrok.

Rzeczywistość jawiła mi się jakoś klarowniej – i nagle po prostu przestała.

Gdybym teraz spotkał siebie z czasu „przed", pewno byśmy nie pogadali. Jak w wierszu Szymborskiej – łączyłby nas wyłącznie element garderoby.

Dziś powracają czasy uniformizacji: ludzie chcą maszerować w zwartych szeregach i ma to również przełożenie na rynek odzieżowy. Moda stała się czarno-biała, wychylanie się znów, niestety, nie jest trendy. Dla mnie jednak cała kultura hip-hopu polega na nieskrępowanym wyrażaniu siebie w myśl hasła „Express your self" N.W.A. Powtarzam do znudzenia, by nie podążać za stadem, w tylu utworach już o tym rapowałem... A teraz to rapuję za Snyderem.

W lekcji dwunastej Snyder nawołuje: „Nawiązuj kontakt wzrokowy i prowadź niezobowiązujące konwersacje. Nie chodzi jedynie o uprzejmość".

W starych dzielnicach Poznania, gdzie ludzie dobrze się znają, te więzi są jeszcze mocno obecne i to krzepi. Ale w ogóle z więziami jest coraz gorzej.

Sam cierpię na prozopagnozję, czyli nie pamiętam twarzy. A ponieważ wiele razy się przeprowadzałem, w nowym miejscu na wszelki wypadek przez pół roku mówię „dzień dobry" każdej osobie napotkanej na ulicy. Dzięki temu piekę dwie pieczenie na jednym ogniu: nawiązuję relacje międzysąsiedzkie i nie jestem uznawany za chama. Ważne, by rozmawiać z panią sprzedawczynią w małym sklepiku, w supermarkecie już nie jest to takie łatwe.

Pan rozmawia z panią z małego sklepiku?

Oczywiście, w ogóle staram się mieć dobre relacje z ludźmi. Stąd mój sprzeciw wobec ksenofobii, którą teraz można obserwować w Polsce. Byłem w wielu miejscach za granicą, poznałem przedstawicieli innych kultur i religii, nigdy nic złego z ich strony mnie nie spotkało, przeciwnie, nieraz mi pomogli. Gdyby ksenofob miał szansę bliżej poznać człowieka z innego kręgu kulturowego, wiele by to mogło zmienić...

Dlatego Snyder namawia, by wyrobić sobie paszport i w miarę możliwości podróżować.

Dziewiętnasta lekcja Snydera: „Bądź patriotą". Co Pan na to?

Dla mnie patriota to ten, który płaci podatki, udziela się w wolontariacie, angażuje społecznie, a nie macha rozpalonymi żagwiami w marszach niepodległościowych. W Poznaniu modne jest zbieranie śmieci – to też element patriotyzmu. Dobrym pomysłem jest wegetarianizm, czy w ogóle nastawienie proekologiczne. Klasa polityczna wciąż wydaje się nie rozumieć, czym jest patriotyzm w czasach pokoju i zjednoczonej Europy. W Polsce wciąż

REKLAMA

O tyranii. Dwadzieścia lekcji z XX wieku
donGURALesko
rapuje Snydera o wolności

WARTO BYĆ ODPOWIEDZIALNYM

KONCERT

ANI SŁOWA BEZ NAS!

2/06/2019
20:30 Poznań
Plac Wolności

anislowabeznas

organizator: MALTAFUNDACJA
współorganizator: ESTRADA POZNAŃSKA
projekt finansowany ze środków: POZnań, Samorząd Województwa Wielkopolskiego, Powiat Poznański
projekt odbywa się w ramach: '89 2019 POZNAŃ, '89 2019 GDAŃSK
patron medialny: wyborcza, wyborcza, ams
partnerzy: HORYZONT znak, 60 znak, TYGODNIK POWSZECHNY, CENTRUM KULTURY ZAMEK, Towarzystwo Kultury Stosowanej

wstęp wolny

szermuje się hasłami o śmierci za ojczyznę, lub, co gorsza, życzy się śmierci wyimaginowanym wrogom.

Przyznaję, że lekcja dwudziesta budzi we mnie mieszane uczucia. Snyder pisze: „Bądź tak odważny, jak potrafisz. Jeżeli nikt z nas nie będzie gotowy zginąć za wolność, wszyscy umrzemy w tyranii”.

Efektowny koniec, jak to u Jankesów. (*śmiech*) W Warszawie byłem na spotkaniu, w którym uczestniczyli Snyder, Norman Davies i Agnieszka Holland. Ciekawie było obserwować różnicę między wystąpieniem Brytyjczyka i Amerykanina – Davies skromnie wygłaszał konstruktywne tezy, a Snyder sypał anegdotami o samolotach zbierających dane o pasażerach. Książkę „O tyranii” napisał Amerykanin głównie dla Amerykanów i musi być tam trochę efektownych zwrotów retorycznych.

No ale jak Pan rozumie tę lekcję?

Troszeczkę mnie przeraża, ale wybrnąłem Herbertem. Herbertuję pod koniec utworu. Zapożyczyłem cytat z „Przesłania Pana Cogito”: „kochaj źródło zaranne / ptaka o nieznanym imieniu dąb zimowy / światło na murze splendor nieba”. Parafrazuję to: „kochaj Kraj, kochaj Ludzi, kochaj Ptaka bez imienia...”.

Herberta można czytać na wiele sposobów. A „Pana Cogito” w młodości melorecytowałem we wspomnianej wannie.

A samo spotkanie ze Snyderem?

Nietypowe z założenia: amerykański profesor rapujący teksty polskiego rapera.

Spotkaliśmy się na planie teledysku „20”, ja zacząłem Snyderowi troszkę tłumaczyć, jak się rapuje, bo są momenty, kiedy robimy to razem. Na wstępie go przeprosiłem – to naprawdę jest paranoja, by Polak Amerykanina uczył, jak ma rapować. I on się z tego śmiał. A na koniec powiedział: „Gural, jeżeli to zrujnuje moją karierę, to mam nadzieję, że zrujnuje i twoją”. W każdym razie Snyder to bardzo sympatyczny koleś o wyjątkowo młodzieńczym spojrzeniu.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

BETTMANN / GETTY IMAGES

Aleja Chang’an, Pekin, 5 czerwca 1989 r.

Obywatel T.

MAREK RABIJ

Zszedł z chodnika na jezdnię. I przeszedł do historii.

Tamtego ranka centrum Pekinu spowijał typowy o tej porze roku duszny smog – letnia wilgoć zmieszana z wyziewami fabrycznych kominów, dymem z milionów przydomowych kuchni opalanych węglem i drewnem oraz spalinami nielicznych jeszcze samochodów. W tej palecie zapachów 5 czerwca 1989 r. czuć było jednak dodatkową, bardzo intensywną woń spalenizny.

Kilka godzin wcześniej, przed północą, ściągnięte z prowincji do Pekinu wojska 27. armii zaatakowały studentów, którzy od prawie półtora miesiąca okupowali plac Niebiańskiego Spokoju, domagając się reform politycznych i ukrócenia korupcji. Transportery opancerzone miażdżyły barykady i ludzi. Do uciekających żołnierze strzelali z broni maszynowej. W wielu miejscach wybuchły pożary. Według chińskich władz w nocnych zajściach zginęło 241 osób, w tym 23 żołnierzy, ale sądząc chociażby po setkach ciężarówek, przemykających ulicami z przyczepami pełnymi zgniecionych i spalonych rowerów, ofiar mogło być kilkakrotnie więcej. Dwie dekady później Chiński Czerwony Krzyż opublikuje własne wyliczenia, w których mowa o 2,6 tys. zabitych. Na żądanie władz komunikat zostanie jednak szybko wycofany.

Na razie zbliża się południe 5 czerwca 1989 r. Miasto wygląda na spacyfikowane. Pustą aleją Chang’an, od strony placu Niebiańskiego Spokoju, sunie teraz kawalkada czołgów T-59 z czerwoną gwiazdą wymalowaną na wieżyczce. Każdy z nich wraz z uzbrojeniem waży ponad 36 ton.

Nagle przed kolumną pojawia się szczupły mężczyzna w białej koszuli, niosący dwie torby na zakupy.

Poza kadrem

Czołgi stają. Pierwszy wóz próbuje ominąć mężczyznę, ale ten za każdym razem przesuwa się i uniemożliwia manewr. Czołgiści usiłują przestraszyć intruza i ruszają kilka metrów do przodu, ale mężczyzna się nie cofa. Przeciwnie, zaczyna z wściekłością wymachiwać torbami, jak gdyby chciał w powietrzu wyznaczyć linię, którą czołgi przekroczą jedynie po jego trupie. Po kilkunastu sekundach wdrapuje się na pancerz i wdaje się w krótką rozmowę z załogą. Kiedy zeskakuje na jezdnię, pierwszy czołg próbuje odjechać. Mężczyzna ponownie staje mu na drodze.

Silniki unieruchomionych pojazdów strzelają w powietrze spalinami. Człowiek z torbami od kilku minut nie rusza się z miejsca. Kolumna również. W końcu nadjeżdża inny mężczyzna na rowerze, potem kilku następnych i siłą ściągają człowieka w białej koszuli z jezdni. Nim kolumna czołgów ruszy ponownie, ↦

↦ przebiega przed nią jeszcze młody chłopak, wymachując w powietrzu zdjętą koszulą, jakby chciał zwrócić uwagę kogoś stojącego w oddali. Potem wszyscy znikają za lewym brzegiem kadru.

„Mówiono, że był jednym z protestujących studentów – powie po latach, w filmie CBS pt. „Tank Man", kamerzysta amerykańskiej stacji NBC Tony Wasserman, któremu udało się sfilmować tę ikoniczną scenę z pokoju hotelu Beijing przylegającego do alei Chang'an. – Mnie wyglądał po prostu na przechodnia. Na wkurzonego faceta, który chce wykrzyczeć żołnierzom, że mają się wynosić z jego domu po tym, czego dopuścili się poprzedniej nocy".

Tożsamość mężczyzny z torbami pozostanie tajemnicą. Kilka dni po wydarzeniach na placu Niebiańskiego Spokoju dziennikarze brytyjskiego dziennika „Sunday Express", powołując się na źródła w chińskiej policji napiszą, że nazywa się Wang Weilin i jest 19-letnim studentem politechniki. Do tego czasu film Wassermana oraz zdjęcia zrobione z innego pokoju w hotelu Beijing przez Jeffa Widenera z Associated Press zdążą okrążyć świat na czołówkach największych gazet i głównych wydań wiadomości. W niektórych relacjach anonimowy mężczyzna zacznie być opisywany jako Nieznany Buntownik. W innych, mniej pompatycznie – jako Tank Man.

My nazwijmy go po prostu Obywatelem T.

SAM YEH / AFP / EAST NEWS

Shake, „Tank Man", instalacja przed Halą Pamięci Czang Kaj-szeka, Tajwan, Tajpei, maj 2019 r.

Ziyou, czyli wolność

„Ten mężczyzna, ci ludzie domagali się wolności oraz podstawowych praw człowieka" – powie o T. i innych protestujących ówczesny prezydent USA George Bush.

Amerykańskim i europejskim dziennikarzom, obserwującym wydarzenia z 5 czerwca z okien hotelu Bejing, T. również wydaje się symbolem triumfu zachodniego indywidualizmu nad orientalną autokracją. Drobny mężczyzna naprzeciw 36-tonowego czołgu. Dawid i Goliat. Hektor i Achilles. Francis Fukuyama dopiero za trzy lata wyda swój głośny „Koniec historii", ale z okien hotelu widać go już właściwie w formie opisywanej przez amerykańskiego badacza: zachodnioeuropejska demokracja, która w centrum życia społecznego stawia jednostkę, właśnie próbuje zepchnąć na margines historii autorytarną chińską wariację na temat komunizmu. Na razie tę bitwę wygrywa czołg z czerwoną gwiazdą, ale wojna zdaje się wygrana. „Tego dżina [demokratyzacji życia publicznego – MR] nikt już nie zapędzi z powrotem do butelki" – skwituje temat prezydent Bush.

Jeśli T. rzeczywiście należy do studentów, którzy wzniecili bunt w Pekinie, być może faktycznie marzy mu się większa swoboda wypowiedzi, rewizja absurdalnie długiej listy 68 przestępstw zagrożonych karą śmierci i podróże po kraju bez konieczności wcześniejszego starania się o zezwolenie. Pewnie chciałby też sądu nad częścią partyjnych bonzów, którzy zwłaszcza na prowincji stali się komunistyczną wersją mandarynów.

Ale czy T. musi marzyć o tym wszystkim, stawiając jednocześnie siebie w centrum wydarzeń, niczym Hektor w Iliadzie? „Zwyciężę ciebie lub zginę" – mówi Achillesowi syn króla Troi, nie mogąc znieść upokorzenia, jakiego doznał wcześniej, umknąwszy spod miecza najgroźniejszemu z Achajów. W tym pojedynku los ojczyzny czy najbliższych schodzi na dalszy plan. Hektor mierzy się w nim przede wszystkim ze swoimi demonami.

Dziennikarze relacjonujący wydarzenia z 5 czerwca będą się potem dziwić nie tyleż odwadze T., ile jego zgoła „niechińskiemu" zachowaniu. Konfucjanizm, najważniejsza ideologia społeczno-polityczna Państwa Środka, piętnuje przecież nieposłuszeństwo wobec władzy. Wolność? Sun Jat-sen, nazywany ojcem chińskiej demokracji, tak pisał o niej w 1924 r.: „Ruchy wolnościowe odgrywały ogromną rolę w historii Europy (...) i większość wojen europejskich była toczona o wolność (chiń. *ziyou*). Dlatego uczeni zachodni traktują wolność jako wartość nadrzędną (...) Jednakże od czasu, gdy termin ten został przeniesiony do Chin, tylko nieliczni wykształceni mogli podjąć wysiłki, by przestudiować go i zrozumieć, co znaczy »wolność«. (...) Ponieważ termin ten dotarł do Chin dopiero niedawno, nawet postępowa młodzież czy studenci, którzy wrócili ze studiów za granicą (...), mają bardzo mętne wyobrażenie, co to słowo w istocie znaczy".

Indywidualizm? W chińskiej kulturze wartość jednostki tworzona jest przez znaczenie wspólnoty, do której jednostka przynależy. Poczucie tej przynależności może zresztą rozszczepiać się jednocześnie na kilka płaszczyzn: rodzinną, rodową, zawodową, wreszcie państwową. Profesor Tu Weiming, historyk filozofii z Harvardu, uważany za jednego z najwybitniejszych znawców myśli konfucjańskiej, pokazując fenomen indywidualizmu w chińskim wydaniu, pisze nie o jednostce, pojedynczym człowieku napędzanym wolną wolą i sumieniem, lecz o „centrum w polu różnych sił".

Heroiczny gest T. nie musi zatem oznaczać zerwania z chińską tradycją na rzecz zachodniego porządku demokratycznego. Wolność po chińsku, jak uczy Konfucjusz, nie jest wolnością od czegoś. To przede wszystkim wolność do wyboru dobra. O tym, co dobre, decyduje zaś w głównej mierze interes wspólnoty. Konfucjusz mówi wprawdzie, że władza ma niebiańską legitymację, ale ten mandat może także utracić, jeśli postępuje niewłaściwie lub zbrodniczo. Korupcja, nepotyzm pod płaszczykiem partyjnej równości, wreszcie strzelanie do bezbronnych protestujących – czy to nie dostatecznie dużo, by zasłużyć w oczach bóstw na dymisję?

Nieliczni przechodnie oglądający 5 czerwca T. stojącego przed kolumną czołgów mogli zatem widzieć coś innego niż dziennikarze ukryci za kotarami hotelu Beijing: akt poświęcenia dla wspólnoty bez oglądania się na konsekwencje.

„Myślę, że nie zabity"

W maju 1990 r. dziennikarka amerykańskiej stacji ABC Barbara Walters w trakcie wywiadu pokaże zdjęcie T. ówczesnemu szefowi Komunistycznej Partii Chin Jiang Zeminowi. „Myślę, że nie zabity" – odpowie łamaną angielszczyzną skonfundowany Jiang i doda, że gdyby partia chciała śmierci mężczyzny, wyrok wykonałby od razu któryś z czołgistów.

Zaskoczenie pytaniem Walters mogło wynikać z faktu, że los jednego z tysięcy buntowników mógł po prostu nie interesować partyjnego mandaryna. Paradoksalnie T. stał się bowiem ikoną wszędzie poza Chinami. Tamtejsza telewizja nigdy nie pokazała przecież zdjęć nakręconych z hotelu Beijing, a w dobie mediów internetowych partia skutecznie wycina wzmianki o tamtych wydarzeniach z wyników wyszukiwania.

Jeśli więc – jak przekonywali zachodnich dziennikarzy ich informatorzy – w zamieszaniu tamtych dni T. faktycznie zdołał zbiec za granicę, taka cyfrowa egzekucja byłaby specyficznie rozumianym aktem sprawiedliwości. Dokąd mógł zbiec? Wśród tropów często pojawia się Tajwan, co jednak mówi więcej o stosunku samych Chińczyków do tej zbuntowanej wyspy niż o losach głównego bohatera. Tajwan to dla przeciętnego obywatela Chińskiej Republiki Ludowej odpowiednik lasu Sherwood, miejsce, do którego według miejskich legend prędzej czy później ucieka każdy, z kim władze w Pekinie mają na pieńku. Tajwańskie Muzeum Narodowe już kilka razy oficjalnie zaprzeczało, jakoby na jego liście płac widniało nazwisko bohatera z alei Chang'am.

Możliwe więc, że prawda o losie T. jest bardziej prozaiczna. Bruce Herschensohn, amerykański dyplomata ze świetnymi kontaktami w Chinach, zdradził w 1999 r., że anonimowego bohatera rozstrzelano już 19 czerwca 1989 r.

Siła symbolu

Jeśli tak się stało, T. żyje nadal jako jedna z ikon XX wieku. Trafił też do panteonu toposów światowej kultury. Badiucao, chiński rysownik mieszkający obecnie w Australii, którego prace są ostrym komentarzem do bieżącej polityki Pekinu, w grafice „Daily Patrol" z 2014 r. pokazuje młodą Ujgurkę puszczającą balonik w kształcie serca przed rzędem czołgów – z oczywistym odniesieniem do brutalności, z jaką władze chińskie traktują od lat mieszkańców autonomicznego regionu Xinjiang. Z kolei twórcy popularnej kreskówki „Simpsonowie" w jednym odcinku kazali głównemu bohaterowi blokować odjazd taksówki w dokładnie taki sposób, w jaki T. zagradzał drogę czołgom. Nie zapomniał o nim nawet rosyjski oddział firmy Lego, pokazując go na moskiewskiej wystawie ikonicznych scen z historii najnowszej odtworzonych z klocków duńskiej firmy.

Odwagi zabrakło natomiast zarządowi firmy Leica, która osnową wysmakowanej wiralowej reklamy „The Hunt" uczyniła najpierw powstanie słynnego ujęcia z Chang'am, a następnie, po stanowczych protestach Chińczyków, odcięła się od tej produkcji, nazywając ją „nieoficjalną".

Trzydzieści lat później Pekin czuje nadal siłę symbolu, jakim za granicą stał się T. Świat zapomniał już Chinom szaleństwa rewolucji kulturalnej czy zbrodnie w Tybecie. Coraz częściej widzi w nich prawdziwe Państwo Środka XXI wieku, coraz rzadziej nazywając fabryką świata. Ale dopóki na T-shirtach na całym świecie pojawia się człowiek stojący przed kolumną czołgów, dopóty nowego Wielkiego Skoku, zarządzonego przez partię, nie można uznać za zakończony.

– Ludziom trzeba stale przypominać, co stało się wtedy w Pekinie, i mówić głośno, że chiński reżim jest nadal niebezpieczny – mówi w rozmowie z „South China Morning Post" tajwańska artystka Shake. Jej instalacja, wielki zielony balon w kształcie czołgu, przed którym stoi dmuchana sylwetka mężczyzny w białej koszuli, od połowy maja zdobi plac przed mauzoleum Czang Kaj-szeka w stolicy Tajwanu, Tajpej.

Stając przed kołyszącą się na wietrze lufą gumowego czołgu, każdy Tajwańczyk może – jak mówi autorka – poczuć namiastkę tego, co 5 czerwca 1989 r. przeżył T.

©℗ MAREK RABIJ

WARTO ZOBACZYĆ W TV [1 – 7 VI]

1. Jeszcze nie koniec

Dramat, reż. Xavier Legrand, Francja 2017, Ale kino+, 1 VI, 20.10

Jeden z najmocniejszych debiutów filmowych ostatnich (m.in. nagroda za reżyserię na festiwalu w Wenecji) pozwala poczuć niemal na własnej skórze, czym może być domowy terror. Walka rozwiedzionych małżonków o prawo do opieki nad dzieckiem przeradza się w psychologiczny thriller, który do ostatniej chwili trzyma widza w niepewności i strachu.

2. Paragraf 22

Miniserial, reż. George Clooney, USA 2019, HBO GO

Kolejna ekranizacja powieści Josepha Hellera tym razem rozpisana została na sześć odcinków i, jak na razie, wytrzymuje porównania z pierwowzorem czy głośną adaptacją Mike'a Nicholsa. Popularny aktor znów staje za kamerą, by opowiedzieć rebeliancką historię o szaleństwie wojny, a przy okazji zagrać jedną z mniejszych ról.

3. Żona

Dramat, reż. Björn Runge, Szwecja/USA/ /Wielka Brytania 2017, Cinemax, 2 VI, 20.00, 3 VI, 9.25, 4 VI, 20.00, 5 VI, 10.40, 7 VI, 21.45

Jak to jest być żoną noblisty? Nominowana do Oscara Glenn Close wciela się w postać kobiety, która za kulisami wielkiej uroczystości przeżywa własną „tragedię sztokholmską" i rewiduje całe swe dotychczasowe życie u boku cenionego pisarza. Feministyczny w treści i tradycyjny w formie film stanowi także delikatną satyrę na obyczaje panujące w kręgach przyznających prestiżowe nagrody.

4. Dowłatow

Biograficzny, reż. Aleksiej German Jr., Rosja/Polska/Serbia 2018, Canal+ Film, 4 VI, 20.10

Z odprysków pamięci, towarzyskich anegdot i bardzo fotogenicznych obrazów rosyjski reżyser tworzy portret leningradzkiego pisarza, który w swoim kraju nie doczekał popularności. Akcja toczy się na początku lat 70., kiedy trzydziestoletni Dowłatow próbuje zaistnieć w kontrolowanym przez władzę literackim obiegu, a jednocześnie pozostać sobą. Autorem zdjęć jest Łukasz Żal („Ida", „Zimna wojna").

Listy z piekarnika

ANITA PIOTROWSKA

Historia pisarki-fałszerki pokazuje, jak na przekór kłamstwu może zrodzić się coś autentycznego.

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z dokumentu „Can You Ever Forgive Me?”

Niemłoda, niepiękna, niesympatyczna, pijaczka (nieuleczalna), pisarka (dziś niepoczytna) i lesbijka (już nieaktywna) – zapewne ów „negatywny” pakiet odstraszył dystrybutorów od zakupienia do polskich kin wyśmienitego filmu Marielle Heller. Nie pomogły nawet trzy nominacje do Oscara oraz fakt, że Lee Israel, bohaterka filmu „Can You Ever Forgive Me?”, to postać autentyczna.

Zmarła w 2014 r., zdążywszy opublikować książkę pod tym samym tytułem. Opisała tam, jak odrzucenie na rynku wydawniczym uczyniło z niej fałszerkę listów znanych ludzi, a w końcu – pełnowartościową pisarkę. Czy to nie przyczynek do piętrowych rozważań na temat kopii, która z czasem przerosła oryginał?

Tym razem nie chodzi jednak o czcze postmodernistyczne dywagacje. Historia Lee pokazuje, jak na przekór kłamstwu, powszechnej imitacji, nieufności, a nawet zdradzie, może zrodzić się coś autentycznego. Nie tylko w literaturze.

Mamy rok 1991. Ubrana w męskie tweedy i mało twarzowe swetry 51-letnia biografistka (Melissa McCarthy) ogląda w zapuszczonym nowojorskim mieszkaniu stare filmy, wpatruje się w maszynę do pisania, przemierza ulice Manhattanu. W zakurzonych antykwariatach wyprzedaje za grosze swój księgozbiór, bezczelnym zachowaniem zakłóca spokój miejskich bibliotek, w zadymionych barach zalewa robaka, to znów nudzi się na snobistycznych przyjęciach, z których wynosi po kryjomu papier toaletowy, czyjś wykwintny płaszcz tudzież krewetki dla ukochanego kota.

Uznana ongiś pisarka od dawna bowiem zalega z czynszem, nie stać jej na weterynarza, a dotychczasowa agentka literacka ignoruje najnowszy projekt Lee, czyli biografię dawnej gwiazdy wodewilu.

Jesteśmy w epoce, w której pisarskie celebrictwo nabiera rozmachu. Żeby być jak Tom Clancy, inkasujący za książkę trzy miliony dolarów, nie wystarczy już dobrze pisać. Autor bez „twarzy”, bez wybielonych zębów i medialnej obecności przestaje istnieć. Lee Israel dobrowolnie wypisała się z tego turnieju. Nie zabiega też o naszą sympatię – niechlujna, opryskliwa, chwilami nawet wredna, a jednocześnie, dzięki kreacji McCarthy i jej jakże niemedialnej urodzie (trudno wyobrazić sobie, że pierwotnie miała to być Julianne Moore), prawdziwie hipnotyzująca. I ludzka do granic aktorstwa.

Razem z Richardem E. Grantem w roli Jacka, podstarzałego i przestylizowanego geja, tworzą duet przepyszny: dwoje dziwaków próbujących żyć po swojemu w świecie, który wszystko formatuje i wycenia. Kiedy Lee wciąga kompana w proceder falsyfikowania cennych memorabiliów, oznacza to nic innego jak wejście do tej samej gry, tyle że na własnych warunkach. Ale do czasu. W świecie zmistyfikowanym i zasypanym podróbkami nawet przyjaźń tak bardzo wolna i ekscentryczna zostanie wystawiona na próbę.

„Can You Ever Forgive Me?” („Czy mi kiedykolwiek wybaczysz?”) czerpie tytuł z literackiego pierwowzoru i z listu pisarki Dorothy Parker, „upiększonego” ongiś po mistrzowsku przez Lee. Miała ona na koncie około 400 takich maszynopisów, sygnowanych przez Noëla Cowarda czy Marlenę Dietrich, a tak naprawdę podrabianych i postarzanych w domowym piekarniku. Gruba kryminalna afera mogła stać się paliwem dla filmu sensacyjnego czy zwariowanej komedii. Jednak Marielle Heller, 40-letnia dziś amerykańska reżyserka, która w 2015 r. zadebiutowała filmem pod zwodniczym tytułem „Wyznania nastolatki”, i tym razem podąża drogą tylko na pozór przewidywalną.

Uwalniając awanturniczo-anarchistycznego ducha, którego wnoszą postacie Lee i Jacka, nie daje się ponieść brawurowej anegdocie. Pozostaje blisko swoich bohaterów, przez co tytułowe pytanie staje się retoryczne. Reżyserka i aktorka nie tylko wybaczają Lee, ale otulają moralnie dwuznaczną bohaterkę szorstkim, acz ciepłym pledem. Traktują ją z czułością, przed którą tak się wzbrania – zacięta w swojej dumie, zabarykadowana w stajni Augiasza pełnej papierzysk, kocich kup, butelek po whisky.

Jednocześnie jest to postać do szpiku nowojorska, mieszkanka molocha zaludnionego przez wszelkiej maści oryginałów. Film Heller przypomina wczesne kino Woody’ego Allena, zanim jeszcze zaczął on pożerać własny ogon. Klimatyczne ujęcia metropolii nad rzeką Hudson wespół z muzyką retro tworzą szczególny, tak dobrze znany nam z ekranów *feeling* Nowego Jorku. Miasta wielkich możliwości, ale także nieustającej presji, by wymyślać siebie na nowo, bo tylko tak można utrzymać się na powierzchni.

Właśnie dzięki temu zadomowieniu w miejscach i w postaciach film Heller, choć opowiadający historię mało prawdopodobną i na dodatek tak bardzo karmiący się nieprawdą, staje się tak bardzo prawdziwy. ©

CAN YOU EVER FORGIVE ME?
– reż. Marielle Heller. Prod. USA 2018.
Od 29 maja film ma być dostępny do wypożyczenia na platformie CHILI.

REKLAMA

'89 2019 GDAŃSK

ŚWIĘTO WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

1—11 CZERWCA

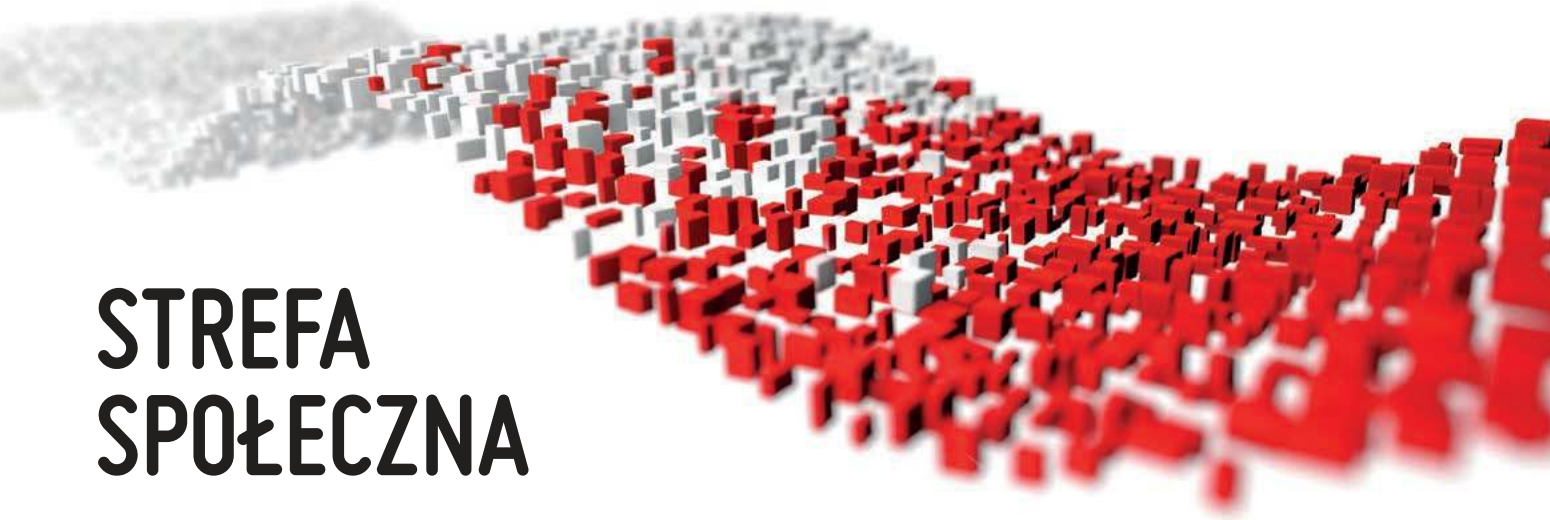

STREFA SPOŁECZNA

1—4/06/2019
/ Gdańsk, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6
/ 10.00—18.00
/ wstęp wolny

Około 200 organizacji pozarządowych, stowarzyszeń, fundacji i grup nieformalnych zapowiedziało przyjazd do Gdańska z całego kraju na Święto Wolności i Solidarności. Dzięki nim Polska codziennie zmienia się na lepsze. Chcemy, żeby STREFA SPOŁECZNA, której będą gospodarzem, była miejscem otwartej debaty na temat Polski, Europy i świata.

STREFA SPOŁECZNA to miejsce spotkań, rozmów o wielkich i małych sprawach, wymiany doświadczeń, budowania koalicji, wspólnego rozwiązywania problemów i namysłu nad przyszłością. Zapraszamy również każdego, kto ma wolę działać, jest aktywny i chce wiedzieć więcej albo nie wierzy we własne siły.

STREFA SPOŁECZNA rozlokuje się w 13 halach tematycznych, będzie w nich przestrzeń do debat i warsztatów, kino plenerowe, strefa dla dzieci, strefa odpoczynku i biesiadowania.
Swój udział zapowiedzieli m.in.: Leszek Balcerowicz, ks. Adam Boniecki, Agnieszka Holland, Szymon Hołownia, Tomasz Sekielski, Lech Wałęsa, Karolina Wigura i Kuba Wojewódzki.

DO STREFY SPOŁECZNEJ ZAPRASZAJĄ

GDAŃSK · ECS europejskie centrum solidarności · FUNDACJA GDAŃSKA · OFOP Ogólnopolska Federacja Organizacji Pozarządowych · GDAŃSKA RADA ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH · TO DZIAŁA organizacje społeczne

SZCZEGÓŁOWY PROGRAM
2019gdansk.pl, zakładka: STREFA SPOŁECZNA
FB: Strefa Społeczna | przy Sali BHP #obchodygdansk

Czy wiesz, że...

- W Polsce działa ponad 100 tysięcy organizacji społecznych.
- Zaufanie do nich deklaruje 54% dorosłych Polek i Polaków. Ufamy im bardziej niż rządowi, samorządom, mediom czy biznesowi.
- Organizacje społeczne zainicjowały ruch hospicyjny w Polsce — prowadzą ok. 170 hospicjów (36% wszystkich funkcjonujących w kraju).
- Największe festiwale — muzyczne, filmowe i teatralne istnieją dzięki organizacjom społecznym i aktywistom.
- Organizacje społeczne są wyrazem dojrzałości demokratycznej państwa. Inicjują zmiany społeczne, prawne i systemowe.

źródło: todziala.org

JAN

Klata: *Plus minus nieskończoność*

Nie to, żebym się czepiał, ale Prezes jawi się jako człowiek głęboko niedokształcony, na progu ćwierćinteligencji, i cytuje po łebkach. Broniewskiego też, kto Prezesowi zabroni. W noc majową, z lekka upojony eurosukcesem swej jaśminowej mafii (nie mylić z lawendową), po raz kolejny postanowił błysnąć erudycją i szczodrze sypnąć poetyckim wyimkiem. „To za mało! Za mało! Za mało!" – ewokował traumatyczne lekcje polskiego w Liceum Lelewela, oceniając zarazem wysokość wyborczego słupka PiS. Oceniając jakże żartobliwie, dodajmy, ćwierćcytat wziął się z szampańskiego nastroju Prezesa, oszołomionego sukcesem przyszłego Premiera z Krakowa Patryka Jakiego, przeszłej Premier Beaty Szydło oraz wielu, wielu innych przyszłych premierów, prezydentów i przeszłych ministrów z Partii Rządzącej lat 500 plus. Bruksela może być dla nich za mała, „To za mało! Za mało! Za mało!", oni jeszcze wrócą, wypoczęci, z pełnymi sakwami. Werbel im zagra do marszu, z ziemi obcej do Polski. Do swojej połowy Polski, dodajmy, bo Polska na pół.

Pół na pół na mapie, ale większa połowa procentowo, gdyż wieś spokojna, wieś wesoła wyśle do wrażej Brukseli nasze Beaty, a one już dżenderystom pokażą, gdzie raki zimują. Pokażą raczej na migi, ale przecież my nie gęsi i swoich tłumaczy mamy. Nie ma co się na naszą chatę z kraja obrażać, tylko spróbować przekonać jej mieszkańców, co jest oczywiście trudne, gdyż musi mieć miejsce na gruncie racjonalnym, a przekaz partii rządzącej mocno lewituje, więc ich słupki wyżej, unoszone strachem. Europa sobie poradzi z naszymi Beatami, ale co z tą Polską? Czy jesienią bociany przylecą? Trudno wróżyć z fusów, wiele się jeszcze może zdarzyć, albo zgoła nic. Czy z racjonalnego punktu widzenia zwycięstwo naszych Beat pomoże nam w Europie, Europie w nas? Bez żartów, przecież PiS będzie w Parlamencie Europejskim izolowany, permanentnie przegłosowywany, bez możności zrobienia czegokolwiek dla Polski, choć oczywiście jedna z naszych Beat zawsze może apodyktycznie *ex cathedra* w Brukseli orzec, że coś nam się po prostu należy – i to właśnie będzie fantastycznym elementem kolejnego wyborczego klipu na rodzimym, ciasnym, ale własnym podwórku, za kilka lat. Tyle wystarczy, żeby suto przezimować w euro...

Powróćmy do z lekka toksycznej relacji Kaczyńskiego z Broniewskim, i pójdźmy jeden wers dalej:

„To za mało! Za mało! Za mało!
Twoje słowa tumanią i kłamią!".

Na panią minister edukacji Annę Zalewską oddało głos... 140 tys. rozumnych istot narodowości polskiej, i to przechodzi ludzkie pojęcie, będąc dowodem na istnienie nieskończoności. ©

Lektor: *Nieznany ląd*

MOJA DZIKA KOZA. ANTOLOGIA POETEK JIDYSZ
wybór i opr. Joanna Lisek, Bella Szwarcman-Czarnota, Karolina Szymaniak, wprowadzenie Karolina Szymaniak, ilustracje Aleksandra Czudżak. Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2019

Kiedy w Zagładzie zginęli niemal wszyscy jej europejscy czytelnicy, literatura jidysz znajdowała się – mimo młodego wieku – w rozkwicie. Znamy jej klasyków, jak Szolem-Alejchem i Perec, może też Szaloma Asza i Mangera, na pewno braci Singerów. Ale pisarki? No tak, Debora Vogel, ze względu na Schulza... Ogromna antologia – ponad sześćset stron sporego formatu – jest jak odkrycie nieznanego lądu. Wiersze 50 poetek ułożono wedle klucza tematycznego w kilkunastu działach. Założeniem było więc ukazanie całości pewnego zjawiska w jego wewnętrznym zróżnicowaniu. Nie tylko tematycznym, ale dotyczącym też poetyki, różnorodności gatunkowej, zaangażowania społecznego, stosunku do kwestii kobiecej, do żydowskiej tradycji i do europejskiej nowoczesności. Od razu też powiedzmy: to nie jest księga martyrologiczno-elegijna, choć są w niej wiersze tak mocne, jak „Bóg skrył swe oblicze" Rejzl Żychlińskiej czy „niemożliwa modlitwa" Kadii Mołodowskiej („Boże litościwy, / wybierz inny naród, / poszukaj sobie innego. / Jesteśmy zmęczeni śmiercią i umieraniem, / nie mamy już modlitw"), i choć jedna z ciekawszych jej autorek, łodzianka Miriam Ulinower, zginęła w Auschwitz.
Ten nieznany nam wcześniej ląd nadal jest zaludniony, pojawiają się wciąż nowe jego mieszkanki, toczą się żywe spory. Żyjąca w początku XVIII w. Gela, zecerka w rodzinnej drukarni w Halle, która jako dwunastolatka dołączyła do składanego przez siebie modlitewnika rodzaj wierszowanego posłowia, spotyka się na kartach antologii z pisarkami XX-wiecznymi, jak wspomniane już Żychlińska i Mołodowska, Celia Dropkin, Rachela Korn czy Rukhl Fishman, autorka tytułowej „Dzikiej kozy", a także z Ireną Klepfisz (ur. 1941), która tworzy eksperymentalną poezję jidysz-angielską, czy z urodzoną w 1968 r. Mariną Alexeevą-Antipov.
Podziękowanie dla antologistek i redaktorek (które są również tłumaczkami), także za wprowadzenie i słownik biograficzny poetek, pozwalający wybrać autorski klucz lektury. I oczywiście dla pozostałych tłumaczek, bo przekłady z nielicznymi wyjątkami są nowe. Erna Gryner, Anna Jakimiszyn-Gadocha, Barbara Klicka, Natalia Krynicka, Olga Kubińska, Agnieszka Legutko, Anna Rozenfeld, Magdalena Ruta – dziękujemy! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Smak odpowiedzialności

Czterdzieści procent. Nie, spokojnie, nie będę komentował starcia partyjnych mamutów, które drepczą w kółko po naszym umęczonym klepisku tak, że nawet perz i pokrzywa ledwo dają radę wypuścić trochę pędów. Liczyłem, że na wiosnę zrobi się bardziej zielono, tak jak w mojej kuchni, gdzie siekam jak głupi botwinkę, szczęśliwy, że nareszcie można włożyć jakieś liście do gara. Niedzielny wieczór spędziłem karmiąc bliźnich, którym nie umyka fakt, iż kwestia społecznej odpowiedzialności za stan planety dotyczy w sposób oczywisty wyborów konsumpcyjnych, w tym na jednym z pierwszych miejsc stylu żywienia. Ponieważ zaś sprawy te w naszej kampanii pojawiały się w sposób śladowy, jakby Opatrzność obiecała polskim politykom, że rozciągnie magiczny klosz nad krajem, toteż nasza rozmowa szybko z polityki zeszła na ostatnie niedole Jamiego Olivera.

Czterdzieści procent to tyle, ile ten gwiazdor kuchennych kanałów tematycznych wedle własnych słów „spieprzył" ze swoich rozmaitych pomysłów na biznes. Co nie przeszkadza, że w trakcie frenetycznej kariery od początku stulecia zgromadził jakieś sto pięćdziesiąt milionów funtów majątku. Tych milionów zrobiło się w zeszłym roku o kilkanaście mniej, musiał bowiem ratować przed plajtą sieć dwudziestu dwóch restauracji włoskich na Wyspach. Ale to nie przyniosło skutku i na bruk poszło tysiąc pracowników. Jako były pomywacz i ojciec kelnera pocieszam się, że znajdą robotę w innych knajpach, mimo że wszyscy w branży narzekają, iż z powodu niepokoju konsumentów wywołanego przez brexit gastronomia w ogóle tam kuleje.

Mniejsza o same knajpy, jedne padają, inne powstają: jako okazjonalny czytelnik przepisów Jamiego wiem, że proponuje zgrabną, efektowną, ale nie przesadnie udziwnioną kuchnię z akcentem na średnio trudne technicznie dania. O ile tamte zamknięte lokale były wierne jego stylowi, to można założyć, że miały w sobie taką akurat dawkę „włoskości", jaką przeciętny mieszkaniec Północy jest w stanie zrozumieć i polubić. O ile... Skutkiem powodzenia w biznesie, gdzie podstawę stanowi monetyzacja własnej gęby, jest bowiem fakt, że powyżej pewnego poziomu trudno utrzymać kontrolę, rozkręcona maszyna przestaje mieć osobisty charakter, dostaje się w ręce mniej lub bardziej zdolnych menedżerów. Ci, którzy Jamiego obsługują, są raczej zdolni, bo holding zarządzający jego występami, sprzedażą książek oraz licencjami na użycie nazwiska do reklamy garnka czy skrobaczki do warzyw ma całkiem zdrowe zyski.

Piszę o skrobaczce nieprzypadkowo – nawet jeśli Jamie akurat jej nie reklamuje, to się mi serdecznie z nią kojarzy. Z całej czeredy telewizyjnych szefów-celebrytów mam na niego chyba najmniejszą alergię, z wdzięczności za kilka kampanii skierowanych do rodziców i edukatorów, i namowy, żeby oswajać uczniów z bazowymi umiejętnościami obróbki jedzenia. Dziecko, nie bój się noża. Obierz marchewkę. Wymieszaj jogurt z truskawkami – jak nie masz blendera, to choćby widelcem, jak musisz mocno posłodzić, bo dieta fastfoodowa rozchwiała twoje receptory, no to trudno, ale i tak zobaczysz, że po shake'a nie musisz gnać do McDonalda. Bywały takie chwile, kiedy Oliver przeginał, strofując wyższościowo brytyjskich ubogich, że mogliby jeść zdrowiej, gdyby tylko im się chciało chcieć i wzięli przykład z tego, jak pięknie jedzą za grosze biedacy z Sycylii (wyśmiewano go za uprawianie „turystyki nędzy", która nie rozumie podstawowych ograniczeń człowieka mającego do wyboru: prąd na ogrzewanie czy prąd na gotowanie). Ale i tak go będę lubił za rozruszanie palącego problemu młodych dorastających bez wiedzy, jak wbić jajko na patelnię.

Miałem przyjemność niedawno spotkać człowieka, który na naszym podwórku podejmuje podobne wyzwania. W trakcie Copernicus Festival mój kolega Michał Kuźmiński zaprosił do dyskusji o języku, w jakim odzwierciedlamy nasze przeżycia smakowe, Grzegorza Łapanowskiego, świetnego kucharza znanego z ekranów TVN, który animuje znakomitą inicjatywę „Szkoła na widelcu". Nasza dyskusja szybko zeszła na to, że oprócz słonego, słodkiego, kwaśnego, gorzkiego oraz umami, powinniśmy szczególnie wyczuwać szósty smak odpowiedzialności. Oby więcej takich szefów, widzących coś więcej niż zachcianki gości i dodatni bilans swojej restauracji. W biznesie czasem, jak widać po Oliverze, coś się spieprzy, nawet i czterdzieści procent. Ale życzę Łapanowskiemu, żeby w tym, co naprawdę ważne, miał sto procent sukcesu. ©℗

Pamiętacie, jak dobrze kaszanka komponuje się z jabłkami? To pierwsze, co mi się kojarzy z kuchnią ubogą, kiedy próbuję szybko zjeść coś sycącego z tanich składników. Wystarczy lekko poddusić na oleju posiekaną w piórka cebulę na patelni, dodać pokrojoną z grubsza kaszankę, przykryć i dusić kilka minut, aż się zacznie rozpadać, położyć na wierzch kwaśne jabłko pokrojone w cienkie plasterki, znów przykryć i dusić jeszcze kilka minut, aż zmięknie, po czym energicznie zamieszać, posypując pieprzem na wydaniu... A jeśli ktoś nie chce mięsa i krwi, niech spróbuje sosu do makaronu, który jest podkarpackim wariantem sycylijskiej Normy. Pokrojonego w drobną kostkę bakłażana obsmażamy na oliwie, mieszając ze trzy minuty, aż troszkę się zrumieni, podlewamy odrobiną białego wina albo wody, zmniejszamy ogień, dusimy jeszcze z pięć minut, dodajemy parę łyżek sosu pomidorowego (albo od biedy koncentratu rozrobionego w paru łyżkach wody), dusimy jeszcze kilka minut, wyłączamy ogień i wkręcamy energicznie do sosu parę kopiastych łyżek kremowej bryndzy. Przerzucamy na patelnię świeżo ugotowany krótki makaron. Na wydaniu posypujemy cząbrem albo oregano.

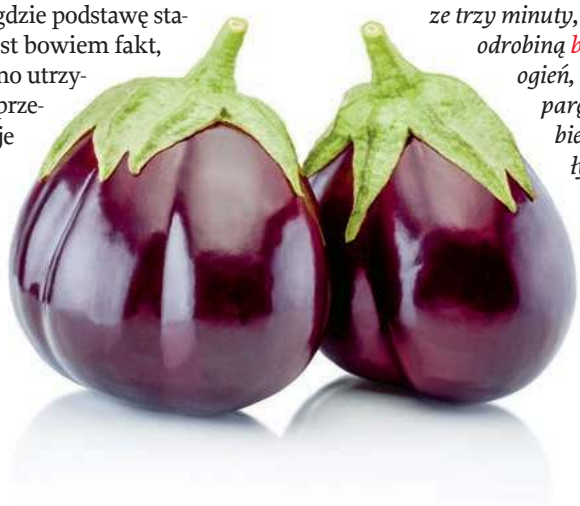

ADOBE STOCK PHOTO

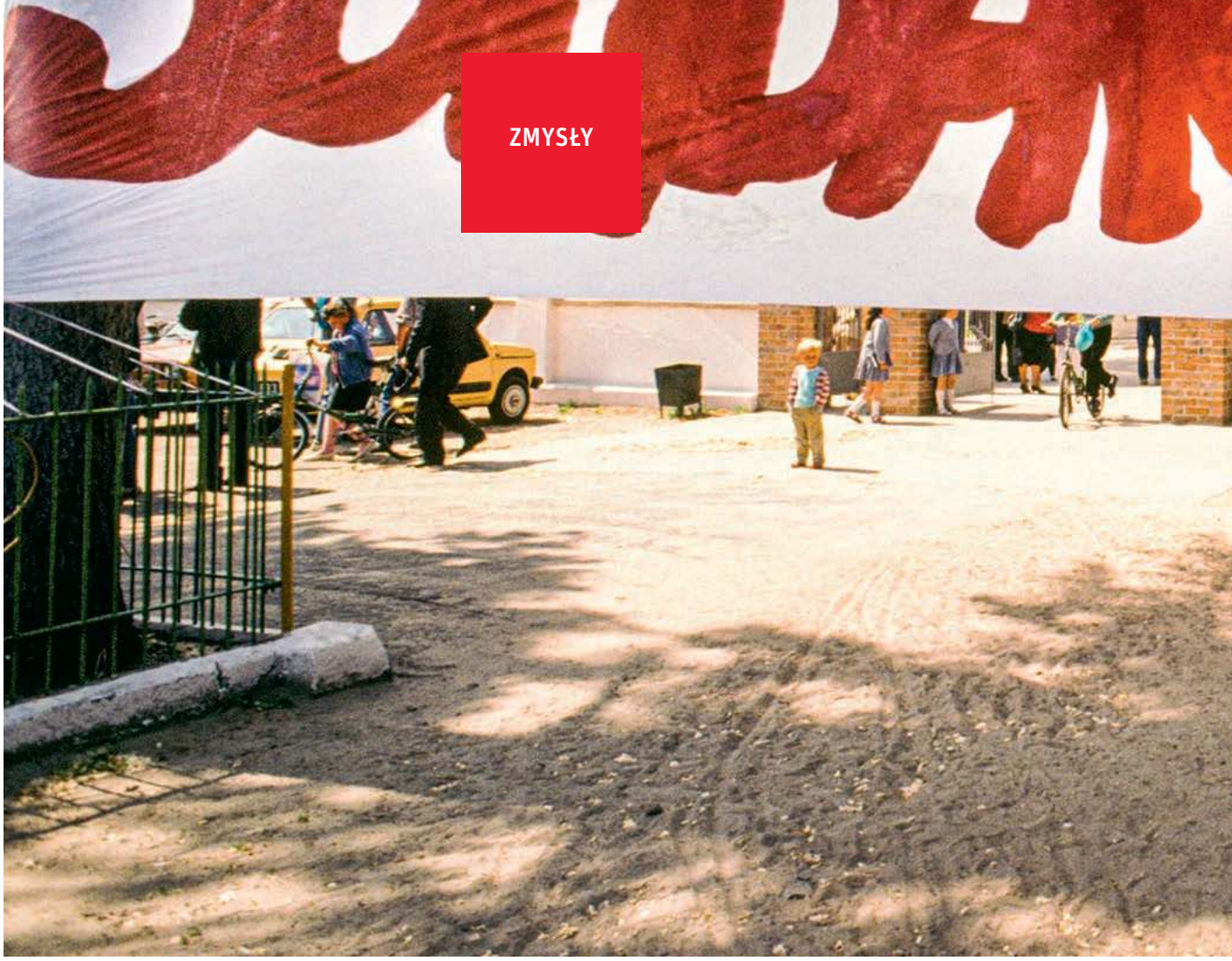

ZMYSŁ PAMIĘCI

Dlaczego 4 czerwca nie jest świętem narodowym, wspólnotową fiestą? Oto, jak doniosłość oficjalnych wspomnień konfrontuje się z tymi zwyczajnymi.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Jest 24 maja 2019 r. Na Uniwersytecie Łódzkim rozgrywa się scena tyleż malownicza, co kosmiczna. W centrum wyremontowanej auli Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego, wyglądającej jakby na jej dachu wylądował statek Enterprise, stoi w todze i birecie Jeffrey Sachs. Urodzony w Detroit ekonomista, ojciec chrzestny postsocjalistycznej transformacji, pogromca inflacji i (jak zaznacza) socjaldemokrata mylnie brany za neoliberała, odbiera doktorat *honoris causa*. Żartuje, że gdyby Polska zmarnowała 30 lat temu szansę na zmianę, on zmarnowałby szansę na karierę. Przekonuje, że żadne z państw regionu nie miało tak klarownej drogi, takiej determinacji i nie osiągnęło takiego sukcesu. Każdy dzień z wiosny 1989 r. staje mu przed oczami jak żywy. Jednak z 4 czerwca pamięta głównie to, że amerykańska telewizja pokazywała masakrę na placu Tiananmen.

Jedna z teorii społeczno-politycznych mówi, że brak wyraźnego zakończenia jakiegoś etapu w życiu społeczeństwa, brak ceremonialnego święta albo dramatycznego rytuału przejścia sprawia, że ludzie słabo utożsamiają się z nową rzeczywistością, a elity się polaryzują. W podobny ton uderzał Jan Nowak-Jeziorański mówiąc, że Polska odzyskała wolność, ale nie dostała swojego Dnia Zwycięstwa. Nie ma jednak żadnej pewności, że taki wyrazisty *rite de passage* uszczęśliwiłby i zjednoczyłby Polaków. W historii ćwiczyliśmy częściej tragedie i hekatomby

GEORGES MERILLON / GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES

Warszawa, 19 maja 1989 r. – dwa tygodnie przed wyborami

niż pokojowe uniesienia. Możemy jednak szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego kolejne rocznice wyborów z 4 czerwca nie stały się powszechnym świętem, mimo wysiłków kilku polityków, z Bronisławem Komorowskim na czele.

Pamięć nie sługa

Z pomocą przychodzą dwie właśnie wydane książki. Pierwsza z nich to „Można wybierać" Aleksandry Boćkowskiej, która kolejny raz wchodzi w rolę dokumentalistki rytmu minionego życia, wygrywanego na nucie niedoboru i niedosytu. Wcześniej pisała m.in. o deficytowej modzie PRL-u oraz o potocznym rozumieniu luksusu, zmieniającym się pod wpływem raz kurczących się, raz puchnących ram polskiego socjalizmu. Teraz wraca do dnia, w którym podobno skończył się w Polsce komunizm. Podobno, bo naocznych świadków końca niełatwo odszukać.

Zamiast tego Boćkowska dociera do osób, które wówczas nie były na pierwszej linii politycznego frontu. Jej reportaż wpisuje się w prężny dziś nurt badań nad historią mówioną, która wyłania się ze wspomnień uczestników ważnych zdarzeń i procesów. W wielu przypadkach ta pamięć nigdy wcześniej nie była spisana i żeby stać się częścią społecznej opowieści o przeszłości, musi zostać wypowiedziana na głos. Dopiero potem może służyć jako paliwo dla reportera. Jest to paliwo mocne, gdyż te wspomnienia nie wspierają żadnej politycznej tezy. Są jedynie dowodem na to, że utożsamianie wielkich przełomów z konkretnymi datami stanowi olbrzymie uproszczenie, na które godzi się historia oficjalna, lecz pamięć indywidualna już nie.

Boćkowska szuka jej nie tylko w Warszawie, ale także w Dębicy, Świnoujściu, Lubaczowie, Żaganiu czy Korycinie. W społecznej pamięci przetrwał plakat autorstwa Tomasza Sarneckiego, z szeryfem, który – jak mówi jedna z rozmówczyń – „szedł wyprostowany w czasach, gdy wszyscy byli przygarbieni". Same wybory z 4 czerwca 1989 r. – dużo słabiej.

Janusz Żmurkiewicz, który ledwo co zrezygnował z urzędu prezydenta Świnoujścia, jest na morzu, pracuje na statkach, nie głosuje. Na lądzie Solidarność zdobywa prawie wszystkie mandaty. Potem jest gorzej. W 2002 r. Żmurkiewicz ponownie zostaje prezydentem Świnoujścia i jest nim do dziś. Anna Sarzyńska, licealistka, głosuje pierwszy raz w życiu, zastanawiając się, „jak to możliwe, że skoro wszyscy są przeciw komunie, to tyle lat ta komuna trwa". Edyta Mikita bierze udział w ostatnim XXV Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Wygrywa konkurs dla debiutantów, ale upadające *show* kradnie zespół Papa Dance.

„Głosowaliśmy, bo mówili, że trzeba. Kto tam się spodziewał tego, co przyszło. Człowiek się przyzwyczaił, że wszystko było ustawione z góry, nie od głosujących zależało" – mówi jeden z producentów sera korycińskiego. Z samego dnia wyborów niewiele pamięta. Być może dlatego, że dla wsi i małych miast istotniejsze okazały się późniejsze o rok wybory samorządowe. To one pozwoliły wypłynąć nowym twarzom, a pociągnęły na dno wielu zasiedziałych włodarzy i dyrektorów. ↦

↦ Frekwencja w I turze wyborów czerwcowych wyniosła 62 proc. W równym stopniu jak ci, którzy głosowali, autorkę interesują ci, którym coś w tym czasie wypadło. Często nie były to sprawy błahe: ktoś brał ślub, ktoś zdawał do szkoły teatralnej, ktoś dostał wyczekany segment i musiał się urządzić, ktoś poszedł na rogacza, bo trwał sezon łowiecki. W obliczu pędu życia i galopu historii 4 czerwca po prostu nie miał szans, aby „zatrzymać się w kadrze".

Boćkowska chciałaby „skonfrontować doniosłość oficjalnych wspomnień ze zwyczajną pamięcią. I być może dowiedzieć się, dlaczego 4 czerwca jest bardziej świętem środowiskowym niż narodowym". Ten pierwszy cel udaje jej się zrealizować. Zwłaszcza że na pomoc przychodzi wywiad rzeka Katarzyny Kolendy-Zaleskiej z Lechem Wałęsą i Leszkiem Balcerowiczem pt. „Lech, Leszek. Wygrać wolność".

Celem, który przyświeca zaaranżowanej rozmowie ikon transformacji, jest zawołanie, by prawda zwyciężyła. Prawda zwycięzców – bo co do tego, że Wałęsa i Balcerowicz wygrali wolność, żadna wątpliwość w tej książce nie zostaje zasiana. I choć Historia przez duże H jest po ich stronie, dla wielu ta narracja może być irytująca. Panowie spijają sobie z dziubków opowieść o politycznym i moralnym triumfie drogi, którą obrali. Balcerowicz łechce ego Wałęsy, obsadzając się w roli niczym niezrażonego wielbiciela, choć bierze poprawkę na choleryczny charakter prezydenta i jego zdroworozsądkowe myślenie. To Balcerowicz gra tu partię intelektualnego fundamentu zmiany. Dawny przywódca Solidarności przystaje na takie rozdanie i pozostaje lojalnym sojusznikiem ekonomisty w obronie dziejowej słuszności terapii szokowej.

Trudniej przychodzi Boćkowskiej udzielenie odpowiedzi na pytanie, dlaczego 4 czerwca to nie święto narodowe, ale raczej środowiskowe. Zamyka swoją opowieść w momencie, kiedy dopiero co przegłosowany plan Balcerowicza ma wejść w życie. W powietrzu zawisa dobre albo złe zakończenie – wybór należy każdorazowo od tego, kto czyta jej książkę. Ale nie chodzi tu tylko o niejednoznaczną ocenę tego, co wybory czerwcowe przyniosły Polakom. Wałęsa uważa, że reprezentował wtedy naród. Z książki Boćkowskiej wynika, że to nie naród głosował, ale pojedynczy ludzie. Data 4 czerwca nie mogła stać się świętem narodowym dlatego, że podmiotem działania nie był naród, ale każdy, kto wrzucił karty do urny – bez względu na to, czy robił to w nadziei na zmianę, i pomimo beznadziei. Wbrew sugestii Boćkowskiej 4 czerwca nie wydaje się także świętem środowiskowym, chyba że za takie uważać doroczną w ostatnich latach anty-PiS-owską mobilizację opozycji. Bez takiej doraźnej instrumentalizacji pamięć o tamtych wyborach nie rozgrzewa żadnego środowiska. Jest przechowywana przez tych, którym wyborcza układanka splotła się z biografią, z czymś dla nich ważnym i dobrym, czego pamięć nie chce wyprzeć.

Żadnej fiesty

„Głosuj na tych, co z Wałęsą, bo przed władzą się nie trzęsą" – brzmi jedno z haseł Komitetu Obywatelskiego ułożone przez Wandę Chotomską. Hasło chwytliwe, ale wówczas życzeniowe. Z ankiety, którą „Gazeta Wyborcza" przeprowadza przed „wielkim dniem", wynika, że tylko co szesnasty Polak wierzy w to, że ustrój w Polsce zmieni się w latach 1989-90. W większości przypadków oczekiwania wobec przyszłości są skromne. Z dzisiejszej perspektywy mogą się wydawać planem absolutnego minimum.

Rozmówcy Boćkowskiej wspominają, że chcieli przestać się prosić, „dawać w łapę" albo korzystać z pajęczyny znajomości, żeby cokolwiek załatwić – tylko „że będzie można pójść, mając pieniądze zapracowane, i kupić coś uczciwie". Że nastąpi koniec widzimisię aparatczyka, układzików i pospolitych bareizmów. Że Polska nie stoczy się w stronę Rumunii, wówczas symbolu biedy i zamordyzmu. Strach przed drugą Rumunią okaże się zresztą zasadny, ale w innej kwestii. Pytane przez dziennikarkę kobiety nie spodziewają się, że ceną za wolność okaże się praktyczne odebranie im prawa do aborcji.

Wiosna 1989 r. nie przypomina ufnego oczekiwania na armagedon reżimu. Nie jest to może bitwa z Nocnym Królem, ale jeszcze w połowie kwietnia, po mszy w kościele św. Brygidy w Gdańsku kilkuset przeciwników władzy ściera się z milicją. Dwa tygodnie później po raz pierwszy rządowy pochód pierwszomajowy nie idzie ulicami Warszawy. Zamiast niego jest marsz Solidarności, a 3 maja wiece związku odbywają się w całej Polsce. Bardzo widoczni na ulicach są młodzi – ci, którzy materialne i wolnościowe deficyty PRL-u odczuwają może bardziej dotkliwie niż pokolenie małej stabilizacji.

Najpierw jednak trzeba zdobyć władzę. Wałęsa wie, że epoka dziesięciomilionowej Solidarności przeminęła, zaangażowana jest garstka działaczy, a i oni są podzieleni. Dlatego w 1988 r. przekonuje do przerwania strajku w Stoczni Gdańskiej i do rozmów z komunistycznym rządem. Żeby ugrać coś zamiast niczego. Dziś podkreśla, że przy Okrągłym Stole opozycja tworzyła zgraną drużynę. I potem, gdy w kwietniu 1989 r. ustalano listę 161 kandydatów Solidarności do Sejmu i 100 do Senatu. Tylu, o ile mandatów opozycja może walczyć. Ani jednego więcej, aby nie wyrywano sobie głosów. Da się wyczuć, że Wałęsa tęskni za tą jednością, choć trochę ją mitologizuje. Znajduje nawet kilka ciepłych słów dla Lecha i Jarosława Kaczyńskich z tamtych lat. Balcerowicz wzdryga się na sam dźwięk ich nazwiska.

W dniu głosowania Wałęsa wierzy w pełne zwycięstwo, lecz boi się fałszerstw i zemsty partii. Tym tłumaczy późniejsze ustępstwa, w tym brak walki w II turze wyborów o listę krajową i przyzwolenie na prezydenturę Jaruzelskiego. Balcerowicz też wierzy w sukces, lecz żyje wyjazdem na wykłady na wydziale ekonomii Politechniki North Staffordshire. W nieco megalomańskim tonie przypomina, że niedługo potem odmówił ubiegania się o katedrę na uniwersytecie w szwajcarskim Sankt Gallen, aby być „świadkiem historii". Wałęsa twierdzi, że w wyniku wyborów „skończyło się myślenie, że komunizm może przetrwać".

Boćkowska przytacza wspomnienie Leszka Sarnowskiego, przewodniczącego sztumskiego Komitetu Obywatelskiego, który 4 czerwca był członkiem komisji wyborczej w internacie miejskiego zespołu szkół: „Wzruszył się, kiedy licząc głosy, zobaczył precyzyjnie, nazwisko po nazwisku, skreśloną całą listę krajową i jeszcze dopisek: »Wojciech Jaruzelski«, też skreślony". Po głosowaniu przychodzi etap najważniejszy – liczenie głosów. I to podwójne. Pierwsze w rządowo-opozycyjnych komisjach wyborczych, drugie – w regionalnych sztabach Komitetu Obywatelskiego, gdzie spływają dane od ich ludzi pracujących w komisjach. Tak na wszelki wypadek – gdyby PZPR chciała sfałszować wyniki.

Wiadomo, że jest sukces, ale co z nim zrobić? „Partia chodziła wściekła jak lew po klatce, a opozycja po cichu odmawiała zdrowaśki" – podsumowuje Boćkowska podchody zwycięzców i pokonanych. Debiutant ma tremę przed występem na walącej się scenie. Wśród reakcji społeczeństwa są też takie, że do Sejmu dostali się „prawie sami Żydzi!". Antysemityzm był, jest i będzie – tu 4 czerwca nic nie zmienił.

Fiesty nie ma, bo zaraz następują drastyczne podwyżki cen, inflacja galopuje, braki towaru są jeszcze dotkliwsze niż przed wyborami (w czym upatrywano zemsty partii za porażkę). W kraju jest nowa elita władzy, bez doświadczenia, za to już poharatana własnymi rękoma – czego świadomi są także ci, którzy ich wybierali. „Jest źle. Moim zdaniem jest gorzej niż kiedykolwiek. Solidarność rozbita. Obywatelski Klub Parlamentarny się kłóci. Sprawa wyboru Jaruzelskiego zakłóciła wszelkie wewnętrzne porozumienia – notuje Teresa Konarska 22 lipca 1989 r. – Bardzo kocham Solidarność, ale jestem zadowolona, że do niej nie należałam i nie należę – nie chcę należeć do niczego".

Ludzie wybierali zmianę, której kierunek emocjonalnie był określony, ale przebieg drogi już nie. **Jeśli cechą polskiej kultury jest hasło „jakoś to będzie", byłyby to najbardziej polskie wybory.**

Bilans zwycięzców

Balcerowicz zauważa, że przy wyborach czerwcowych nie było mowy o programie gospodarczym. Wałęsa potakuje. Ludzie wybierali więc zmianę, której kierunek emocjonalnie był określony, ale przebieg drogi już nie. Jeśli cechą polskiej kultury jest hasło „jakoś to będzie", byłyby to najbardziej polskie wybory.

Tam, gdzie kończy się książka Boćkowskiej, zaczyna się najciekawsza część rozmowy Kolendy-Zaleskiej z Wałęsą i Balcerowiczem. O planie gospodarczym nazwanym od nazwiska tego ostatniego. Który wskutek wprowadzenia tego planu bywa określany mianem „Mengelego polskiej gospodarki" albo „małpy z brzytwą w ręku". Na każdą etykietkę ma tę samą odpowiedź: to populistyczne slogany. Jeśli spotkaliby Państwo kiedyś byłego ministra na ulicy, można natomiast śmiało zwracać się do niego per „panie Leszku" – bardzo to lubi.

Nie, to nie jest spowiedź ani nawet połowiczna samokrytyka. Balcerowicz ma grubą skórę, a przy tym poparcie przywódcy Solidarności, na które często w „Wybrać wolność" się powołuje. A Wałęsa ochoczo – także z perspektywy lat – go udziela. Owszem, drażni się z nim, że powinien był mieć wówczas „brata bliźniaka, który by szedł po tych ruinach socjalizmu i sprawdzał, co się dzieje, jakie są skutki, ilu bezrobotnych, co z zakładami, co z ludźmi". Wałęsa, choć dostrzega rosnące nierówności, ma do ministra finansów pretensję głównie o to, że nie informował go osobiście o szczegółach planu. Dla Balcerowicza sam akt rewolucji prowadzonej na zgliszczach socjalizmu usprawiedliwia jej skutki. Twierdzi, że za jego demonizację odpowiada m.in. dziurawa ludzka pamięć. Puste miejsce po wspomnieniu zajmuje slogan, manipulacja, propaganda. Nie zauważa, że sam na krytykę odpowiada sloganami o dobrych bogaczach i nieporadnych maluczkich.

Kiedy Kolenda-Zaleska próbuje zakłócić pełen samozadowolenia ton, panowie droczą się z nią, jak ze wzorową uczennicą, która na chwilę wypadła ze swojej roli. „Wszystkim tym, którzy mówią o traumach reformy, polecam studiowanie rządów Łukaszenki. Jak wolą Łukaszenkę, to ich sprawa" – kwituje prezydent. „Typowe wspólnoty w socjalizmie tworzyły się w kolejkach po kolorowy telewizor albo po pralkę. Za takimi wspólnotami Pani tęskni? – grzmi Balcerowicz. Rykoszetem dostaje się niedawno zmarłemu Karolowi Modzelewskiemu – za to, że nie poparł planu Balcerowicza, marząc o egalitarnej utopii. Może powinni posłuchać jednego z rozmówców Boćkowskiej: „Wspólnota, którą wtedy odczuwaliśmy, dotyczyła braku. Kiedy brak zniknął, to nie było niczego w zastępstwie".

Nie zaskakuje odpowiedź na pytanie, czy coś by zmienili, gdyby raz jeszcze mogli przeżyć przełom. Owszem, zmieniliby. Wałęsa szybciej przejmowałby władzę, a Balcerowicz przyspieszyłby prywatyzację i nie ustępowałby Jackowi Kuroniowi.

Pytań nie przewidziano

Ciekawe, czy Jeffrey Sachs, którego wspomina Balcerowicz, zgodziłby się ze stwierdzeniem, że to on uczył się wprowadzania kapitalizmu od Polaków, a nie na odwrót. Mowę na Uniwersytecie Łódzkim, która szybko zmieniła się w utkaną z anegdot baśń o polskim cudzie gospodarczym, kończy makroekonomicznymi statystykami, mającymi utrącić wysoką kalkulację ludzkich kosztów transformacji. Nikt nie oponuje, nikt nie zadaje pytań. Rytualny charakter akademickiej uroczystości tego nie przewiduje.

Ale w książce powinno znaleźć się na to miejsce. Wałęsa – trzeba mu to oddać – na koniec zaznacza, że w demokracji ludzie mają prawo nie lubić jego albo Balcerowicza. Mnie zatem nie podoba się ta rozmowa, choć nie umniejszam wagi czwartoczerwcowego zwycięstwa, dziejowej roli interlokutorów ani nie neguję wyższości kapitalizmu nad realnym socjalizmem. Rozmówcy Kolendy-Zaleskiej nie doceniają jednak pamięci społecznej i nie dostrzegają kierunku, w którym zmierza debata o polskim przełomie.

Dziś każdy, kto odmalowuje transformację w barwach absolutnej wiktorii, naraża się na zarzut społecznej ślepoty. „Panie Prezydencie, niektórzy nie uwierzą i trzeba machnąć na nich ręką. Ale jest cała masa ludzi, którzy pamiętają, i masa ludzi otwartych na informacje" – pociesza Balcerowicz. Mam wątpliwości, czy tych pamiętających i tych otwartych ta egocentryczna rozmowa przekona do wizji bezalternatywnej transformacji. Balcerowicz prezentuje się niczym ekonomiczny demiurg, a Wałęsa jako dziejowy determinista, odpowiadający na niewygodne kwestie schematycznie – że było tak, jak musiało być. Taka strategia nie sprawi, że ich prawda zwycięży.

Co nie znaczy, że nie warto sięgnąć po „Lecha, Leszka. Wygrać wolność". Jest to cenny zapis samoświadomości transformacyjnych elit, testujących mechanizmy samoobrony – pod presją tych, którzy faktycznie chcą napisać historię Polski na nowo.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Aleksandra Boćkowska, **MOŻNA WYBIERAĆ. 4 CZERWCA 1989**
Czarne, Wołowiec 2019
Katarzyna Kolenda-Zaleska, Leszek Balcerowicz, Lech Wałęsa,
LECH, LESZEK. WYGRAĆ WOLNOŚĆ, *Znak Horyzont, Kraków 2019*

COPERNICUS FESTIVAL 2019

Wszyscy jesteśmy poetami

WOJCIECH BONOWICZ

Język jest dla nas niczym woda, w której się zanurzamy. Nurkując, nie myślimy o tym, że sami w znacznym stopniu składamy się z wody.

„TO WŁAŚNIE JĘZYK CZYNI NAS LUDŹMI” – to zdanie powracało wielokrotnie podczas tegorocznej edycji Copernicus Festival. Jesteśmy, jak podkreślił Charles Taylor, „zwierzętami językowymi”. Trudno sobie wyobrazić, żeby świat ludzki przestał mówić (a nawet pisać – choć to drugie już łatwiej).

NAJPROSTSZYM, A ZARAZEM NAJUCZCIWSZYM PODSUMOWANIEM tego, co się działo w trakcie sześciu festiwalowych dni, byłoby chyba zdziwienie: jak wieloma językami można mówić o języku! Część zaproszonych gości opowiadała nam o tym, jak język jest zbudowany i jak działa – zarówno język jako taki, jak i polszczyzna, którą posługujemy się współcześnie. Inni proponowali podróż do źródeł języka – a trzeba się było cofnąć prawie dwa miliony lat wstecz. Jeszcze inni wciągnęli nas w namysł nad tym, czym właściwie jest informacja i jak wygląda polityka informacyjna („język życia”) naszych organizmów. Wreszcie mogliśmy też spojrzeć na refleksję o języku jako istotną część historii kultury i budowania naszej tożsamości.

CHOĆ WŚRÓD TEGOROCZNYCH GOŚCI FESTIWALU ZABRAKŁO POETEK I POETÓW, to jednak słowo „poezja” i problem poetyckości co rusz powracały w kolejnych wystąpieniach i dyskusjach. Elżbieta Tabakowska stwierdziła wręcz – a potem udowodniła – że „wszyscy jesteśmy poetami”. Potwierdziło się to, o czym część poetów mówi od dawna: że poezja nie posługuje się jakimś osobnym, elitarnym językiem, lecz

ADAM KOPROWSKI x 5

korzysta z tych samych możliwości, z jakich korzystają na co dzień inni użytkownicy języka. Tyle że robi to bardziej świadomie, a nawet ostentacyjnie, obnażając nie tylko ukryte mechanizmy języka, ale też automatyczność naszych językowych zachowań.

CIEKAWE, ŻE STOSUNKOWO NIEWIELE MÓWIŁO SIĘ PODCZAS FESTIWALOWYCH SPOTKAŃ O „MOWIE NIENAWIŚCI". Chyba nie ma innego sposobu, by wydobyć się z tego, co „nienawistne", jak wskoczyć na inny poziom mowy. Festiwalowe spotkania pokazały, że jest to możliwe: na moment znaleźliśmy się w innym (także językowo) świecie. Tym, którzy się do tego przyczynili, przesyłam jedno z najpiękniejszych słów, jakie polszczyzna ma w swoich zasobach: dziękuję! ©

W wydarzeniach festiwalowych wzięło udział 7500 widzów. Tematem przyszłorocznej edycji będzie czas.

Po lewej:
PAUL DAVIES,
KOSMOLOG:
Fenomen życia może zostać wyjaśniony poprzez prawa fizyki, ale będą to prawa innego rodzaju niż te, którymi posługujemy się dzisiaj. Językiem życia jest informacja. Pierwszym krokiem do wyjaśnienia, czym jest życie, będzie stworzenie nowej fizyki opartej na pojęciu informacji.

Po prawej:
DANIEL EVERETT,
ANTROPOLOG:
Język ma około 1,5–2 mln lat. Neandertalczycy i Homo sapiens narodzili się już w językowym świecie. Homo erectus nie miał tak złożonego języka jak my, ale mógł przekazać w nim wszystko to, co dyktowała mu jego kultura.

ELŻBIETA TABAKOWSKA,
KOGNITYWISTKA:
Codzienny język nie odbiega tak bardzo od języka poezji. Posługuje się podobnymi zabiegami – metaforami, metonimią. Język nigdy nie mówi wszystkiego, zawsze coś pozostawia domysłom. Im więcej możliwości metonimicznych dopełnień, tym bardziej bylibyśmy skłonni uznać tekst za literacki.

CHARLES TAYLOR,
FILOZOF:
Żadne dziecko nie nauczy się języka pozostawione same sobie – ten proces wymaga kontaktów z innymi ludźmi. Jest obarczony silnym ładunkiem emocjonalnym. Opiera się na bliskości, trosce, miłości. To dla nas moment „pierworodny". Wszystkie inne nasze umiejętności i zdolności zależą od niego.

JERZY BRALCZYK,
JĘZYKOZNAWCA:
Czy język potrzebuje troski? Ludzie tak to widzą. Krytykują zmiany, które następują w języku, jego ubożenie. Ale to nie język ubożeje, tylko mowa, czyli jego użycie. Z dystansem podchodzę do skarg, że język się psuje. Nieakceptowane zmiany językowe biorą się z akceptowanych zmian społecznych.

STANISŁAW

Mancewicz: *O optymistach*

Po wynikach wyborczych mamy garść złotych spostrzeżeń, którymi wypada się podzielić choćby dlatego, że robią to wszyscy. Oto – po pierwsze – w tych wyborach naiwny pesymizm wygrał z naiwnym optymizmem. W zawodach w tej akurat kategorii, uprawianej i oglądanej przecież w życiu codziennym, pesymista – zważmy – ma zawsze przewagę. Scenariusze pesymistyczne wydają się na ogół bardziej spójne i prawdopodobne. Optymiści – zwłaszcza naiwni – gdy opisują rzeczywistość, są w takich zawodach bez szans. Oto naiwni pesymiści dali się bez kłopotu przekonać, że optymiści odbiorą dane im pieniądze, domy, piece na węgiel, dzieci, wiarę i tożsamość, a może i pracę. Że narzucą im podejrzaną obyczajowość, budzącą niejaką odrazę lub niepokój, że każą im tolerować cokolwiek, co – zważmy, jeśli idzie o psychikę każdego sceptyka – jest najbardziej drażniącym poleceniem, uderzającym często w godność. Zgódźmy się, że namówienie sceptyka do optymizmu jest zadaniem syzyfowym. Plan przekształcania pesymistów w optymistów w skali trudności można przyrównać do posady wodzireja imprezy bezalkoholowej. Słowem, jest to najskomplikowańsze wyzwanie, jakie można wziąć na barki pomiędzy zlewniami Odry i Bugu. Naiwny pesymizm nabiera ciała tym poważniej, im takiż optymizm go lekceważy.

Optymiści, zwłaszcza naiwni – popatrzmy – liczyli na reakcje kompletnie irracjonalne, co zaiste wynika z uporczywego noszenia różowych okularów przez całą dobę. Weźmy przewijające się miesiącami opinie, że pesymiści twórczo uznają, iż dane im pieniądze ich zdemoralizują, a tym samym pokornie wybiorą tych, którzy to głoszą. Branie pieniędzy – popatrzmy – jest dla biorącego zawsze czynnością higieniczną. Mechanizmy higienizujące własne dochody są silniejsze niż prawo grawitacyjne. Uznanie, że nie działają, było naszym najskromniejszym zdaniem najdziwniejszym objawem nieprzystawania do rzeczywistości.

Optymiści, zadowoleni z urody swych umysłów, uznali też niemal *a priori*, że nie ma większego sensu odpowiadać na brzydkie z ich punktu widzenia pytania, stawiane przecież głośno. Brzmią one mniej więcej tak oto: kiedy przyjdą Żydzi, którzy zabiorą ludziom domy, meble i kołdry, czy potem zjadą się homoseksualiści, którzy odbiorą nam dzieci, na koniec zaś pod jakim pozorem przyjadą tu Arabowie, którzy zgwałcą wszystkie Polki i niektórych Polaków, zmuszonych przez progresywnych artystów do oglądania i analizowania sztuki zwyrodniałej? Przyznać należy, że są to pytania dość konkretne, to znaczy chcieliśmy tu rzec, że jest wielu ludzi, którzy je arcyserio stawiają, a kto im przekonująco i uspokajająco odpowie, tego cenią. Optymiści, zwłaszcza ci szlachetnie stawiający na moralność, uważali takoż, że filmy – i te fabularne, i dokumentalne – choćby były litym horrorem wyświetlającym najbardziej niemoralne, odrażające i niezmyślone przecież obrazy, mogą być skutecznym narzędziem kształtującym cokolwiek poza składem powietrza w sali kinowej. Samiśmy długo i bezowocnie męczyli się nad odpowiedzią na to pytanie, czy filmy te cokolwiek, na szybko, odmienią. Ostrożnie kalkulowaliśmy w naszych twardych od moralności głowach, że owszem. Tym samym – co tu kryć, przejechaliśmy się na tym zagadnieniu jak na mydle, a głowy nam od tych ślizgów zmiękły.

Naiwni optymiści chcieli takoż wierzyć, że łamanie prawa przez rządzących w kraju ludzi uznających kodeksy i ich paragrafy za niezrozumiały element przemocy państwa nad cokolwiek chcącym obywatelem, w społeczeństwie ufającym tylko najbliższej rodzinie, będzie miało dojmujący wpływ na decyzje wyborcze. Wiara ta – nie po raz pierwszy – okazała się żałosnym chciejstwem.

Na koniec zaś warto rzucić pod adresem optymistów naiwnych zarzut, może przecież najważniejszy, będący niejako syntezą dzisiejszych skłonności najszerzej pojętych mas ludzkich. Jest to zarzut sprawiedliwy i niewyssany z palca. Naiwne ględzenie o realnym pięknie modernizacji w każdym sensie też mentalnym i obyczajowym, głęboka wiara w dobroczynne skutki przemian tego typu, w świecie powszechnie uprawianego antykwaryzmu ideowego, trzeba uznać za najpoważniejszy dowód oderwania. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za **69 zł**

**

* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

MANTA
Polska firma rodzinna

Polecamy niezawodne telewizory polskiej firmy. Kibicuj naszym!

TELEWIZORY z fabryki W POLSCE

www.manta.com.pl